

Rok XXXV (LII) / nr 3–4 (427)

kwiecień 2026 / cena 10 zł

ISSN 1230-9710

Ukazuje się od 1952 roku

NAUKA • BADANIA • KULTURA

# GŁOS UCZELNI

CZASOPISMO UNIwersYTETU MIKOŁAJA KOPERNIKA W TORUNIU



**Archeologia  
wiedzy i przyszłość**

**Kultowe miejsce Torunia**

**Co dał nam Knapp?**

**O rodzeństwie Kopernika**



UNIwersYTET  
MIKOŁAJA KOPERNIKA  
W TORUNIU



# Głos na stronie

Pojawiły się ostatnio głosy, by z jakiegoś paragrafu uczynić bicz na kłamiących naukowców – ale kłamiących świadomie, a nie stawiających ryzykowne hipotezy. Abstrahując od skuteczności takich paragrafów, warto jednak chwilę refleksji temu poświęcić.

Są takie momenty, kiedy człowiek przestaje wierzyć nie w fakty, lecz w dobrą wolę tych, którzy fakty opisują. Wtedy właśnie rodzi się niepokój najgłębszy – nie ten, który każe zamykać drzwi na noc, lecz ten, który podpowiada, że drzwi od dawna są otwarte, a my tylko udajemy, że tego nie widzimy.

Naukowiec w naszej wyobraźni ma być czysty. Czysty, czyli wolny od interesów, od pychy, od pokusy, by wiedzę naginać jak drut, aż przybierze wygodny kształt. Dlatego każda wiadomość o uczo- nym, który świadomie szerzy nieprawdę, brzmi jak relacja z profanacji – jakby ktoś w kościele zamiast odmawiać modlitwy, zaczął sprzedawać bilety.

A przecież nie żyjemy w epoce niewinnej. Nauka już dawno przestała być samotną lampą nad stołem, przy której ktoś notuje wzory na pożółkłym papierze. Dziś nad stołem świecą reflektory grantów, sponsorów, rankingów i politycznych oczekiwań. Światło jest jaśniejsze, ale cień – znacznie gęstszy. W tym cieniu łatwo pomylić błąd z manipulacją, a manipulację z koniecznością.

Najbardziej niepokojące nie jest to, że ktoś kłamie. Ludzie kłamali zawsze i będą kłamać, bo prawda bywa niewygodna, a wygoda ma wielu wyznawców. Najbardziej niepokojące jest to, że kłamstwo potrafi dziś przywdziać formę wykresu, tabeli i przypisu. Kiedy nieprawda mówi językiem statystyki, brzmi poważniej niż prawda wypowiedziana szeptem.



W takich chwilach rodzi się pokusa, by odrzucić wszystko – i naukę, i autorytety, i samą ideę, że istnieje coś pewnego. To pokusa zrozumiała, ale groźna. Bo jeśli przestaniemy wierzyć w możliwość poznania, zostanie nam tylko wiara w chaos. A ten zawsze znajdzie sobie proroków.

Dlatego odpowiedzialność uczonego jest większa niż odpowiedzialność zwykłego człowieka. Zwykłe kłamstwo zatruwa rozmowę. Kłamstwo ubrane w autorytet zatruwa rzeczywistość. I nie ma szczepionki na taką truciznę, jeśli sami przestaniemy pytać, sprawdzać i wątpić.

Wracając do wspomnianych na wstępie paragrafów, stwierdzić wypada: grzeszy szczególnie ten, kto bzdury gada i podpisuje je nie tylko swym imieniem i nazwiskiem, ale i okrasza te wywody naukowymi tytułami oraz nazwą uczelni (to trochę tak, jakby lekarz przyłożył swą pieczętkę na recepcie na... truciznę). Może na początek niech karą będzie ostracyzm akademickiego środowiska.

A ujmując rzecz bardziej ogólnie: może najuczciwszą postawą wobec świata nie jest ani ślepa wiara w naukę, ani ślepa nieufność wobec niej. Najuczciwsza jest czujność. Ta sama czujność, z którą kiedyś patrzono w niebo, nie dlatego, że spodziewano się cudu, lecz dlatego, że wierzono, iż porządek istnieje – nawet jeśli czasem ktoś próbuje go zamazać.

**Winicjusz Schulz**

Redaktor naczelny „Głosu Uczelni”



## Archeologia wiedzy i przyszłość

s. 6



## Kultowe miejsce Torunia

s. 17



## Co dał nam Stefan Knapp?

s. 23



## Zapomniany zakątek

s. 28

NAUKA • BADANIA • KULTURA  
**GŁOS UCZELNI**

Zespół redakcyjny: Winicjusz Schulz (redaktor naczelny), Marcin Czyżniewski, Marek Jurgowiak, Marcin Lutomierski (zastępca redaktora naczelnego), Maurycy Męczekalski,

Tomasz Ossowski, Andrzej Romański, Wojciech Streich, Ewa Walusiak-Bednarek.

Stale współpracują: Sebastian Dudzik, Jarosław Dumanowski, Nikodem Pręgowski, Bartosz Rakoczy, Tomasz Wojciechowski, Sebastian Żurowski. Adres redakcji: 87-100 Toruń, ul. Reja 25, pokój 7 i 12, tel. 56 611-42-89, 56 611-42-39.

Opracowanie graficzne: Nikodem Pręgowski

Skład: Dariusz Żulewski

Druk: Wydawnictwo Naukowe UMK, ul. Gagarina 5, 87-100 Toruń, tel. 56 611-42-95, e-mail: wydawnictwo@umk.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz ich tytułów.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam.



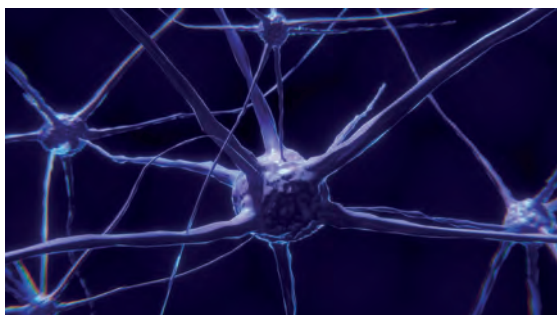
## Zwierciadło miasta

s. 31



## Bibliotekarz rektorem – rektor bibliotekarzem

s. 44



## Co zjada mózg?

s. 51

Głos na stronie	3
Archeologia wiedzy i przyszłość	6
Granice poznania	14
Welcomomy w niebezpiecznych czasach	16
Kultowe miejsce Torunia	17
Co dał nam Stefan Knapp?	23
Knapp – życie i twórczość	27
Zapomniany zakątek	28
Zwierciadło miasta	31
Konwalia od Uniwersytetu	35
Czy maszyny potrafią myśleć?	37
Prawne problemy związane ze sztuczną inteligencją	39
O rodzeństwie Mikołaja Kopernika	41
Bibliotekarz rektorem – rektor bibliotekarzem	44
Toruńska kuźnia talentów prawniczych	50
Co zjada mózg?	51
Wsparcie dla serca – od diety po mikrobiotę jelitową	55
Codziennosc medyków	59
Opowiesci medyczne	63
Pytajnik	64
Słowo roku, czyli rok w słowie	66
Jubileusz Programu Absolwenckiego UMK	67
Jedyny taki szef w II Rzeczypospolitej	72
Kogutek wielkanocny	78
Marzanna – między mitem a obrzędem	81
Nocne niebo na przykładach polskich obrazów pejzażowych z XIX wieku	85
Magiczne sny	92



# Archeologia wiedzy i przyszłość

Z dr. hab. Adamem Kołą, prof. UMK, prorektorem Uniwersytetu Mikołaja Kopernika ds. nauki – pierwszym zastępcą rektora, rozmawia Wincjusz Schulz

**– Mówi Pan UMK (czy może raczej NCU) i z czym się ten szyld w świecie kojarzy?**

– Myślę, że z kilkoma rzeczami naraz. Po pierwsze – z solidnym, szerokoprofilowym uniwersytem badawczym z Europy Środkowej. Po drugie – z instytucją, która w ostatnich latach bardzo wyraźnie przyspieszyła rozwój badań naukowych i umiędzynarodowienie. I po trzecie – z miejscem, które łączy tradycję z nowoczesnością.

Nazwisko Mikołaja Kopernika zobowiązuje. Ono od razu ustawia nas w globalnej rozmowie o nauce

i jej przełomach. Kiedy mówię za granicą „Nicolaus Copernicus University”, zwykle pojawia się natychmiastowy uśmiech i komentarz: „Ah, Copernicus!”. To ogromny kapitał symboliczny, który zobowiązuje, byśmy sami także byli odważni w myśleniu o nauce.

Ale za tym symbolem stoi dziś bardzo konkretna instytucja. UMK jest jednym z tych uniwersytetów, który ma pełny profil klasycznego uniwersytetu. Mamy bardzo silną humanistykę i nauki społeczne, które od początku stanowiły ważny element tożsamości uczelni. Jednocześnie dysponujemy znaczącym potencjałem w naukach przy-

rodniczych i ścisłych oraz w medycynie, rozwijamy w ramach Collegium Medicum w Bydgoszczy – integralnej części Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Coraz wyraźniej rozwijamy także nauki inżynierskie, bo wiemy, że w gospodarce opartej na wiedzy uniwersytet musi być miejscem powstawania nowych technologii.

O sile naszych nauk podstawowych najlepiej świadczą nie deklaracje, lecz konkretne fakty – publikacje w najważniejszych czasopismach naukowych świata, prestiżowe granty czy międzynarodowe nagrody. Ale jeszcze ważniejsze są same odkrycia naukowców z Torunia i Bydgoszczy.

Niedawno informowaliśmy o przełomowych badaniach zespołu prof. Piotra Wcisły z Wydziału Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej, który rozwija nowe rozwiązania w obszarze technologii kwantowych i niezwykle precyzyjnych metod pomiarowych. Z kolei w Collegium Medicum zespół prof. Daniela Gackowskiego odkrył nowy biomarker mogący znacząco poprawić diagnostykę białaczki. Artykuł *Personalized Treatment in Gynecologic Oncology* autorstwa dr. hab. Macieja Kordowitzińskiego został opublikowany w prestiżowym czasopiśmie „CA: A Cancer Journal for Clinicians”, które w najnowszym raporcie *Journal Citation Reports (JCR)* za rok 2024 osiągnęło imponujący wskaźnik Impact Factor wynoszący 503,1, co czyni je jednym z najbardziej wpływowych czasopism medycznych na świecie. Co ważne, publikacja ta jest także pochodną pobytu badawczego dr. Kordowitzińskiego na Harvard University, zrealizowanego w ramach programu Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza (IDUB).

A z drugiej strony mamy także przykłady badań humanistycznych o bardzo szerokim oddziaływaniu – jak projekt prof. Adama Izdebskiego, który analizuje historię pandemii w Europie i pozwala lepiej zrozumieć mechanizmy ich rozprzestrzeniania się oraz społeczne konsekwencje epidemii w długiej perspektywie historycznej. Wyraźnie widać, że także humanistyka w tym ogólnym obrazie ma się dobrze, choć zapewne wiele pozostaje jeszcze do zrobienia. Przykładem mogą być książki publikowane w najważniejszych wydawnictwach akademickich świata: praca Marty Szady z filologii klasycznej pt. *Conversion and the Contest of Creeds in Early Medieval Christianity*, wydana przez Cambridge University Press, czy książka Michaela Pleyera *Cognitive Linguistics and Language Evolution*, napisana wspólnie ze Stefanem Hartmannem i opublikowana w tym samym wydawnictwie. To pokazuje, że

możemy mierzyć wysoko – być publikowani i czytani na całym świecie. Takie przykłady pokazują, że badania prowadzone na naszym uniwersytecie obejmują bardzo różne obszary wiedzy, ale łączy je jedno – ambicja prowadzenia badań o znaczeniu międzynarodowym.

Dlatego powiedziałbym, że sztyld UMK w świecie coraz częściej kojarzy się z ambitnym europejskim uniwersytetem badawczym – co potwierdza także nasza obecność w sieci YERUN (Young European Research Universities Network), skupiającej dynamiczne, silnie zorientowane na badania uczelnie z całej Europy. To środowisko instytucji, które łączy podobna ambicja: prowadzenie badań na najwyższym poziomie i aktywne uczestnictwo w globalnej współpracy nauki.

#### **– Przyrównajmy na chwilę UMK do restauracji i zerknijmy w menu. Jakie dania, które tam ujrzymy, możemy uznać za specjalność lokalu?**

– Na pewno fizykę i astronomię – to od dawna jedna z naszych wizytówek, podobnie jak archeologia czy teologia, a z nowszych dyscyplin – np. kognitywistyka. Bardzo dynamicznie rozwijają się badania biologiczne czy medyczne. Mamy świetne zespoły w naukach o Ziemi, w psychologii, prawie czy ekonomii. W pewnych obszarach humanistyki czy nauk społecznych także pracują świetni naukowcy, realizujący wieloletnie projekty badawcze – nie zawsze międzynarodowe, czasem ważne z punktu widzenia kultury narodowej czy lokalnej.

Ale powiedziałbym też coś ważniejszego: specjalnością naszego „menu” jest różnorodność. UMK jest uniwersytetem naprawdę szerokoprofilowym. Dzięki temu mogą się tu spotykać różne języki nauki: fizycy z humanistami, lekarze z informatykami, prawnicy z biologami.

Coraz częściej właśnie na tych stycznych rodzą się najciekawsze projekty badawcze. Stąd pomysł na nowe zespoły w ramach naszej uczelni badawczej, które mają horyzontalnie, interdyscyplinarnie łączyć naukowców z różnych dyscyplin.

#### **– Podróżuje Pan często. Do jakich uczelni, w jakich krajach byłoby nam najbliżej?**

– Najbliżej byłoby nam do średniej wielkości europejskich uniwersytetów badawczych – takich, które są silnie zakorzenione w swoim mieście i regionie, ale jednocześnie działają – i takie mają am-

bicje naukowe – globalnie. To oczywiście uczelnie z regionu Europy Środkowej – z Czech czy Estonii.

Ale myślę tu także o uczelniach w Holandii, krajach skandynawskich czy Niemczech. Jeszcze do wielu z nich nam trochę brakuje – nasza widoczność, marka, rozpoznawalność są mniejsze. Podobnie jednak jak my, są to ośrodki, które nie zawsze są największe w swoich krajach, ale mają bardzo silną kulturę badań, umiędzynarodowienia i współpracy z otoczeniem społecznym i gospodarczym. Takim przykładem jest Uniwersytet w Würzburgu, z którym UMK współpracuje od lat, a – na bazie uczelni badawczych – podejmujemy partnerstwo o charakterze strategicznym.

Właśnie w tym kierunku staramy się rozwijać UMK.

– W ostatnim roku–dwóch latach coraz częściej mówi się także o bezpieczeństwie badań. Czy to rzeczywiście nowy problem dla uniwersytetów?

– Tak, i to problem bardzo poważny. Przez wiele lat uniwersytety funkcjonowały w modelu niemal całkowicie otwartej nauki – opartej na swobodnej wymianie wiedzy, ludzi i idei. Co więcej, zachęcailiśmy nie tylko do publikowania wyników badań w otwartym dostępie, ale także do otwierania i udostępniania danych badawczych, metadanych czy infrastruktury informacyjnej. Taki model był i pozostaje fundamentem współczesnej nauki.

Jednocześnie zmieniająca się sytuacja geopolityczna sprawia, że coraz częściej musimy myśleć także o bezpieczeństwie badań. Dotyczy to zwłaszcza tych obszarów, które mają potencjalne zastosowania podwójne – cywilne i militarne – jak technologie kwantowe, sztuczna inteligencja czy zaawansowane materiały. Dlatego coraz częściej mówi się dziś o *research security* – bezpieczeństwie badań, czyli o tym, jak pogodzić otwartość nauki z odpowiedzialnością za jej konsekwencje.

Nie chodzi o zamykanie nauki. Chodzi raczej o bardziej świadome zarządzanie współpracą międzynarodową, ochronę infrastruktury badawczej i wiedzy, która może mieć znaczenie strategiczne. W tym sensie uniwersytety uczą się dziś nowej równowagi między otwartością a odpowiedzialnością. Dla Europy kwestie bezpieczeństwa mają dziś fundamentalne znaczenie.

– Wspomina Pan często o europejskim wymiarze działalności uniwersytetów. Co to w praktyce oznacza?

– Dziś nauka w ogromnym stopniu funkcjonuje w wymiarze europejskim. Programy badawcze, in-

frastruktury naukowe, sieci współpracy – to wszystko przekracza granice pojedynczych państw.

Uniwersytet Mikołaja Kopernika jest bardzo aktywny w tej przestrzeni. Jesteśmy częścią YERUN – Young European Research Universities Network, sieci młodych, dynamicznych uniwersytetów badawczych w Europie. Dzięki temu uczestniczymy w dyskusjach o przyszłości europejskiej nauki, o polityce badawczej Unii Europejskiej czy o nowych programach finansowania badań. Jesteśmy też częścią jednego z sojuszy uczelni badawczych, YUFE – Young Universities for the Future of Europe, który zresztą wypączkował z YERUN. Na poziomie kształcenie wyraźnie widać, że sojusze uczelni europejskich są jednym z najważniejszych elementów polityki naukowej wspólnej Europy.

Dzięki członkostwu w YERUN dysponujemy świetnym narzędziem do wyszukiwania partnerów naukowych w Europie i do wyszukiwania programów finansowania nauki i współpracy międzynarodowej. Chodzi o CONNECT by YERUN, prostą i przyjazną w obsłudze platformę opartą na algorytmach, która pozwala na łączenie naukowców i poszukiwanie partnerów do badań.

To wszystko jest ważne nie tylko dla samej uczelni. Silna obecność w europejskich sieciach oznacza także większe możliwości dla naszych naukowców, studentów i doktorantów – dostęp do partnerstw badawczych, infrastruktury i projektów, które dziś powstają w skali całego kontynentu.

### **– W Polsce należymy do elity uczelni badawczych, a jak wyglądałoby to w skali europejskiej czy światowej?**

– Trzeba być uczciwym: europejski czy globalny system uniwersytecki jest bardzo konkurencyjny. Ale jednocześnie widać wyraźnie, że polskie uczelnie – w tym UMK – bardzo szybko nadrabiają dystans.

Program „Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza” był tu ogromnym impulsem. Dzięki niemu mogliśmy zbudować silniejsze zespoły badawcze, zwiększyć umiędzynarodowienie, publikować w obiegu międzynarodowym – nie tylko w naukach ścisłych, ale też w humanistyce, oraz przyciągać wybitnych naukowców.

Dziś jesteśmy w momencie, w którym najważniejsze jest utrzymanie tej dynamiki. Jest bowiem tak, że świat – już nie tylko Daleki Wschód: Japonia, Korea Południowa, Chiny czy Singapur, ale i Bliski

Wschód – przyspieszają i rozwijają swoje systemy kształcenia i prowadzenia badania znacznie szybciej od nas. Na poziomie decydentów politycznych w tych regionach zrozumiano, że nauka, badania i kształcenie, to rozwój i zapewnienie bezpieczeństwa w przyszłości. U nas wciąż jesteśmy daleko od tego momentu.

#### **- Jakie rozwiązania z innych krajów chętnie by Pan zaimplementował na polskich uczelniach?**

- Przede wszystkim większą stabilność systemu finansowania badań. W wielu krajach europejskich uczelnie mogą planować rozwój w perspektywie dekady czy dwóch. To daje zupełnie inną skalę odwagi strategicznej.

Drugą rzeczą jest zaufanie do instytucji. Mniej mikroregulacji, mniej biurokratycznych szczegółów i barier, a więcej odpowiedzialności po stronie uniwersytetów. I wewnątrz uniwersytetów – rosnąca biurokratyzacja państwa, w tym i uczelni, jest barierą antyrozwojową. Sami podkładamy sobie kłody pod nogi.

Paradoks polega na tym, że nauka rozwija się najlepiej tam, gdzie jest jednocześnie wolność i odpowiedzialność.

#### **- A może jest też coś, co my moglibyśmy wyeksportować?**

- Tak – energię rozwojową. Polska nauka wciąż znajduje się na etapie bardzo intensywnego wzrostu. W wielu miejscach Europy Zachodniej system jest już bardzo ustabilizowany, by nie powiedzieć skostniały.

U nas wciąż jest dużo ambicji, dynamiki i chęci zmiany. To ogromny kapitał.

#### **- Zapewne najłatwiej jest zaistnieć w świecie reprezentantom nauk ścisłych...**

- Rzeczywiście nauki ścisłe mają pewną przewagę wynikającą z uniwersalnego języka matematyki czy eksperymentu. Ale zarazem próg wejścia jest dziś bardzo wysoki: to są ogromne nakłady na infrastrukturę badawczą, zbudowanie i utrzymanie drogiej aparatury naukowej, laboratoriów – odczynników, kosztów obsługi, serwisowania. Jednak to jest inwestycja, bowiem potrafimy dokonywać przełomowych badań. Dowodzą tego regularnie np. fizycy czy astronomowie.

Ale to nie znaczy, że humanistyka jest skazana na lokalność. Przeciwnie – najciekawsze pytania humanistyczne są często bardzo uniwersalne. Kluczem jest sposób ich postawienia.

#### **- Zatem co z humanistami?**

- Humanistyka zawsze była globalna, nawet jeśli badała rzeczy bardzo lokalne.

Dobry przykład to Bronisław Malinowski. Badał bardzo konkretną społeczność na Pacyfiku, a stworzył jedną z najważniejszych teorii antropologicznych XX wieku.

Podobnie jest dziś: lokalny materiał badawczy może być punktem wyjścia do pytań o charakterze globalnym. Adam Izdebski bada europejskie pandemie w perspektywie długiego trwania, a jego odpowiedzi mają znaczenie dla naszego – post-COVID-owego społeczeństwa. Edycja nieznanych dzieł literatury polskiej kształtuje dzisiejszą kulturę. Unikatowe badania nad językiem albańskim wpisują się w wiedzę na temat rozwoju systemów mowy na świecie. Teologia odpowiada na wyzwania współczesnego, stehnicyzowanego świata. Takich przykładów można – tylko z grona badaczy z UMK – przedstawić wiele.

#### **- Humanistyka cyfrowa – przyszłość czy ślepy zaułek?**

- Powiedziałbym: narzędzie.

Cyfrowe metody otwierają zupełnie nowe możliwości analizy ogromnych zbiorów danych – tekstów, obrazów, archiwów. Ale nie zastąpią interpretacji.

Humanistyka zawsze będzie polegała na rozumieniu sensów, znaczeń, kontekstów. Algorytm może pomóc zobaczyć wzory w danych, ale nie odpowie na pytanie, co one znaczą. Pozwala jednak agregować dane w takiej liczbie, jaka była do tej pory niemożliwa do przeanalizowania. W tym sensie nasze badania stają się bardziej wiarygodne, oparte na danych, możliwe do porównania w szerszym kontekście, ale też łatwiejsze do pokazania – również w trybie popularyzacji nauki. Jednak humanistyka opiera się na rozpoznawaniu znaczeń, odpowiednim stawianiu pytań i poszukiwaniu odpowiedzi tam, gdzie nikt inny się nie spodziewa jej znaleźć. To jest jej siła i wyjątkowość. Korzystajmy z nowych narzędzi, zawsze to robiliśmy w humanistyce, nie porzucamy jednak ważny z punktu widzenia człowieka pytań.

### – Jak ma się cyfrowa humanistyka na UMK?

– Rozwija się bardzo dynamicznie – zwłaszcza na styku humanistyki z informatyką czy analizą danych.

To jeden z tych obszarów, gdzie współpraca między różnymi dyscyplinami daje bardzo ciekawe efekty. W UMK możemy znaleźć prace słownikowe w wersji online – jak *Słownik Polskiej Bajki Ludowej* prof. Violetty Wróblewskiej, korpus listów św. Augustyna *Scrinium Augustini* opracowany przez prof. Przemysława Nehringa i prof. Rafała Toczke, badania pamięcioznawcze powiązane z geograficznymi systemami informatycznymi uprawiane w Pracowni POSTCOMER kierowanej przez prof. Agatę Domachowską czy online wersja bibliografii „Wiadomości” kierowana przez prof. Rafała Moczko. A to tylko wybrane przykłady: prac słownikowych, edytorskich, geoinformatycznych czy bibliograficznych, które są na naszej uczelni, na Wydziale Humanistycznym, realizowane. A w podobnym trybie pracują dziś również przedstawiciele innych dyscyplin.

### – Jak to się stało, że syn archeologa nie został archeologiem?

– Może trochę z przekory, ale przede wszystkim z fascynacji literaturą.

Dorastanie w domu archeologów – oboje rodzice byli archeologami i pracowali razem – nauczyło mnie jednak czegoś bardzo ważnego: myślenia o kulturze w długim trwaniu, a także odczuwania frajdy, jaką daje odkrywanie przeszłości, oglądanie czegoś po raz pierwszy od lat, odkopywanie kolejnych warstw. Archeologia pokazuje, że historia człowieka jest dużo dłuższa i bardziej złożona, niż czasem sądzimy. Przykrywają ją pokłady ziemi, czasem woda, innym razem – kurz archiwów czy zapomnianych piwnic.

W pewnym sensie więc ta archeologia i tak ze mną została. Zajmuję się teraz transferem wiedzy w ujęciu historycznym i geograficznym. Uprawiam archeologię wiedzy – odgrzebuje kolejne warstwy z dawno zapomnianych kultur, przepływow treści kulturowych szlakami dziś zapomnianymi. Moimi artefaktami są teksty – te literackie, jak i naukowe, zapiski prywatne i korespondencja, także teksty nigdy niepublikowane czy kolejne wersje robocze. Z kolei w badaniach z zakresu studiów nad pamięcią – w niedawno wydanej wspólnie z prof. Wojciechem Piaskiem książce na temat pamięci o Mikołaju

Koperniku – odkrywamy również warstwy – pamięci. Zaczynamy od współczesności i cofamy się, czy schodzimy w głąb historii.

### – Jakie obszary badawcze uważa Pan dziś za najważniejsze w swojej pracy?

– Interesują mnie przede wszystkim relacje między kulturą, pamięcią i polityką – zwłaszcza w Europie Środkowej.

To region, w którym historia wciąż bardzo silnie wpływa na współczesność, co tak boleśnie odczuwa dziś Ukraina. Jeśli kiedyś Milan Kundera pisał, że Europa Środkowa ginie w Budapeszcie w 1956 roku, potem zniknęła w Czechosłowacji roku 1968, Polsce początku lat 80. – i wszędzie tam udało się europejskość obronić, to dziś obserwujemy ten proces w Ukrainie. Tam jest dziś zagrożona Europa Środkowa. Historyczność tego procesu, powtarzalny wzór, który widzę w tym, co tam się dzieje wraz z rosyjską pełnoskalową inwazją, jest dla mnie wyraźny właśnie dzięki prowadzonym badaniom nad intelektualną i ideową historią Europy Środkowej.

### – Czy istnieje temat badawczy, który szczególnie Pana fascynuje?

– Interesuje mnie pytanie o to, jak współczesne społeczeństwa pamiętają przeszłość – i jak ta pamięć wpływa na demokrację, ale i na naukę. Wspomniany wcześniej transfer wiedzy – jej globalna cyrkulacja, która rozpoczyna się w Europie Środkowej, przechodzi przez różne kultury i kraje, staje się światowa, ale zarazem tracimy pamięć o jej źródłach. To fascynujący proces, dlatego wypieramy pamięć o własnej przeszłości, jakie mechanizmy tu zachodzą w skali społecznej, w różnych kulturach. Przykład badań nad wypartą pamięcią o polskiej tradycji myślenia i pisanie w kategoriach postkolonialnych, czemu poświęciłem książkę, jest dobrym przykładem. Kiedyś byliśmy bardzo nowoczesni we własnym myśleniu, rozwijaliśmy po 1948 roku, w szczególności w latach 60., oryginalne koncepcje postkolonialne; opisywaliśmy świat rozpadających się imperiów kolonialnych i proces dekolonizacji w oryginalny i twórczy sposób – a po 1989 roku zapomnieliśmy o tej tradycji, sięgnęliśmy po zachodnich klasyków myślenia postkolonialnego dopiero w XXI wieku, a w większości byli to intelektualiści późniejsi od naszych własnych badaczy, pisarzy, artystów z tego nurtu. Zachłysłnieliśmy się zachod-

nim myśleniem, wypierając pamięć o własnej intelektualnej historii. Ten proces wyparcia, zapomnienia interesuje mnie w wielu obszarach.

### – Jaką rolę pełni dziś literatura w świecie cyfrowym?

– Literatura zawsze była jednym z najważniejszych sposobów opowiadania o ludzkim doświadczeniu. Zmieniają się media – można by powiedzieć: zmienia się medialność literatury – ale potrzeba opowieści pozostaje.

Jeśli spojrzeć na to w dłuższej perspektywie historycznej, widać wyraźnie, że literatura zawsze była związana z określonymi formami komunikacji. Najpierw była oralność – opowieści przekazywane ustnie. Potem pojawiło się pismo, które utrwalało narracje w postaci skryptów i rękopisów. Rewolucją był oczywiście druk, który przyniósł literaturze masowość i stworzył nowoczesny obieg książki. Dziś znajdujemy się w epoce cyfrowej, która zmienia zarówno sposoby publikowania, jak i czytania.

Zmieniają się także nośniki literatury: od glinianych tabliczek, przez zwoje, księgi i prasę drukowaną, aż po ekran – telefonu, tabletu czy komputera. Ale to wciąż ta sama potrzeba opowiadania i słuchania historii.

Co ciekawe, epoka cyfrowa przynosi też pewien powrót do oralności – wtórnej oralności. Fenomen audiobooków pokazuje, że po wiekach dominacji tekstu drukowanego znów bardzo chętnie słuchamy literatury – trochę tak, jak słuchano opowieści w dawnych wspólnotach.

Dlatego nie patrzyłbym na zmiany technologiczne z nostalgią czy z niepokojem. Raczej z ciekawością. Literatura zawsze potrafiła adaptować się do nowych form komunikacji – i dziś również znajduje w nich nowe możliwości. Zamiast więc nad tym ubolewać, warto po prostu z tych możliwości korzystać. Muszę jednak przyznać, że z podróży zawsze przywozimy książki – papierowe.

### – Jakie szanse mają literaci z krajów słowiańskich?

– Paradoksalnie dziś większe niż kiedyś. Globalny obieg literatury jest coraz bardziej otwarty, a tłumaczenia odgrywają w nim ogromną rolę. Szczególnie na poziomie europejskim – także dzięki różnym programom wsparcia Unii Europejskiej – literatury tworzone w językach narodowych funkcjonują dziś w znacznie szerszym obiegu.

Ważne jest jednak także to, byśmy na własną literaturę patrzyli szerzej. W badaniach nad tzw. literaturą światową, a szerzej w studiach komparatystycznych, coraz częściej zwraca się uwagę na literatury mniejszościowe – powstające w danym kraju, ale w językach innych niż dominujący. W przypadku Polski można tu wskazać choćby literatury tworzone w różnych językach żydowskich.

W skali globalnej nie można też zapominać o zjawisku translingwalizmu, czyli przechodzenia pisarzy z jednego języka na drugi. Do najbardziej znanych przykładów należą choćby Vladimir Nabokov czy Milan Kundera. Jeśli więc spojrzymy na literaturę szerzej – nie tylko przez pryzmat jednego języka czy jednej tradycji narodowej – okaże się, że twórczość z naszej części Europy była i jest obecna jako część literatury światowej.

### – Czy za granicą znają naszych literackich klasyków?

– Nie zawsze w takim stopniu, jak byśmy chcieli. Ale to też naturalne – każdy kraj ma swój własny kanon. Rolą badań porównawczych jest właśnie wprowadzanie tych autorów do szerszej rozmowy o literaturze.

Jednocześnie najważniejsi polscy pisarze – z Mickiewiczem, Prusem, Miłoszem czy Tokarczkiem na czele – są znani i rozpoznawalni, wciąż czytani, nie tylko w Europie, ale i globalnie.

Pytanie o klasyków można zresztą postawić szerzej: czy klasyki literaccy w ogóle – i w jakim stopniu – są dziś jeszcze czytani? To pytanie dotyczy nie tylko literatury polskiej, ale właściwie wszystkich tradycji literackich. Współczesny obieg kultury jest niezwykle dynamiczny, pojawia się ogromna liczba nowych książek, a sposób czytania zmienia się wraz z mediami i rytmem życia.

Klasyki funkcjonują dziś często w dwóch równoległych porządkach. Z jednej strony są obecni w edukacji, w kanonie szkolnym czy akademickim, który pozwala zachować ciągłość kultury. Z drugiej – muszą wciąż na nowo odnajdywać swoich czytelników poza instytucjonalnym kanonem. I paradoksalnie często się to udaje, bo dobra literatura ma tę właściwość, że potrafi przekraczać własną epokę.

Można więc powiedzieć, że klasyki nigdy nie są czytani masowo – byli czytani raczej intensywnie przez kolejne pokolenia czytelników, którzy w ich książkach odnajdywali własne pytania. Jeśli tak spojrzeć na sprawę, to obecność klasyków nie polega na

stałej popularności, lecz na ciągłym powracaniu do nich przez nowe generacje czytelników.

#### - Co poradziłby Pan młodemu badaczom?

- Przede wszystkim ciekawość świata i odwagę wychodzenia poza własne środowisko. Nauka jest z natury międzynarodowa, więc warto jak najwcześniej wyjeżdżać, poznawać inne ośrodki badawcze, inne sposoby pracy, inne szkoły myślenia.

Bardzo ważna jest też współpraca. Nauka coraz rzadziej jest przedsięwzięciem samotnym – najciekawsze rzeczy powstają w zespołach i w dialogu z innymi. Dlatego warto uczyć się od najlepszych i nie bać się kontaktu z badaczami, którzy są dla nas autorytetami.

Powiedziałbym nawet więcej: trzeba mieć odwagę pisać do najlepszych w swojej dyscyplinie, nawet jeśli wydaje się to trochę onieśmielające. W najgorszym razie ktoś nie odpowie albo odmówi – ale często właśnie w ten sposób zaczynają się najciekawsze współprace.

I jeszcze jedna rzecz: nie zrażać się porażkami. W nauce są one czymś absolutnie naturalnym – nieudane projekty, odrzucone artykuły, granty, których się nie dostaje. Trzeba umieć budować na tym doświadczeniu: zdobywać wiedzę, wzmacniać własną odporność i próbować ponownie.

Wie Pan dlaczego nie osiągamy, i dotyczy to całej Polski, sukcesów w aplikacjach o granty europejskie?

#### - Nie, nie wiem.

- Bo nie aplikujemy ponownie. Nie poziom naukowy, nie przygotowanie merytoryczne czy CV powodują, że nam się nie udaje. Tylko to, że przedstawiciele nauki z zachodniej Europy, a coraz częściej też np. Czesi, aplikują ponownie, i ponownie. Podnoszą się z porażki, uczą się na błędach – nie zrażają się i ponownie wysyłają wnioski. Musimy się tego nauczyć. I być cierpliwym.

Krótko mówiąc i odpowiadając na Pańskie pytanie o radę dla młodych badaczy: sięgać po więcej – lepiej, głębiej – i nie bać się zaczynać od nowa.

- Czy ma Pan ulubioną książkę?

- Lista byłaby bardzo długa. Ale są książki, do których wracam co kilka lat – bo za każdym razem czyta się je inaczej. W moim przypadku często jest to literatura czeska.

Kiedyś byli to przede wszystkim Kafka i Kundera. Dziś – w pewnym sensie wieczny powrót – Bohumil Hrabal. Nie potrafię mu się oprzeć i wciąż do niego wracam, odkrywając coraz to nowe sensory, ale też przewrotną przyjemność życia u pisarza, który przecież śmierć tak często i tak intensywnie pokazywał.

Z mniej znanych czeskich autorów zawsze wracam do Karel Michala – pisarza, który nigdy na dobre w Polsce się nie zadomowił, podobnie jak Jakub Deml. Na szczęście dzięki pracy tłumaczy i popularyzatorów, także u nas dobrze odnalazł się Ota Pavel – w dużej mierze za sprawą Mariusza Szczygła. Z kolei trochę szkoda mi zawsze Arnošta Lustiga, bo to był naprawdę świetny pisarz.

Bardzo cieszy mnie też obecność współczesnej czeskiej literatury kobiecej, zwłaszcza tej o wyraźnych rysach regionalnych – jak w książkach Kateřiny Tučkové czy Květy Legátové.

Czasami sięgam po książki także ze względu na doskonałe tłumaczenie. Takim znakiem jakości są dla mnie na przykład przekłady z angielskiego Magdy Heydel czy z czeskiego – zwłaszcza poezji – Jakuba Pacześniaka. A kiedyś bardzo regularnie, dziś już bardziej przygodnie, wracam także do „Literatury na Świecie”. To pismo wyjątkowe – mam wrażenie, że takiego czasopisma literackiego nie ma właściwie nigdzie indziej na świecie.

Ale oczywiście nie tylko czeską literaturą żyję. Ostatnio czytam seriami. Z literatury skandynawskiej – Roya Jacobsena, zawsze w doskonałych przekładach Iwony Zimnickiej. Z literatury amerykańskiej wróciłem do Cormaca McCarthy’ego – trochę za sprawą zainteresowania środowiskiem Instytutu Santa Fe, z którym był związany.

Regularnie sięgam też po literatury pozaeuropejskie. Daleko więc od jednej odpowiedzi na pytanie o ulubioną książkę czy autora. Moje wybory czytelnicze nie zawsze są spójne – w tym sensie jestem raczej ciekawy nieznanego niż przywiązany do jednego tytułu czy jednego pisarza.

Nie wspominałem jeszcze o książkach naukowych. Mam jednak swoją listę ważnych pozycji – takich, które nie są bezpośrednio związane z moją własną pracą badawczą, ale do których regularnie wracam i które w dużym stopniu kształtują mój sposób myślenia. Wśród nich jest na przykład *Nadzieja radykalna. Etyka w obliczu spustoszenia kulturowego* niedawno zmarłego intelektualisty z Chicago, Jonathana Leara; wydana przez nasze Wydawnictwo Na-

ukowe UMK książka Anny Lowenhaupt Tsing *Grzyb u kresu świata*; czy *The Land of Open Graves: Living and Dying on the Migrant Trail* Jasona De Leóna. To tylko kilka przykładów, ale wszystkie pokazują, jak bardzo inspirujące potrafią być książki powstające na styku różnych dyscyplin.

#### - Jak wygląda Pana warsztat pracy?

- Dużo czytania, dużo rozmów i – niestety – bardzo dużo kawy. Ale najprzyjemniejszą częścią mojej pracy, bardzo wciągającą, jest siedzenie w archiwach i odkrywanie ukrytych tam tajemnic. Spędziłem sporo czasu w archiwach w Polsce, Stanach Zjednoczonych, Czechach, Chorwacji i Litwie. Żmudna, ale bardzo wciągająca praca. Obecnie nie mam na nią – niestety – czasu.

#### - Jak podobają się Panu toruńskie mosty?

- Trafione pytanie – zbieramy z Żoną książki o mostach. Mosty zawsze są symbolem łączenia – ludzi, miejsc, idei. W tym sensie bardzo pasują do uniwersytetu. Te historyczne tworzą piękną ramę dla toruńskiej starówki, a z tych współczesnych... – jest przynajmniej o jeden most za mało.

#### - A chata na Kujawach?

- Powoli odzyskuje życie. Remont domu na wsi uczy cierpliwości – trochę jak nauka. To wietrzne Kujawy, wymagające, a zarazem skrywające wiele niedocenionego piękna.

#### - Dziękuję za rozmowę.

Zdjęcia: Andrzej Romański



Prof. Adam Kola i prof. Adam Izdebski

# Granice poznania



Prof. Piotr Wcisło z zespołem, styczeń 2026

**Toruńscy fizycy przesuwają granice poznania świata i wszechświata, a wszystko to dzięki ultranowoczesnym i unikatowym w świecie technologiom kwantowym stworzonym właśnie na UMK. O toruńskich rewelacjach informuje także prestiżowy magazyn „Nature Physics”.**

– Udało się nam stworzyć coś zupełnie unikalnego – mówi prof. Piotr Wcisło. – Możemy patrzeć na mechanikę kwantową ze strony takiej, z jakiej nikt dotąd nie patrzył. Przenieśliśmy technologie ultradokładnych, ultraprecyzyjnych pomiarów laserowych molekuł w reżim głębokich temperatur kriogenicznych. Schłodziliśmy do pojedynczych kelwinów całą optyczną wnękę o niezwykle wysokiej

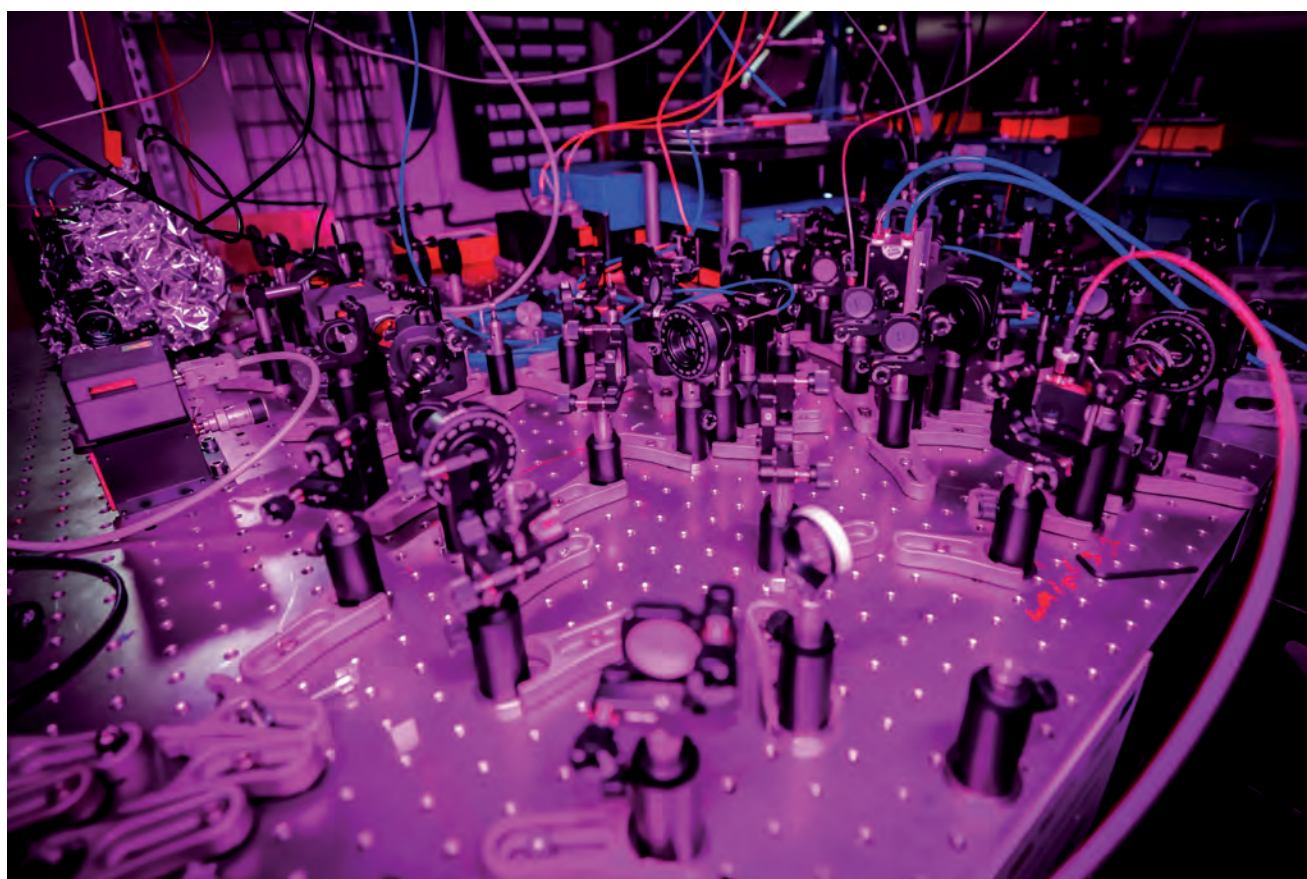
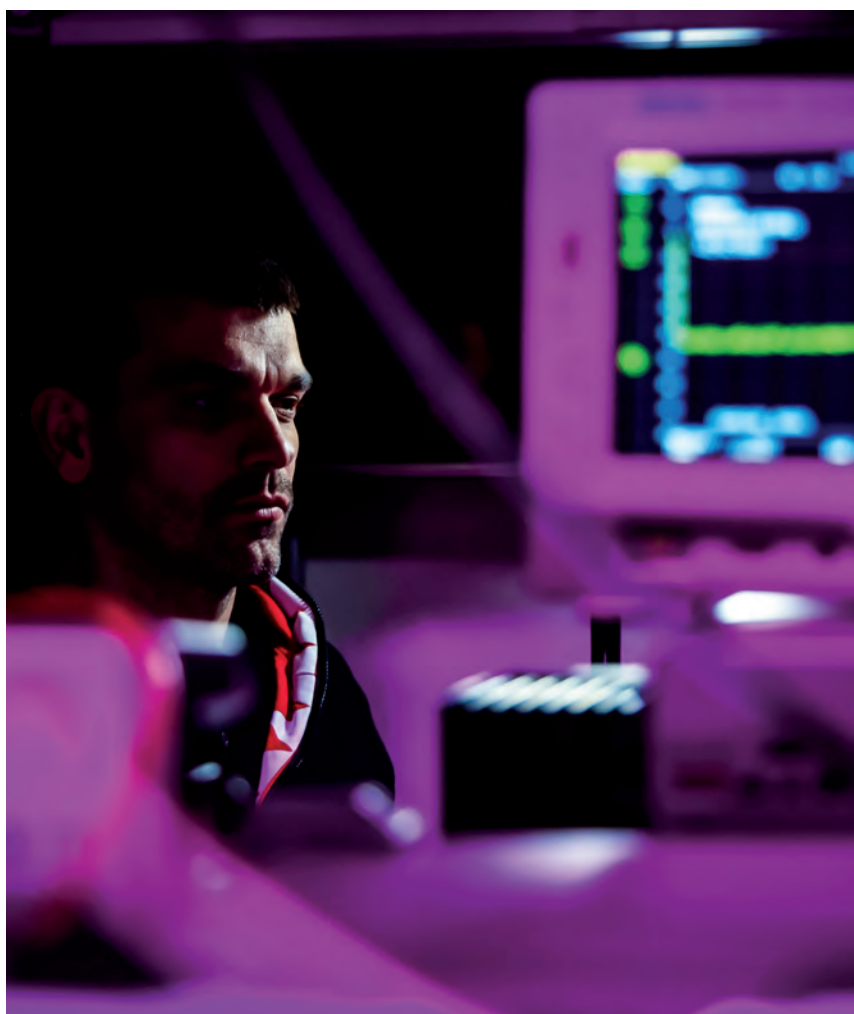
finezji. Jeśli zamrozimy wszelki ruch termiczny, to możemy popatrzeć na mechanikę kwantową z dużo większą dokładnością. I już od razu pierwsza kampania pomiarowa dała bardzo mocny wynik fizyczny, najdokładniejszy test teorii kwantowej dla układu czterech ciał. Z jednej strony teoria, genialni teoretycy, też Polacy, grupa prof. Pachuckiego z Warszawy, z drugiej strony nasze zaawansowane technologie kwantowe, ultradokładne pomiary. To razem dało najdokładniejszy test modelu standardowego dla molekuł, jaki dotychczas był przeprowadzony. Oszałamiająca zdolność predykcji teorii kwantowej: 10 miejsc znaczących zgodności między teorią i eksperymentem. Co ważne – to jest w pełni polski wynik!

Z pewnością dla osób, którym obca jest wiedza z fizyki, a zwłaszcza fizyki kwantowej, to, co mówi prof. Wcisło brzmi zapewne bardzo tajemniczo. Niewątpliwie jednak to, co dzieje się w toruńskich pracowniach fizyków, będzie (a w zasadzie już jest) szeroko w naukowym świecie komentowane. Uчени zapowiadają, że to dopiero początek odkryć, wyniki ich badań zaś mają zarówno teoretyczne, jak i także bardzo praktyczne znaczenie – choćby przy definiowaniu na nowo jednostek czy badaniu nie tylko naszej planety, ale i odległych zakątków wszechświata.

Skład zespołu autorów tworzą: mgr Kamil Stankiewicz, mgr inż. Marcin Makowski, dr inż. Michał Słowiński, mgr inż. Kamil Leon Sołtys, mgr Bogdan Bednarski, dr Hubert Józwiak, dr Nikodem Stolarczyk, dr inż. Mateusz Narożnik, Dariusz Kierski, dr Szymon Wójtewicz, dr hab. Agata Cygan, prof. UMK, dr inż. Grzegorz Kowzan, dr hab. Piotr Maśłowski, prof. UMK, dr hab. Mariusz Piwiński, prof. UMK, prof. dr hab. Daniel Lisak i prof. dr hab. Piotr Wcisło. (win)

W publikacji wykorzystano wypowiedź prof. Piotra Wcisły dla UMK TV.

Zdjęcia: Andrzej Romański



# Welconomy w niebezpiecznych czasach



23 i 24 lutego w Toruniu odbyła się kolejna edycja Welconomy Forum. To ważna i prestiżowa debata gospodarcza, która od lat gromadzi przedstawicieli świata nauki, biznesu, administracji publicznej i polityki. Tegoroczna przebiegała pod hasłem *Po pierwsze bezpieczeństwo...* – i to rozumiane w różnorodnych aspektach – od kwestii militarnej po zagrożenia natury społecznej, ekonomicznej i zdrowotnej.

Tradycyjnie już znaczącą rolę w spotkaniach odegrał Uniwersytet Mikołaja Kopernika. W ramach „Strefy UMK” odbyło się kilka paneli moderowanych przez ekspertów uczelni. Moderatorem panelu *Medycyna w czasach dezinformacji. Fake news, manipulacje, czyli jak odróżnić naukę od iluzji?* był dr Marek Jurgowiak z Collegium Medicum UMK, członek naszego zespołu redakcyjnego.

Obecność UMK na Welconomy 2026 kolejny raz jest dowodem na to, że uczelnie nie są jedynie dostawcami wiedzy teoretycznej, lecz aktywnymi partnerami w analizowaniu aktualnych problemów społecznych i gospodarczych. Badacze z różnych dyscyplin – od ekonomii, przez prawo, po nauki medyczne i filozofię – przyczynili się do wieloaspektowej refleksji tym razem nad tym, czym jest bezpieczeństwo w XXI wieku i jak można je budować w warunkach szybkiej zmiany technologicznej i społecznej.

Z kolei dla społeczności akademickiej naszej uczelni udział w Welconomy 2026 to nie tylko możliwość prezentacji własnych badań i opinii, ale także szansa nawiązywania kontaktów z przedstawicielami administracji publicznej, biznesu i sektora samorządowego. To pokazuje, jak ważna jest współpraca między nauką a praktyką – zwłaszcza w sytuacji, gdy debaty publiczne dotyczą tak kluczowych kwestii jak odporność systemów, zdrowie społeczeństwa czy rozwój regionów.

(win)

# Kultowe miejsce Torunia



Z dr hab. Joanną Kucharzewską, prof. UMK, prorektorką Uniwersytetu Mikołaja Kopernika ds. promocji i współpracy z otoczeniem społeczno-gospodarczym, rozmawia Winicjusz Schulz

Fot. Andrzej Romański

**– Jest rok 1973. 500-lecie urodzin Mikołaja Kopernika. UMK zyskuje nie tylko nowoczesny kampus na Bielanych. Na południowej ścianie reprezentacyjnej auli pojawia się coś, czego wcześniej Toruń nie widział – jakieś dziwne kolorowe wzory na wielkich metalowych płytach – dzieło Stefana Knappa. Jak do tego doszło?**

– Zanim mieszkańcy miasta mogli zobaczyć kolorową i nowoczesną mozaikę na Auli UMK, dwa lata wcześniej doszło do rozmów, które zaważyły na obecnym kształcie południowej elewacji budynku. Stefan Knapp w 1971 roku przyjechał do Polski z Anglii, gdzie mieszkał po wojnie, aby wziąć udział w sympozjum kopernikańskim w Olsztynie. Udzielił wówczas wywiadu do gazety „Życie Warszawy”, w którym wyraził chęć wykonania dzieła artystycznego związanego z poruszaną tam tematyką. Wspo-

minał o tym Bogusław Mansfeld – zresztą na łamach „Głosu Uczelni” w 1997 roku. Podobno, to dziennik „Nowości” przyczynił się do skontaktowania artysty z projektantem kampusu UMK Ryszardem Karłowiczem.

**– Wspomniany rok 1973 to głęboki PRL, a mówimy o artyście emigracyjnym – tacy nie byli przez komunistyczne władze zbyt dobrze postrzegani.**

– To prawda. Jednak budowa auli według projektu Marka Różańskiego była już zaawansowana i spieszono się, aby zdążyć na rocznicę kopernikańską. Więc potrzeba było szybkich decyzji. Pierwotnie budynek miał być znacznie większy i oprócz funkcji reprezentacyjnych miał pełnić rolę filharmonii. Jednak w takiej postaci miał powstać dopiero w drugim etapie realizacji kampusu. Wobec braku

pewności czy drugi etap w ogóle nastąpi projektanci wraz z władzami rektorskimi podjęli ryzykowną, ale jakże słuszną z perspektywy czasu decyzję o budowie mniejszego gmachu, z okrojonym programem funkcjonalno-przestrzennym. Początek budowy auli to rok 1969. Zatem kiedy doszło do pierwszych rozmów ze Stefanem Knappem w 1971 roku budowa była już zaawansowana. Dalej sprawy potoczyły się już szybko. W kwietniu 1972 roku zawarto porozumienie między Stefanem Knappem a rektorem UMK prof. Witoldem Łukaszewiczem. W okresie Polski Ludowej zlecenia na projekty plastyczne i wykonawstwo artystyczne musiały przechodzić przez instytucję państwową – w tym przypadku było to Przedsiębiorstwo Państwowe Pracownie Sztuk Plastycznych (PP PSP).

Pod koniec lipca 1972 roku Kolegium Rzecznawców PP PSP przyjęło wycenę według obowiązujących cenników, w wysokości ponad 240 tys. złotych i co ciekawe w dokumentach zapisano: za wykonanie „okładziny ceramicznej” – podczas kiedy Stefan Knapp niewątpliwie myślał o technice emalii. Umowę podpisano 12 października 1972 roku, a w listopadzie tego samego roku siedem skrzyń, z 255 panelami, o łącznej wadze 1,5 ton były już w Toruniu. Wraz z nimi do Torunia przyjechał Ste-

fan Knapp. Warto dodać, że artysta koszty wykonania pokrył z własnych środków, przekazując dzieło UMK w darze, w związku z rocznicą 500-lecia urodzin patrona Uczelni.

#### - Gdy pierwszy raz zobaczyła Pani dzieło Knappa na auli UMK – spodobało się Pani?

- Jestem Torunianką, zatem mozaika była ze mną od zawsze. Spędzałam dzieciństwo na Przedmieściu Bydgoskim i Bielanych, a jedno z moich ulubionych (niestety czarno-białych) zdjęć to ujęcie na małym rowerku w wieku może 4 lat na tle auli z mozaiką. Nie wyobrażam sobie tego miejsca inaczej.

#### - Lata mijały. Paneau na auli wrosło już w pejzaż nie tylko samego UMK, ale i Torunia. Umawiano się „pod kropkami”.

- Tak, miejsce stało się kultowe. Ale mam przypuszczenie, że nie spodziewano się aż tak dużego sukcesu tego dzieła plastycznego, może trochę z powodu nieznaności tej techniki w kraju, a może trochę z obawy, czy owa nowoczesność zostanie dobrze odebrana. W protokole z odbioru Kolegium Rzecznawców PP PSP zapisano: „Modularna kom-



pozycja malarska z wizerunkiem Mikołaja Kopernika i zegarem, wykonana jest w technice niestosowanej w kraju”, a dalej „kompozycja w całości sprawia bardzo dobre wrażenie, jakkolwiek w module zegarowym nie harmonizuje z pozostałą częścią kompozycji”..., jak dobrze, że mimo wszystko zaryzykowali [śmiech].

**- Ale mijające lata zrobiły też swoje. Dzieła sztuki zwykle chronione są w klimatyzowanych galeriach, muzeach. Dzieło Knappa wystawione było przez kilkadziesiąt lat na słońce, deszcz, mróz, zanieczyszczenia. I te niekorzystnie wpłynęły na paneau. Trzeba było pomyśleć o konserwacji barwnych paneli. Włączyła się Pani w tę sprawę. Sytuacja była już dramatyczna?**

- W listopadzie 2022 roku - będąc wtedy dziekanem Wydziału Sztuk Pięknych - podjęłam rozmowy z kanclerzem dr. Tomaszem Jędrzejewskim i zastępcą kanclerza Marcinem Maksimem na temat stanu zachowania mozaiki Knappa i konieczności wykonania prac konserwatorskich zwłaszcza, że zbliżały się obchody 550. rocznicy kopernikańskiej. Ówczesne władze kanclerskie odniosły się do tego z pełnym zrozumieniem. W lutym 2023 roku wspólnie z prof. Piotrem Niemcewiczem przygotowaliśmy program konserwatorski i w kwietniu został złożony wniosek o dofinansowanie z Urzędu Miasta na prace konserwatorskie w wysokości połowy kwoty. Czekaliśmy z niecierpliwością na decyzję Miejskiego Konserwatora Zabytków, Prezydenta Miasta i Rady Miasta Torunia. W końcu przyszła... Jednak był to koniec lipca i mieliśmy tylko 3 miesiące na prace konserwatorskie. Z jednej strony czułam radość, z drugiej ciężar odpowiedzialności za terminowe i jakościowe wykonanie prac.

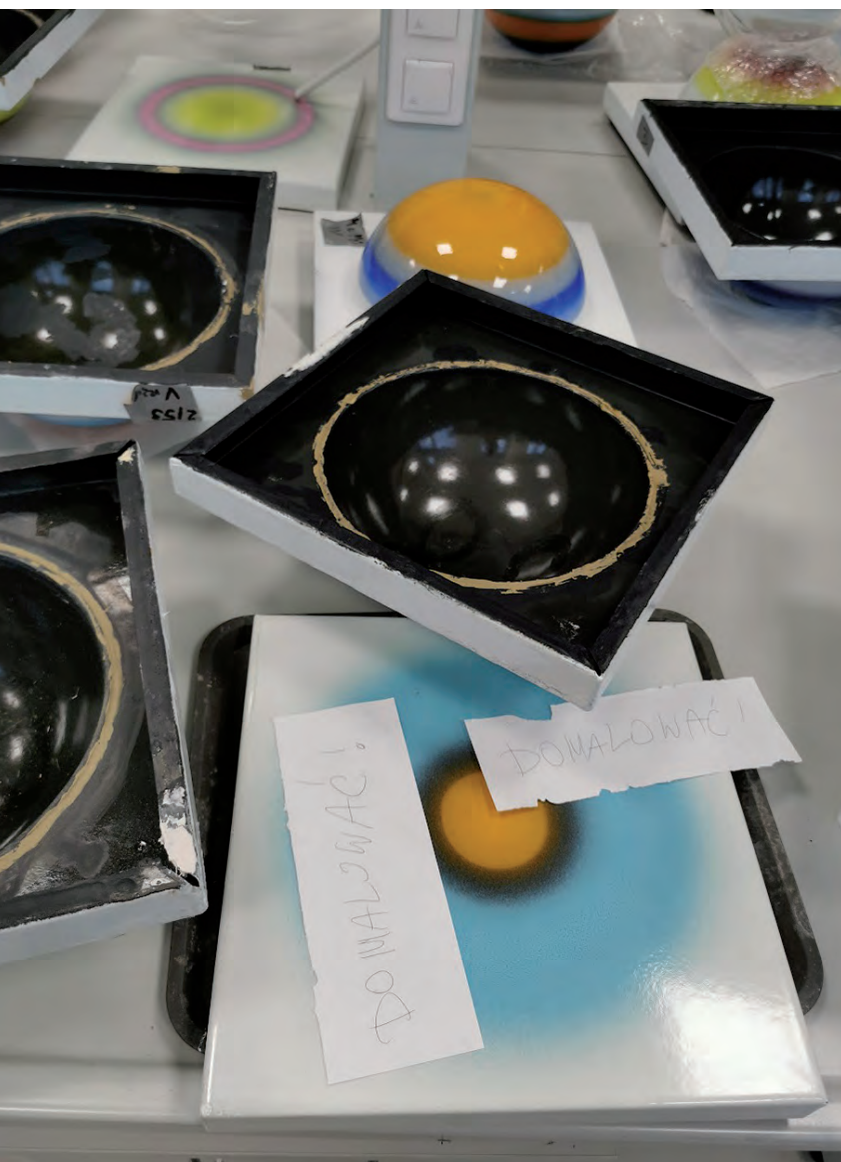
Dodatkowo po demontażu paneli okazało się, że stan odwrocia jest gorszy, niż się pierwotnie wydawało. Metalowa powierzchnia w wielu miejscach była silnie skorodowana. Na szczęście wszystko się powiodło dzięki pracy i niesamowitemu zaangażowaniu pracowników Katedry Konserwacji-Restauracji Architektury i Rzeźby, a także studentów, którzy w okresie wakacji wspierali pracowników w tych pracach. Ekscytacja i radość mieszały się ze zdenerwowaniem, ale dziś z perspektywy czasu wszyscy wiemy, że było to niecodzienne i niesamowite przeżycie oraz doświadczenie.

**- Knapp tworzył w bardzo specyficznej technice. To nie płótno, drewno czy kamień z określonej**



**epoki. Jak wówczas zabraliście się za to zadanie? Dysponowaliście pełną wiedzą o tym, jak Knapp tworzył, czy potrzebne było konserwatorskie śledztwo?**

- Tak, wiedzieliśmy, że to technika emalii. To jedna z najstarszych technik zdobniczych, znana od starożytności, jednak wówczas wykorzystywana była do dekorowania przedmiotów użytkowych, dewocjonaliów, obiektów kultu. Stefan Knapp wyniósł tę technikę do rangi wielkoformatowej dekoracji architektonicznej, sam zresztą pisał, że emalia to jego wkład w malarstwo ścienne. I rzeczywiście tak było. W Polsce bliźniaczą mozaikę można obejrzeć na olszyńskim planetarium, dwie kolejne prace na warszawskiej stacji metra „Wilanowska”.



### - Z pewnością łatwo nie było?

- Nie było, bo konserwatorzy z Katedry Konserwacji-Restauracji Architektury i Rzeźby musieli opracować autorską metodę oczyszczania, a potem konserwowania. Samo oczyszczanie było wyzwaniem – metoda na mokro nie szkodziła szklivu, ale już była niekorzystna dla metalowego podłoża. Trzeba było też poradzić sobie ze skorodowanym metalem, odkształceniami i uzupełnianiem ubytków. I to wszystko w niecałe trzy miesiące... Łatwo nie było.

### - I tanio chyba też nie?

- Tak, jak wspomniałam – połowę kosztów pokrył Uniwersytet, a połowę Urząd Miasta Torunia, z poparciem Miejskiego Konserwatora Zabytków.

**- Przy okazji chyba przekonaliście się, jak Toruńczycy pokochali panneau – gdy tylko panele zniknęły z frontonu auli – podniesiono alarm. Co się dzieje? Kto nam zabrał nasze „kropki”? To miłe.**

- Rzeczywiście mieszkańcy miasta szybko i emocjonalnie zareagowali na widok znikającej mozaiki. W sezonie ogórkowym był to regionalny „top news”. Uważam, że świetnym rozwiązaniem Działu Promocji i Komunikacji UMK było wyprodukowanie baneru z nadrukowaną mozaiką w skali 1:1, która była rekompensatą i remedium na smutki mieszkańców, którzy nie byli w stanie zaakceptować auli bez kolorowego panneau. A poza tym była to sprawa wizerunkowa Uczelni...

**- „Kropki” wróciły znów piękne. I uświetniły Rok Jubileuszowy UMK, a ze Stefanem Knappem związane były także niektóre jubileuszowe imprezy.**

- Kropki, bąble... różnie się je nazywa – wróciły, a z baneru Dział Promocji i Komunikacji zlecił uszyć plecaki, które rozeszły się w mgnieniu oka. Ta popularność mozaiki Stefana Knappa uzmysłowiła mi, że my po prostu ją lubimy, podoba się nam, więc w Roku Jubileuszowy UMK – w roku akademickim 2024–2025 postanowiłam jeszcze bardziej wykorzystać ten promocyjny atut. Produkty, które powstawały w Roku Jubileuszowy – opakowania kaw, miodów, pierników, zeszyty – posiadały na opakowaniach motywy odwołujące się do mozaiki Knappa. Potem powstała limitowana seria – poduszki, koce, gra „memory” – według artystycznej wizji

prof. Aleksandry Sojak-Borodo. Ale najważniejszym akcentem była monograficzna wystawa prac Stefana Knappa sprowadzonych do Torunia z Wielkiej Brytanii, szeroko reklamowana w mediach społecznościowych, na afiszach, plakatach, na tramwaju...

**- No właśnie teraz nastąpiło zwieńczenie Roku Jubileuszy: największa w Polsce wystawa dzieł Stefana Knappa w toruńskim Centrum Sztuki Współczesnej „Znaki Czasu”. Dodajmy: wystawa monumentalna. Zebrano na niej i ciekawie wyeksponowano dzieła tworzone w różnorodnych technikach – od rysunku po gobelin, od malarskiej miniatury po wielkopłaskocznynowe obrazy. Jest sztuka użytkowa, są rzeźby itd. Takich wystaw nie robi się w kilka dni czy tygodni. Kiedy i w jakich okolicznościach zrodził się pomysł?**

- Z pomysłem tym w 2024 roku przyszli do mnie pan prof. Mirosław Supruniuk i Katarzyna Moskała – pracownicy Muzeum Uniwersyteckiego. Opowiedzieli, że mają nawiązany kontakt z Fundacją Stefana Knappa w Wielkiej Brytanii i jest otwartość ze strony Fundacji, aby udostępnić prace na wystawę w Polsce. Był tylko „mały” problem – jak to zrobić? A przede wszystkim – jak sfinansować?

**- I jak to się udało?**

- Kiedy 1 września 2024 roku obejmowałam funkcję prorektorki ds. promocji i współpracy z otoczeniem społeczno-gospodarczym, wiedziałam, że najważniejsze wyzwanie, jakie mnie czeka w najbliższych tygodniach, to scenariusz Roku Jubileuszy, który trzeba było opracować w najdrobniejszym szczególe. Wówczas powstała cała koncepcja, kilkadziesiąt wydarzeń (w tym wystawa Stefana Knappa w CSW) ze szczegółowym kosztorysem i wnioskiem do Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego o dofinansowanie. Zdobyłam środki, a potem konsekwentnie z całym zespołem wspaniałych, zaangażowanych pracowników Uniwersytetu realizowaliśmy plan.

**- Już podczas wernisażu usłyszeliśmy, że ta ekspozycja spełniła dla rodziny artysty także rolę integracyjną. Przyjechali do Torunia liczni goście nie tylko z Wielkiej Brytanii, ale nawet z dalekiej Nowej Zelandii.**

- Tak, to było niesamowite spotkanie członków rodziny artysty, ale przede wszystkim zobaczyć ich



wzruszenie, że z takim pietysmem podchodzimy do spuścizny Stefana i że jego dzieła cieszą się takim zainteresowaniem.

**- Ale powróćmy jeszcze do „kuchni” organizacyjnej. Jak udało się zgromadzić tak liczne zbiory?**

- Na początku trzeba było zapewnić przestrzeń ekspozycyjną. Negocjacje z CSW trwały bardzo długo, około 10 miesięcy i trzykrotnie przesuwany był termin wernisażu. Dzieła w większości były w jednym miejscu – w Walii, poza kilkoma, które sprowadziliśmy z Biłgoraja (rodzinnego miasta artysty).

**- Jak wyglądała ta cała logistyka, z transportem włącznie?**

- Sprowadzenie dzieł z Wielkiej Brytanii, czyli spoza strefy Unii Europejskiej, wymagało dużego za-

angażowania. Było wiele formalności, także z ubezpieczeniem dzieł na czas transportu z Walii i na czas przebywania ich w Polsce oraz wewnętrznego transportu między kampusem, Muzeum Uniwersyteckim, pracowniami konserwatorskimi a CSW.

**- No i znalezienie godnej dzieł przestrzeni wystawowej.**

- W Toruniu było to tylko CSW. Ale warto podkreślić, że rodzina podarowała UMK kilka prac i po zakończeniu wystawy będą one prezentowane na terenie Uczelni.

**- A potem sama aranżacja wystawy. Kuratorem trwającej wciąż wystawy jest Katarzyna Moskała.**



Fot. Piotr Niemcewicz (2023 r.)

**To wszystko jej pomysły, czy także – choć częściowo – „praca zespołowa”?**

- Kuratorem wystawy jest Katarzyna Moskała i to ona stworzyła jej koncepcję. Jednak bez pracy wielu osób ta wystawa nie doszłaby do skutku. Trzeba tu wymienić konserwatorów zabytków zarówno z Katedry Konserwacji-Restauracji Architektury i Rzeźby WSP, jak i z Biblioteki Uniwersyteckiej, którzy przygotowali prace do ekspozycji. Graficzka Anna Schmeichel pracowała nad katalogiem i oprawą graficzną wystawy. Dr Jakub Wawrzak opracował multimedialną wizualizację paneau z Auli UMK, prezentowaną na wystawie w CSW. Pracownicy CSW pomagali w montażu wystawy. Dr Joanna Cieślukowska, która była współredaktorką katalogu, cały zespół redakcyjny i dyrekcja Wydawnictwa Naukowego – „stanęli na głowie”, aby katalog i autobiografia Stefana Knappa gotowe były na dzień wernisażu.

**- No właśnie, postanowiliście Państwo na samej prezentacji dzieł Knappa nie skończyć. Wystawie towarzyszą także publikacje.**

- Tak, jest to katalog wystawy pt. *Stefan Knapp – alchemik i wizjoner* pod red. Katarzyny Moskały i Joanny Cieślukowskiej oraz nowe wydanie autobiografii Stefana Knappa pt. *Kwadratowe słońce* – wstrząsający opis gehenny, jaką przeszedł podczas uwięzienia w sowieckim łagrze i późniejszej walki w dywizjonie RAF-u pod koniec II wojny światowej. Obydwie książki ukazały się nakładem Wydawnictwa Naukowego UMK.

**- Do kiedy będzie można oglądać wystawę *Stefan Knapp – alchemik i wizjoner*?**

- Do 31 maja bieżącego roku.

**- Dziękuję za rozmowę.**

Fot. Joanna Kucharzewska – pozostałe zdjęcia zostały wykonane w 2023 r. podczas konserwacji paneli Knappa w Centrum Badań i Konserwacji Dziedzictwa Kulturowego przy Wydziale Sztuk Pięknych UMK.

Winicjusz Schulz

## Co dał nam Stefan Knapp?

Wystawa retrospektywna to z pewnością także szukanie odpowiedzi na pytanie: co dał nam dany artysta, czym zauroczył, zafascynował, czy na taką prezentację sobie... zasłużył? Ale to zarazem także spotkanie intymne, podczas którego każdy z nas może samego siebie zapytać o stosunek do danego twórcy.

W Centrum Sztuki Współczesnej „Znaki Czasu” w Toruniu obejrzeć można retrospektywną wystawę *Stefan Knapp – alchemik i wizjoner*. Jest więc to świetna okazja, by poszukać odpowiedzi na powyższe pytania. Wystawa – symboliczny finał obchodów 80-lecia Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu – czynna będzie do 31 maja 2026 r.

Na otwarciu były tłumy. Już to był znaczący sygnał, że mamy do czynienia z postacią nietuzinkową. Na dodatek z niemal całego świata: od Biłgoraja, poprzez Anglię po aż Nową Zelandię do Torunia zjechali członkowie rodziny Stefana Knappa, w tym jego żona – Kathy Evans-Knapp. Gdy chwilę rozmawialiśmy i usłyszała ode mnie, że w tym samym miejscu podobne tłumy honorowały na przykład Bryana Adamsa i jego dzieła w tym przypadku nie piosenkarskie, lecz fotograficzne, uśmiechnęła się znacząco. – Kojarzy Pani tę postać? – postanowiłem się upewnić. – Ależ tak. To ten wokalista – odpowiedziała.

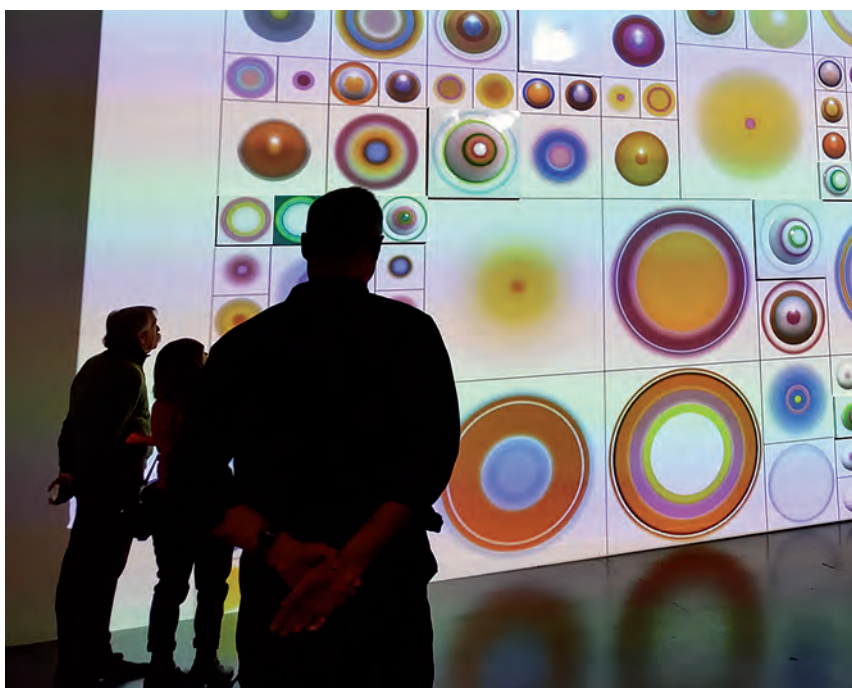
No więc – były tłumy. Ale było też bogato artystycznie. Nim zerkniemy na piętro „Znaków czasu” (bo tam na rozległej przestrzeni dzieła Knappa są pokazywane) może garść wiadomości o samym artyście. Bez nich oglądanie sporej części wystawy będzie uboższe, mniej zrozumiałe.

Stefan Knapp (11 lipca 1921 – 12 października 1996) to znacząca postać w gronie polskich artystów XX wieku. Malarz, rzeźbiarz i, co bardzo ważne, wynalazca unikatowej techniki twórczej. To w dużej mierze dzięki niej mógł malarstwo oddać na usługi innych sztuk, z architekturą, rzeźbą na czele. To ta technika (którą my – Toruńczycy, widzimy na frontonie auli UMK) sprawiła, że dzieło z elitarnego tworu dostępnego nielicznym w galeriach, muzeach, stało się czymś tak... demokratycznym, że obcować z nim



może każdy, kto wędruje ulicą, odwiedza gmachy użyteczności publicznej, wylatuje w świat z lotniska.

Ale wróćmy do biografii Knappa. Większość życia artysta spędził na emigracji w Wielkiej Brytanii.





Czasem nadużywa się określenia „światowy artysta”. W przypadku Knappa oddaje ono dobrze międzynarodowy charakter jego dorobku. Jego realizacje odnaleźć może bowiem w wielu krajach.

Stefan Knapp urodził się w Biłgoraju na Lubelszczyźnie. Podobno Stefan (wtedy jeszcze Knap) od najmłodszych lat interesował się plastyką. Do dalszego rozwoju musiała mu wystarczyć nauka w technikum we Lwowie. Rodzina do zbyt zamożnych nie należała, więc studia artystyczne musiały pozostać jedynie w sferze marzeń.

W biogramach Stefana Knappa obowiązkowy punkt stanowią informacje o jego losach w czasie II wojny światowej. To właśnie dramatyczne wydarzenia wojenne wyznaczyły na długie lata ścieżki jego życia. To trauma po nich i pragnienie nowego życia sprawiły, że sztuka w jego przypadku stała się swoistą autoterapią (a może nawet ratunkiem?). W trakcie radzieckiej okupacji został bowiem aresztowany i zesłany do sowieckiego łagru na Syberii, skąd wyszedł na wolność w ramach układu Sikorski-Majski. Wraz z armią Andersa dotarł na Zachód. W Wielkiej Brytanii służył jako pilot. To w czasie wojny żołnierz-artysta zmienił pisownię nazwiska, dodając w nim jedno „p”.

Już po wojnie Knapp rozpoczął studia artystyczne w Londynie – początkowo w Central School of Art and Design, potem w renomowanej Slade School of Fine Art, którą ukończył w 1950 roku. Szybko stał się artystą rozpoznawalnym. Już jego pierwsze wystawy zwróciły nań uwagę krytyki i publiczności – tak w Europie, jak i za Atlantykiem.

Dość szybko najbardziej rozpoznawalnym osiągnięciem Stefana Knappa była, wspomniana już, opracowana przez niego i opatentowana technika malowania emalią na stali. W tej technice powstały jego najbardziej znane realizacje: na londyńskim lotnisku Heathrow (1958) – jedna z pierwszych prac tego typu w przestrzeni publicznej. Wspomnieć trzeba także o monumentalnym dziele na centrum handlowym w Paramus (USA). W tamtych czasach uważane był za jedno z największych na świecie – składało się z setek paneli i miało wymiary ok. 60 × 15 m. Z murałem tym związana jest bardzo ciekawa historia: w przedsięwzięcie to początkowo miał być zaangażowany również najśłynniejszy surrealista Salvadore Dali. Gdy jednak dowiedział się, że ma być tylko asystentem Knappa, zrezygnował. Ciekawostką może być także to, że mural ten trafił na okładkę albumu *Atlas* amerykańskiego zespołu rockowego Real Estate. Dekoracje podobnego typu

powstały także m.in. dla budynków w Hamburgu, Paryżu, Nowym Jorku czy Tel Awiwie.

Knapp utrzymywał także kontakty z ojczystym krajem. W Polsce realizował takie ważne prace, jak znane nam wszystkim paneau na auli UMK w Toruniu, podobne w charakterze dzieło w Olsztynie. Do dać do tego trzeba również elementy dekoracyjne w warszawskim metrze na stacjach „Wilanowska” i „Pole Mokotowskie”.

Ale dorobek Knappa to nie tylko dzieła w emalii. Tworzył także rysunki, obrazy olejne i akrylowe, rzeźby z brązu i aluminium oraz gobeliny. To, co sprawia, że już na pierwszy rzut oka rozpoznajemy jego dzieła, to intensywny kolor, motywy geometryczne. I choć trudno zasufladkować tak nietypowego artystę, to jeśli już trzeba by to zrobić, plasowałby się gdzieś między surrealizmem, ekspresjonizmem a konceptualizmem. Stefan Knapp zmarł w 1996 roku w Anglii, tworzył do końca życia.

Prezentacja w Centrum Sztuki Współczesnej w Toruniu *Stefan Knapp – alchemik i wizjoner* to największa tego typu ekspozycja w Polsce po 1974 roku, czyli po pamiętnej wystawie w „Zachęcie”. Ponad sto dzieł artysty zebranych w jednym miejscu to wydarzenie unikatowe – od wczesnych obrazów po monumentalne realizacje z emalii – to rzeczywiście godna tego twórcy retrospektywa i panorama. Brawa dla Katarzyny Moskały – kuratorki wystawy oraz jej współpracowników.

Sala główna to Knapp najbardziej znany – ten szokujący barwami, wielkością, rozmachem. To także Knapp potrafiący upiększyć nasz świat – obrazem, gobelinem, rzeźbą. Na pograniczu plasują się takie przedmioty „nibyco codziennego” użytku jak lampy, by poprowadzić widza w zakątek zgoła inny – zagadkowy (gdyby nie znało się biografii Knappa). To ten zakątek syberyjski. Mroczny, wręcz demoniczny, naznaczony cytatami, ledwie rozświetlony prymitywną lampą zrobioną z gazety. To świat walki z demonami wojny, sowieckich łagrów. To z niego za wszelką cenę chciał uciekać Knapp. Czy mu się udało? Dziś już wiemy, że terapia sztuką okazała się ze wszelkich miar skuteczna. I gdy patrzy się na optymistyczne, pełne barw późniejsze prace, aż trudno uwierzyć, że poprzedziły je takie mroki historii.

Po obejrzeniu wystawy pora wrócić do tytułowego pytania: co dał nam Knapp? Dał wiarę, że nawet największe tragedie można „przepracować” w sobie, można z nich wyjść z wiarą w lepszy świat. I ten świat Knapp postanowił nam upiększyć – nie chowając swych dzieł w zakamarkach magazynów



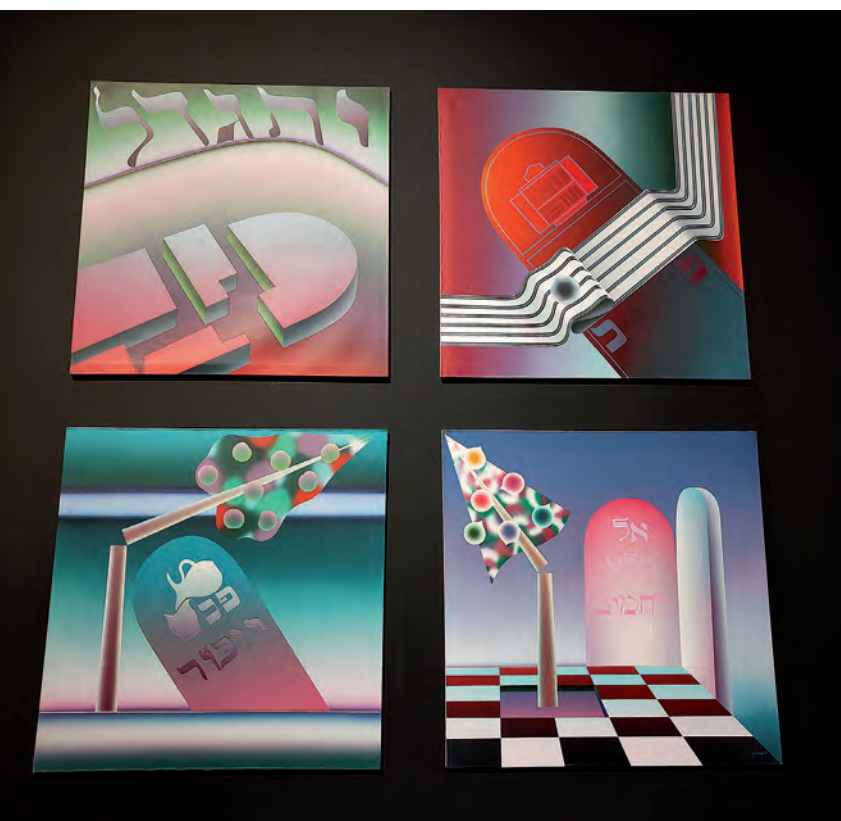
galerii czy muzeów. Umieszczając dzieła w przestrzeni publicznej, jakby mówił do każdego z nas: „Bierzcie i korzystajcie z tego wszyscy”. A my w Toruniu mamy to szczęście, że korzystać z tego możemy na co dzień.





I jeszcze na koniec jedna uwaga: ileż to razy używane są określenia w rodzaju „wydarzenie światowe”, „wydarzenie o randze europejskiej”. I, mam wrażenie, że nadużywane! Gdy jednak wychodziłem z gmachu „Znaków Czasu” przy Wałach Generała Sikorskiego, czułem, że uczestniczyłem w spotkaniu z wielką europejską sztuką. A państwo?

Zdjęcia: Winicjusz Schulz



## Kwadratowe słońce

Stefan Knapp.  
Alchemik i wizjoner



Baner: Anastazja Smułka

# Knapp – życie i twórczość

Z okazji otwarcia wystawy w toruńskim Centrum Sztuki Współczesnej „Znaki Czasu” *Stefan Knapp. Alchemik i wizjoner* (20 lutego br.) i jednocześnie na zakończenie Roku Jubileuszy Uniwersytetu Wydawnictwo Naukowe UMK opublikowało dwie książki. Pozwalają one lepiej poznać biografię i dzieła słynnego artysty.

Pierwszą z nich jest autobiografia *Kwadratowe słońce* przełożona z języka angielskiego przez Pawła Sokołowskiego i opatrzona jego przedmową, a także wstępem Katarzyny Moskały. Książkę wzbogacają mało znane fotografie pochodzące przede wszystkim z kolekcji Stefan Knapp Estate i Archiwum Emigracji UMK. Został również wydany album *Stefan Knapp. Alchemik i wizjoner* pod redakcją Katarzyny Moskały i Joanny Cieślukowskiej, ze wstępem Joanny Kucharzewskiej. To pierwsze tak bogato udokumentowane opracowanie poświęcone twórczości

artysty składa się m.in. z rozdziałów autorstwa Mai Tocznej-Wał, Katarzyny Moskały, Arlety Piaseckiej i Piotra Niemcewicza.

Więcej informacji o publikacjach i możliwości ich nabycia jest dostępnych na stronie internetowej wydawcy. ML



Winicjusz Schulz

# Zapomniany zakątek

Archeolodzy w okolicach nadwiślańskiego nabrzeża w Toruniu odślonili kolejne fragmenty jednej z najstarszych części średniowiecznego miasta – kompleksu Świętego Ducha. To nie tylko ruiny kościoła, ale świadectwo życia duchowego i społecznego mieszkańców Torunia od XIII do XVII wieku, które dzięki nowoczesnym badaniom coraz wyraźniej ukazuje swoje tajemnice. O sprawie też już kilka razy pisaliśmy w „Głosie”.

Współpracę w zakresie badań i ich dokumentowania podjęły Muzeum Okręgowe w Toruniu oraz Instytut Archeologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Badania finansowane są częściowo ze środków miasta. Dzięki temu prace odbywają się w sposób interdyscyplinarny, łącząc archeologię, historię, konserwację zabytków i nauki przyrodnicze.

Warto przypomnieć, że archeolodzy pracujący na rozległym terenie między Bramą Klasztorną a dawnymi Koszarami Raclawickimi odślonili między innymi: relikty zabudowy sakralnej i gospodar-

czej kompleksu – fragmenty murów kościoła i budynków towarzyszących, które mogą pochodzić już z XIII wieku, elementy murów obronnych i skarpy przy kościele, świadczące o konstrukcyjnych fazach rozwoju całego założenia, cmentarz przykościelny z licznymi pochówkami. To odkrycie jest szczególnie istotne, ponieważ cmentarze przykościelne są jednym z najbogatszych źródeł informacji o demografii, zwyczajach pogrzebowych i stanie zdrowia mieszkańców dawnego miasta.

Badania prowadzone są w wielu zakresach. Dokumentacja stratygrafii kulturowej i architektonicznej pozwala odtworzyć kolejne fazy zabudowy i użytkowania terenu. Datowanie specjalistyczne – dendrochronologia (z której UMK słynie) i analizy radiowęglowe umożliwia precyzyjne określenie wieku struktur drewnianych i organicznych.

Z kolei analizy źródeł historycznych, kartograficznych i ikonograficznych przydają badaniom archeologicznym szersze tło. Analiza dawnych dokumentów pozwala bowiem lepiej zrozumieć kon-



tekst odkryć. Artefakty ceramiczne, metalowe i organiczne są zabezpieczane i poddawane ochronie, by mogły być eksponowane lub dalej badane.

Choć już dotychczasowe odkrycia rzucają nowe światło na historię kompleksu Świętego Ducha, to badacze są przekonani, że to dopiero początek. Na wielu poziomach pod ziemią mogą kryć się kolejne warstwy zabudowy, relikty starszej osady przedlokacyjnej, a być może nawet bardziej złożone struktury sakralne i gospodarcze.

Dzięki nowoczesnym metodom badawczym i zaangażowaniu naukowców z UMK, „zapomniane nabrzeże” powoli odzyskuje swoją historię, ukazując ją współczesnym mieszkańcom Torunia. Dowiadujemy się znacznie więcej o przeszłości miasta.

I choć prace naukowe przy kompleksie Ducha Świętego dalekie są od zakończenia, postanowiono już teraz przybliżyć ich dotychczasowe efekty konferencją popularnonaukową oraz wystawą w Ratuszu Staromiejskim. Zainteresowanie tematem zaskoczyło organizatorów i prelegentów. Sala kinowa, gdzie konferencja się odbywała, nie mogła pomieścić wszystkich zainteresowanych.

W ramach wspomnianej sesji naukowej prof. dr hab. Krzysztof Mikulski wygłosił prelekcję *Nabrzeże historycznego Torunia od XIII do XVIII wieku*, prof. dr hab. Wojciech Chudziak – *Archeologia średniowiecznego zespołu sakralnego Ducha Świętego w Toruniu*, dr Ryszard Kaźmierczak – *Relikty architektoniczne zespołu sakralnego Ducha Świętego*, zaś dr hab. Tomasz Kozłowski, prof. UMK – *Ludność historycznego Torunia w świetle badań zespołu sakralnego Ducha Świętego*.

Warto dodać, że trafny tytuł imprezy *Zapomniane nabrzeże* można by rozszerzyć jeszcze o *pełne niespodzianek i zaskoczeń*, zwłaszcza dla osób, które mniej wtajemniczone są w dzieje Torunia. I tak chociażby wiele dowiedzieliśmy się o strukturach bractw, które zajmowały się żeglugą po Wiśle, o tym jak przeprawiano się przez rzekę bez mostu, jak wyglądała struktura społeczna, przeciętna długość życia, szczególnie pań (najdłużej żyły... zakonnice, bo nie rodziły dzieci, a powikłania okołoporodowe bywały częstą przyczyną zgonów kobiet). Ciekawe, ilu przechodniów zadaje sobie pytanie, dlaczego toruński żuraw jest tak daleko od Wisły, podczas gdy jego słynny odpowiednik w Gdańsku dumnie stoi na samym brzegu Motławy – wszak to dźwig portowy. Spieszymy zatem z wyjaśnieniem. Toruński też był kiedyś tak położony, ale gdy pobliski teren wciąż nawiedzały powodzie postanowiono zasypać teren ziemią, podnieść. I to dziś świetnie widać na skwerze





u wylotu ulicy Świętego Ducha na bulwary. Przy okazji zasypywano szczątki dawnych budowli. Te z kolei zakończyły swój żywot wraz z najazdami Szwedów, którym do dokończenia dzieła zniszczenia pomogli niektórzy Toruńczycy. Szwedzi byli protestantami, wspomniani Toruńczycy też, a kompleks Ducha Świętego miał rodowód i charakter katolicki – resztę możecie sobie państwo dopowiedzieć. Tak pokrętnie bywają dzieje – można by w tym kontekście przypomnieć choćby zburzenie toruńskiego zamku krzyżackiego. Wszak to także destrukcyjne działanie... Toruńian, choć oczywiście dokonane z innych powodów.

Zwieńczeniem konferencji była wystawa, na której zaprezentowano wiele z archeologicznych znalezisk: od drewna, fragmentów ceramiki po biżuterię, monety. Po prostu pamiątki z przeszłości naszego miasta!

Zdjęcia: Winicjusz Schulz





# Zwierciadło miasta

Z dr. hab. Wojciechem Goszczyńskim, prof. UMK z Katedry Badań Kultury, Instytutu Socjologii rozmawia Winicjusz Schulz

Fot. Andrzej Romański

**- Może zaczniemy trochę w stylu Alfreda Hitchcocka... Co najbardziej zaskoczyło, czy nawet zaskokowało, Pana po zakończeniu badań w ramach „Barometru Toruńskiego”? A może jednak takich zaskoczeń nie było?**

- Jeśli chodzi o wyniki, to wielkich zaskoczeń tutaj nie było. Wcześniejsze badania (między innymi zespołu profesor Marii Lewickiej) potwierdzały, że Torunianie lubią swoje miasto i to w barometrze toruńskim zdecydowanie widać. To, co dla mnie ważne, to rozejście się eksperckich i codziennych wizji Torunia. Z jednej strony mamy do czynienia ze wzro-

stem popularności koncepcji kompaktowych, zielonych, zrównoważonych miast. Badacze kładą nacisk na jakość usług publicznych, komunikacji miejskiej, dostosowanie do zmiany między innymi klimatycznych. Z drugiej strony mamy codzienność dojazdów do pracy, poszukiwania pracy, spędzania wolnego czasu. Barometr służył analizie tej drugiej rzeczywistości i tu okazuje się, że Torunianie jako podstawowy problem miasta postrzegają płynność transportu samochodowego, remonty ulic, możliwość dojazdu do pracy, szkoły czy na uczelnię. Przy tym niechętnie angażują się w samo miasto; ono jest pewną stabilną ramą. Ma być dobrze zarządzane, ma działać,

ale odpowiadają za to inni. Bardzo niskie wartości wskaźników dotyczą uczestnictwa w konsultacjach, działania na rzecz swojej okolicy, relacji z sąsiadami. Problemem Torunia, choć o ogólnopolskim charakterze, jest też dostęp do usług publicznych, takich jak na przykład ochrona zdrowia. Inaczej rzecz ujmując, ciężko dostać się do lekarza, mieszkania są coraz droższe, rynek pracy jest ograniczony.

To, co natomiast mnie zaskoczyło, działo się już po barometrze. Z jednej strony przewidywaliśmy takie reakcje, z drugiej strony żywa reakcja lokalnych komentatorów krytycznie podchodzących do wyników badania nieco nas zaskoczyła. Mam wrażenie, że jest wiele różnych oblicz Torunia. Inaczej podchodzą do niego eksperci, inaczej politycy, jeszcze inaczej zaangażowani mieszkańcy, a jeszcze inaczej „zwykli” obywatele. Tymczasem, barometr jest jednym z niewielu dużych narzędzi badawczych, który to im pozwala zabrać głos. Okazało się, że na przecięciu tych różnych rodzajów wiedzy o Toruniu pojawia się cały szereg emocji. Co było ciekawym, ale też trudnym doświadczeniem dla badaczy związanych na co dzień z akademią.

**- Nim przejdziemy do detali, przedstawmy naszym Czytelnikom sam projekt „Barometr Toruński” – kto, co, w jakim zakresie, jakimi metodami miał zbadać?**

- Jest to badanie typu CTQ (critical to quality), cykliczny pomiar kluczowych dla funkcjonowania miasta obszarów. Badanie dotyczyło komunikacji miejskiej, ruchu drogowego, stanu ulic, czystości miasta i gospodarki komunalnej, sportu, kultury, terenów zieleni, partycypacji oraz rozwoju. Oddzielny blok pytań badał jakość życia. Zależało nam na reprezentatywnym charakterze próby. Badanie zostało przeprowadzone z 420 mieszkańcami, techniką wywiadu kwestionariuszowego. Oznacza to, że ankieter rozmawiał bezpośrednio z wybranym mieszkańcem w jego domu. Łącznie przeprowadziliśmy około 210 godzin rozmów z mieszkańcami. Toruń został podzielony na odpowiednie obszary, losowaliśmy także adresy startowe. Następnie wyniki zostały poddanej obróbce statystycznej. Będziemy mogli monitorować zmiany natężenia poszczególnych wskaźników, dostarczając aktualnej wiedzy o zmianach w Toruniu.

**- Co stanie się z diagnozą naukowców? Pamiętam konferencję prasową, o ile dobrze pamiętam pod**

**koniec 2024 roku, z udziałem rektora UMK prof. Andrzeja Tretyna oraz prezydenta Torunia Pawła Gulewskiego. Zapytałem wówczas tego drugiego o dalsze losy zaleceń naukowców, nawet jeśli nie będą korespondowały z oczekiwaniami władz miasta. Obiecał, że potraktuje je bardzo poważnie.**

- Badanie projektowane było od początku w założeniu, że jego wyniki będą wykorzystywane do kształtowania poszczególnych polityk miejskich. Już sam proces budowania narzędzia polegał na warsztatowej pracy z zespołami ekspertów zaangażowanych w poszczególne obszary funkcjonowania miasta. Miało to w założeniu silniej związać narzędzie z potrzebami miasta oraz osób na co dzień z nim pracujących. Wykorzystanie barometru będzie przebiegało dwutorowo. Z jednej strony, jego wyniki są jednym z elementów wpływających na tworzenie budżetu miejskiego, a więc współdecydują o sposobach i kierunkach wydawania miejskich środków. Z drugiej strony, służą one poszczególnym biurom czy komórkom miejskim do monitoringu i planowania swoich działań. Ostatni, dla mnie najważniejszy, wpływ barometru związany jest z dyskusją o stanie miasta, która na jego podstawie się odbywa. Przy tym, naszym celem jest wyjście poza bańki mediów społecznościowych, organizujemy między innymi spotkanie z mieszkańcami w Instytucie Socjologii, które ma być poświęcone przyszłemu edycjom barometru.

**- Czy Toruń można dziś nazwać miastem silnych więzi społecznych czy raczej społeczeństwem jednostek? Jak zmieniły się relacje sąsiedzkie i lokalne wspólnoty w ostatnich latach? Jak ocenia Pan poziom zaufania społecznego w Toruniu – zarówno wobec instytucji, jak i między mieszkańcami?**

- Barometr jako badanie jest w stanie odpowiedzieć tylko na część z tych pytań. Część odpowiedzi znamy z innych badań o polskich miastach lub wiedzy o polskim społeczeństwie. Silna tożsamość, przywiązanie do miejsca mieszkańców Torunia nie przekłada się na ich zdolność do budowania szerszych relacji społecznych. To akurat o polskim społeczeństwie wiemy od dawna. To, co ciekawe, że proces ten w Toruniu (i to akurat barometr pokazuje) silnie związany jest z obszarem/dzielnica/

typem zabudowy. Wydaje się, że relacje na nowych osiedlach i w inwestycjach deweloperskich są mocno ograniczone (często do osiedlowego forum). Jest to przy tym bardzo złożone zjawisko. Może się wiązać z warstwą społeczną, strukturą zawodową, demografią takiego osiedla, ale także z tym, jaki charakter ma jego infrastruktura, jak zbudowana jest przestrzeń, czy są na nim usługi publiczne i dobrze zorganizowany transport miejski. Metaforą Torunia jest przy tym dla mnie obraz korków na Jarze czy lewobrzeżu. Zawsze z fascynacją (dojeżdżam tramwajem) obserwuję samochody z jednym kierowcą i okazjonalnie pasażerem, które czekają na przejazd przez miasto. W tym sensie lubimy Toruń jako miejsce indywidualnej realizacji naszych potrzeb. Miejsce pracy, przestrzeń historyczną, obszar relaksu, miasto uniwersyteckie, ale raczej nie jako wspólnotę. Co ciekawe, dużo lepiej przy tym wypadają starsze, tradycyjne obszary takiej jak Jakubskie i Mokre. Wskaźniki jakości życia (poza bezpieczeństwem) są w nich zdecydowanie wyższe niż na Jarze czy znacznej części lewobrzeża.

#### **- Jaką rolę w budowaniu wspólnotowości odgrywa organizacje społeczne i inicjatywy oddolne?**

- Mam wrażenie, że ich dynamika i rola, którą odgrywają, spada. Znowu jest to proces, który wykracza poza sam Toruń. W latach 2004-2012 obserwowaliśmy eksplozję inicjatyw, organizacji pozarządowych, ruchów miejskich, które zaczęły odgrywać realną i kluczową rolę w kształtowaniu miasta. To od nich wypływały pomysły na to, jak miasta mają funkcjonować, w jaki sposób można je zmieniać. Aktualnie obserwujemy spadek dynamiki rozwoju tego sektora. Co naturalne, organizacje się starzeją, są bardziej profesjonalne, ale mniej dynamiczne. Problemem jest to, że nie do końca powstają nowe. Mniej jest w nich energii, pomysłów, ale też ludzi. Jest to z jednej strony związane z zawirowaniami politycznymi i okresami utrudnionego finansowania ich działania, ale także z naturalnym zużywaniem się organizacji i chyba do pewnego stopnia także ze zmianą zachowań i oczekiwań osób do 30-35 roku życia. W mniejszym stopniu zasilają oni organizacje społeczne, stawiając raczej na indywidualne trajektorie kariery, często przy tym wyjeżdżając z miasta. Nie chcę przy tym zabrzmieć zbyt radykalnie. Toruń ma świetne organizacje pozarządowe, zaangażo-

wanych aktywistów i ciekawe inicjatywy oddolne. Mam przy tym jednak odczucie, że nieco zaczyna brakować przy tym nowej energii. Co ważniejsze też, w małym stopniu ich działanie przekłada się na aktywność samych mieszkańców. Akurat na to dowodów dostarcza barometr.

#### **- Czy młodzi często stąd wyjeżdżają i co musiałoby się stać, aby chcieli tu zostać? Czy Toruń jest miastem przyjaznym młodym ludziom – studentom i absolwentom Uniwersytetu Mikołaja Kopernika i innych szkół wyższych? Czy w Toruniu mamy raczej do czynienia ze zjawiskiem „drenażu mózgow” czy naturalną mobilnością społeczną? Jak zmienia się rola miasta średniej wielkości w Polsce w kontekście globalizacji i cyfryzacji?**

- Jednym z ciekawszych wyników barometru jest wyraźna różnica pomiędzy osobami mieszkającymi w Toruniu od urodzenia a przyjezdnymi. Co ciekawe, dotyczy ona głównie wątków związanych z perspektywami rozwoju, innowacyjnością miasta oraz rynkiem pracy. Toruń jest atrakcyjnym miastem oferującym w kompaktowych ramach wielkomiejską infrastrukturę (może poza usługami medycznymi). Tyle, że obwarowane jest to ważnym zastrzeżeniem. Możliwość znalezienia dobrej, innowacyjnej, interesującej pracy dla młodszej osoby jest w nim ograniczona. Szczególnie dotyczy to zawodów, które nie mogą korzystać z pracy zdalnej. Przy tym Toruń nie będzie nigdy konkurował z dużymi ośrodkami miejskimi takimi jak Poznań czy Trójmiasto. Pytanie, czy uda nam się znaleźć niszę, opartą na przykład na wiedzy, którą można w Toruniu wykorzystać. Zawsze imponowały mi miasta uniwersyteckie średniej wielkości w rodzaju Graz, które przynajmniej częściowo potrafiły zbudować prężnie działającą ekonomię, bazując na kapitale ludzkim związanym z uniwersytetem. Przy tym nie chodzi mi tu o samą aktywność pracowników uniwersytetu, ale o pewien klimat, energię, możliwości oraz instytucjonalną, ekonomiczną otoczkę wokół uczelni. Alternatywa jest dość przygnębiająca i oznacza drenaż mózgow oraz postępującą peryferyzację miasta. Mam wrażenie, że takie zagrożenie realnie w Toruniu istnieje. Jeśli miałbym oceniać szansę scenariuszy, to właśnie powolna regionalizacja/periferyzacja Torunia wydaje mi się bardziej realna. Z tej perspektywy wszyscy: społeczność uniwersytecka, władze miasta, przedsiębiorcy, mieszkańcy będziemy musieli się odnaleźć

w modelu Torunia jako miasta o regionalnym znaczeniu.

**- Czy w Toruniu pogłębiają się nierówności społeczne? W jakich obszarach są one najbardziej widoczne?**

- Tu zdecydowanie więcej do powiedzenia będzie miał profesor Arkadiusz Karwacki, którego zespół przygotowuje diagnozę usług społecznych w Toruniu. Cała idea współpracy z miastem zakładała, że obok głównego, ale też najbardziej ogólnego badania, jakim jest barometr, realizowane będzie szereg badań szczegółowych, pogłębiających wiedzę o poszczególnych obszarach. W tej chwili realizowana jest właśnie diagnoza usług społecznych oraz Toruńska Diagnoza Kultury, którą kieruje profesor Tomasz Szlendak.

**- Czy torunianie mają silne poczucie tożsamości lokalnej? A jeśli tak, to z czego ono wynika i jak się wyraża? Przecież nie chodzi tu tylko o słynne "jo" czy „szneki z glancem”. Jak dziedzictwo historyczne miasta – w tym starówka wpisana na listę UNESCO – wpływa na współczesne relacje społeczne?**

- Zdecydowanie tak, szczególnie rodowici, urodzeni w Toruniu. Używając języka psychologów miejsca i przywoływanym już badań profesor Marii Lewickiej: mieszkańcy Torunia wskazują na esencjonalność i istotne znaczenie miasta. Historyczny charakter zespołu starówki czy Bydgoskiego Przedmieścia, mniej lub bardziej stereotypowy związek z kulturą, ważne drużyny sportowe powodują, że to poczucie przywiązania do miasta jest dla rodowitych mieszkańców bardzo silne. Przy tym nakłada ono różowy filtr na to, co dzieje się w mieście. Samo w sobie jest ono zjawiskiem pozytywnym, prowadzi jednak do wysokich ocen zarówno historycznych, jak i współczesnych cech miasta.

**- Gdyby miał Pan wskazać trzy najważniejsze wskaźniki pokazujące kondycję społeczną Torunia – co by to było?**

- Bardzo niski wskaźnik partycypacji w życiu miasta, bardzo wysoki wskaźnik zadowolenia

z obszarów takich jak kultura, tereny zieleni i sport oraz bardzo zindywidualizowane praktyki poruszania się po mieście. Toruń działa jako realna lub wyobrażona rama dla naszych indywidualnych aktywności.

**- Czy dane statystyczne nadążają za realnymi procesami społecznymi, czy raczej je upraszczają?**

- Każde badania upraszczają rzeczywistość. Taki jest urok, ale i też ograniczenie badania. Tworząc teoretyczne ramy badania, wybierając obszary, budując narzędzia, określając sposób pomiaru, stosując statystyczne testy, upraszczamy rzeczywistość społeczną miasta starając się ją zakłócić w indeksach, wskaźnikach, tabelkach. Pozostaje mieć nadzieję, że nasze badania pozostają na tyle trafne i rzetelne, że mogą one stanowić cegiełkę, element budowania wiedzy o mieście. Przy tym tych systemów wiedzy jest cały szereg: od raportów eksperckich poprzez codzienne doświadczenia miasta przez mieszkańca. Mocną stroną badania takiego jak barometr jest przy tym pewien rygor myślenia, zadawania pytań i pomiaru miasta. Jest to wiedza, z którą można i trzeba dyskutować, ale jest to możliwe właśnie dzięki kuchni takiego badania, która jest otwarta, dostępna krytyce, sprawdzalna i powtarzalna.

**- I co dalej z projektem? Z tego, co wiem, ma być kontynuowany.**

- Tak, założeniem barometru jest jego powtarzalność. Kluczowe, główne wskaźniki będziemy mogli porównywać pomiędzy kolejnymi pomiarami oceniając zmiany, które zachodzą w mieście. Kolejna edycja barometru planowana jest na wrzesień 2026 roku.

Na koniec tej rozmowy chciałbym jeszcze skorzystać z okazji i podziękować za zaangażowanie całego zespołu w badania. Barometr nie jest dziełem pojedynczego badacza, ale wynikiem zespołowej pracy. Szczególne podziękowania chciałbym skierować do Pani Joanny Suchomskiej oraz Pani Joanny Stankowskiej. Zaangażowanie obu badaczek było kluczowe dla całego badania.

**- Dziękuję za rozmowę.**

# Konwalia od Uniwersytetu

*Convalaria Copernicana* – piękne, symboliczne wyróżnienie – od Uniwersytetu Mikołaja Kopernika dla tych, którzy z Uniwersytetem w sercu idą przez całe życie, oddając mu siły, talent, wiedzę. Niewątpliwie dr Cecylia Iwaniszewska w pełni na nie zasłużyła. Towarzyszy UMK od zarania dziejów uczelni, od pierwszego roku – najpierw jako studentka, potem jako pracownik naukowy, wreszcie także jako popularyzator nauki, społecznik. Spotykaliśmy się wielokrotnie, wiele razy mieliśmy okazję rozmawiać. Zawsze to były ciekawe i pełne serdeczności spotkania.

Na łamach „Głosu” była także bohaterką obszernego wywiadu, w którym jakże ciekawie opowiadała o swych naukowych pasjach, związkach z UMK, spotkaniach z wielkimi uczonymi, którzy nasz Uniwersytet współtworzyli (podobnie jak i ona).

Nie dziw, że przyszła i na nią kolej w uhonorowaniu Kopernikańską konwalia. Pech polegał na tym, że ona, która zawsze obecna była na uniwersyteckich uroczystościach, na tę jakże dla niej ważną – lutowe Święto Uniwersytetu – przybyć nie mogła. Zdrowie nie pozwoliło. Poprosiła syna dr. hab. Jana Iwaniszewskiego, emerytowanego profesora UMK, o odebranie nagrody oraz odczytanie podczas Święta Uniwersytetu listu od niej. I list ten publikujemy.

**Winicjusz Schulz**

Toruń, 19 lutego 2026 r.

Magnificencjo Panie Rektorze,  
Dostojni Senatorowie,  
Szanowni Państwo,

*Convallaria Copernicana*. Konwalia Kopernikańska. Było mi niezmiernie miło, gdy pod koniec 2002 r. wybrano zaproponowaną przeze mnie tę właśnie nazwę dla ustanowionego wtedy szczególnego wyróżnienia przyznawanego przez Senat Uniwersytetu Mikołaja Kopernika za wybitny wkład do nauki lub szczególne zasługi dla rozwoju Uniwersytetu. I nie przypuszczałam wówczas, że po dwudziestu paru latach ja sama dostąpię zaszczytu odebrania Jej



Fot. Andrzej Romański

z rąk Jego Magnificencji Rektora UMK. Serdecznie za to wyróżnienie dziękuję.

Było to w październiku 1945 r. Pierwszy raz znalazłam się w murach UMK, miałam jeszcze 16 lat (urodziłam się w listopadzie), dopiero za parę dni, 6 listopada, miałam zdawać egzamin maturalny. A ja przyszłam sprawdzić warunki studiów. Nie zwlekając, zaraz po maturze, zapisałam się na studia na kierunku matematyka, a już 4 grudnia wysłuchałam pierwszego uniwersyteckiego wykładu – był to wykład z analizy matematycznej prof. Juliusza Rudnickiego. Wreszcie 5 stycznia 1946 r. wzięłam udział w inauguracji pierwszego roku akademickiego. Byłam dumną studentką Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu z indeksem o numerze 94 MP. Wspomnę w tym miejscu, że moim kolegą, z indeksem o numerze 1 MP, był późniejszy profesor chemii Marian Kryszewski, laureat pierwszego wyróżnienia *Convalaria Copernicana* z 2004 r.

Tak to się zaczęło, aż 80 lat temu, ale zaledwie 3 miesiące po oficjalnym powstaniu UMK. Jesteśmy więc równo latkami. Przez te 80 lat należałam do różnych grup wspólnoty akademickiej. Najpierw byłam studentką matematyki, ale po 2 latach namówiona i zainteresowana astronomią stałam się studentką astronomii. Jednocześnie profesor Wilhelmina Iwanowska zaproponowała mi stanowisko zastępcy asystenta w Katedrze Astrofizyki. Znalazłam się więc w gronie pracowników. A potem magisterium, doktorat, praca naukowa, dydaktyczna, organizacyjna. Aż do roku 1989, gdy przeszłam na emeryturę. Jednak Uniwersytet pozostał nadal moim głównym miejscem „spędzania czasu”. Do 2007 roku prowadziłam jeszcze zajęcia dla studentów, przede wszystkim biologii, a pod koniec lat 90. włączyłam się do pracy w Stowarzyszeniu Absolwentów UMK. Trwa to aż do dziś.

Ale Uniwersytet Mikołaja Kopernika dla mnie to nie tylko moja praca. To tu poznałam mego męża Henryka Iwaniszewskiego, astronoma kładącego podwaliny pod toruńską radioastronomię. Mąż zmarł w 1981 r. Tu studiował i pracował mój młodszy syn Jan, fizyk, od pół roku emerytowany profesor UMK. Tu kształciły się moja mama i moje siostry, później i wnuki, tu poznawałam przyjaciół.

W połowie lat 60-tych rozpoczęły się na UMK przygotowania do 500. rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika. Zostałam redaktorem wydawanej przez Towarzystwo Naukowe w Toruniu serii książeczek promujących rocznicę pod nazwą „Biblioteczka Kopernikańska”, pisałam artykuły popularne związane z Kopernikiem, jeździłam z odczytami do szkół, do małych miasteczek, do krajów ościennych. Tak zaczęła się moja wieloletnia praca popularyzatorska – mówiłam o Koperniku, o astronomii i jej nauczaniu, o studiach na UMK. Wkrótce aktywność ta urosła do rangi międzynarodowej. W latach 1970–2002 jako reprezentant Polski pracowałam w Komisji Nauczania Astronomii Międzynarodowej Unii Astronomicznej, pełniąc przez jedną kadencję funkcję jej Prezydenta. Odwiedziłam w tym czasie kilkanaście krajów w Europie, Ameryce Północnej, Indii. Wymieniałam się doświadczeniami w nauczaniu i popularyzacji astronomii, spotykałam z nauczycielami, odwiedzałam szkoły, opowiadałam o astronomii i o Polsce.

Uniwersytet, *Universitas* – czyli ogół, całość. Gdy w średniowieczu zaczęły się kształtować uniwersytety słowo to oznaczało wspólnotę mistrzów i uczniów – *universitas magistrorum et scholarium*. I tym był dla mnie zawsze nasz Uniwersytet. Współ-



Fot. Mikołaj Kuras

notą mistrzów – naukowców i nauczycieli akademickich, uczniów – studentów i młodych adeptów nauki, ale także i innych osób – pracowników administracji, pracowników technicznych. Wreszcie i tych, którzy ciągle czują łączność ze swą *Alma Mater* – absolwentów. Sama byłam przecież jednocześnie i studentką i asystentem, byłam nauczycielem i zastępcą dyrektora instytutu, sama byłam i nadal jestem Absolwentką. Z wielu osobami tej Wspólnoty współpracowałam i utrzymywałam żywe kontakty, przyjaźnie, także poza Uniwersytetem – w stowarzyszeniach naukowych i popularyzujących naukę, w organizacjach działających na rzecz Torunia i jego mieszkańców, w stowarzyszeniach katolickich, no i oczywiście na gruncie prywatnym.

Panie Rektorze, Szanowni Państwo,  
Z domu rodzinnego wyniosłam podstawowe, tak ważne dla mnie wartości – wiarę katolicką, rozumienie znaczenie rodziny, szacunek dla drugiego człowieka. Ale jakże dużo zawdzięczam również wielu osobom, które dane było mi spotkać, z toruńskiego, Kopernikańskiego, mojego *Universitas*. Tym, którzy przez 80 lat mniej lub bardziej świadomie kształtowali mnie, byli dla mnie wzorem, punktem odniesienia. I gdyby nie oni zapewne nie stałabym tu, w tym miejscu, przed Państwem, jako Laureatka *Convallaria Copernicana*. Za to szczególne Wyróżnienie, jeszcze raz więc dziękuję Wysokiemu Senatowi, ale dziękuję także wszystkim tym, którzy mnie do tego miejsca doprowadzili.

dr Cecylia Iwaniszewska  
(red. dr hab. Jan Iwaniszewski)

Panie Rektorze, Szanowni Państwo,  
Mama, od chwili, gdy dowiedziała się o przyznaniu jej *Convallarii*, czuła się bardzo zaszczycona, a jednocześnie była tym bardzo przejęta. I od długiego czasu przygotowywała się do dzisiejszej uroczystości, mówiła o niej, planowała swe wystąpienie. Jednak od półtora miesiąca Mama przebywa w szpitalu. Bardzo chciała dziś tu przybyć. Jeszcze na początku lutego mieliśmy nadzieję, że to się uda. Niestety...

Mama prosiła więc mnie o odczytanie tego, co chciałyby powiedzieć sama, odbierając to zaszczytne wyróżnienie. Wiem, że Mama ogląda nas teraz w szpitalu dzięki transmisji internetowej i pomocy mego syna Maćka, zatem chociaż w ten sposób jest obecna razem z nami.

dr hab. Jan Iwaniszewski, prof. UMK

Winicjusz Schulz

## Czy maszyny potrafią myśleć?

Refleksje na kanwie wykładu prof. Andrzeja Dragana

Jedni się jej boją, snując wizje rodem z *Terminatora* lub *Matriksa*, inni widzą w niej kolejną cywilizacyjną rewolucję ludzkości (po przemysłowej i cyfrowej). Sztuczna inteligencja w ciągu ostatnich lat przestała jednak być domeną literatury czy filmów science fiction oraz laboratoriów badawczych.

Dziś przecież (choć niekoniecznie zdajemy sobie z tego na co dzień sprawę) algorytmy piszą teksty, tworzą obrazy, komponują muzykę, diagnozują choroby, prowadzą samochody – by wymienić tylko niektóre przykłady. W obliczu tak spektakularnych osiągnięć naturalnie powraca pytanie, które ponad 70 lat temu postawił Alan Turing: czy maszyny potrafią myśleć?

I właśnie wokół tego zagadnienia koncentrował się toruński wykład prof. Andrzeja Dragana z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego – fizyka



Fot. z profilu społecznościowego Andrzeja Dragana

teoretyka i popularyzatora nauki, znanego z łączenia precyzji nauk ścisłych z filozoficzną refleksją. Wypada dodać: takie spotkania powinny być „lekturą obowiązkową” nie tylko dla reprezentantów nauk ścisłych. Skłaniają do refleksji – także jak najbardziej humanistycznych...

Najpierw ta fundamentalna – czym w zasadzie jest „myślenie”? Bo przecież pierwszym problemem nie jest sama maszyna, lecz definicja. Co to znaczy „myśleć”? Czy myślenie to rozwiązywanie problemów? Świadomość? Intencjonalność? A może zdolność do tworzenia nowych idei?

Alan Turing (brytyjski matematyk, informatyk i wojskowy; zajmował się głównie matematyką stosowaną: probabilistyką, teorią obliczalności, kryptologią i biomatematyką) zaproponował obejście tego

problemu poprzez test nazwany od jego nazwiska: jeśli w rozmowie nie potrafimy odróżnić maszyny od człowieka, to praktycznie rzecz biorąc możemy uznać, że „myśli”. Współczesne systemy językowe coraz częściej zbliżają się do tego progu, generując wypowiedzi trudne do odróżnienia od ludzkich. Ale czy test Turinga wystarczy?

Prof. Dragan podkreśla, że współczesna AI nie jest magiczną, świadomą istotą, lecz złożonym systemem statystycznym, który analizuje ogromne ilości danych i wykrywa w nich wzorce.

Modele językowe nie „rozumieją” świata w ludzkim sensie – uczą się przewidywać kolejne słowo na podstawie prawdopodobieństwa wynikającego z wcześniejszych danych. Sieci neuronowe nie posiadają intencji ani doświadczeń. Ich „wiedza” jest wynikiem matematycznej optymalizacji.

A jednak efekty bywają zdumiewające. Maszyny potrafią tworzyć teksty filozoficzne, pisać kod, analizować obrazy medyczne czy prowadzić dialogi sprawiające wrażenie refleksyjnych.

Czy zatem różnica między człowiekiem a maszyną jest jakościowa czy tylko ilościowa?

Jednym z kluczowych wątków jest rozróżnienie między symulacją a rzeczywistością. Samolot nie macha skrzydłami jak ptak, a jednak lata. Kalkulator nie „rozumie” matematyki, a mimo to liczy szybciej niż człowiek. Czy z myśleniem może być podobnie? Czy możliwe, że inteligencja nie wymaga świadomości, emocji ani biologicznego mózgu – wystarczy odpowiednia struktura obliczeniowa? Z drugiej strony pojawia się argument, że maszyna operuje wyłącznie symbolami, nie posiadając subiektywnego doświadczenia. Nie ma „punktu widzenia”. Nie odczuwa. Nie przeżywa. Jej odpowiedzi są wynikiem obliczeń, nie wewnętrznego świata. To prowadzi do pytania głębszego niż techniczne: czy myślenie wymaga świadomości?

Prof. Dragan zwraca uwagę, że choć AI osiąga imponujące rezultaty, jej działanie ma wyraźne ograniczenia. Nie posiada autonomicznych celów, nie ma samoświadomości, nie rozumie znaczeń w ludzkim sensie, jest zależna od danych, na których została wytrenowana.

Systemy AI mogą sprawiać wrażenie kreatywnych, lecz ich twórczość jest kombinatoryczna – oparta na przetwarzaniu istniejących wzorców. To nie „iskra geniuszu”, lecz matematyczna eksploracja przestrzeni możliwości. A jednak i ludzki mózg jest układem fizycznym, podlegającym prawom fizyki. Skoro neurony działają zgodnie z prawami che-



Włodzisław Duch i Andrzej Dragan

Fot. Konrad Hoelke (strona internetowa Wydziału Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej UMK)

mii i elektryczności, czy różnica między człowiekiem a maszyną nie jest tylko kwestią złożoności?

Wokół sztucznej inteligencji narosło wiele mitów – od wizji zbuntowanych robotów po przekonanie, że AI wkrótce zastąpi człowieka w każdej dziedzinie. Wykład Dragana tonuje te emocje, oddzielając realistyczne zagrożenia (np. dezinformacja, automatyzacja rynku pracy) od fantastycznych scenariuszy rodem z filmów.

Największym wyzwaniem nie jest dziś bunt maszyn, lecz odpowiedzialne wykorzystanie technologii przez ludzi. Pamiętam, jak przed laty na ten temat rozmawiałem także z prof. Włodzisławem Duchem. Zadałem mu między innymi pytanie, czy AI może być niebezpieczna dla ludzkości. To wszystko zależy od tego, kto i jakimi danymi ją zaprogramuje.

Powróćmy jednak do początku naszych refleksji. Czy więc maszyny potrafią myśleć? Odpowiedź zależy od tego, jak zdefiniujemy myślenie. Jeśli uznamy je za przetwarzanie informacji i rozwiązywanie problemów – w pewnym sensie tak. Jeśli jednak myślenie wymaga świadomości, przeżyć i subiektywnego doświadczenia – współczesne maszyny jeszcze tego

nie potrafią. Być może zatem najważniejszą wartością tego fundamentalnego pytania nie jest sama odpowiedź, lecz refleksja nad tym, czym jest ludzki umysł. Rozważając granice sztucznej inteligencji, lepiej rozumiemy także samych siebie. I być może właśnie o to w tym wszystkim chodzi.

*Wykład prof. Andrzeja Dragana „Czy maszyny potrafią myśleć?” odbył się 3 lutego 2026 r. na Wydziale Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej UMK. Organizatorem wydarzenia był toruński oddział Polskiego Towarzystwa Fizycznego.*

Prof. Andrzej Dragan to fizyk teoretyk, popularyzator nauki i wykładowca na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Jego działalność naukowa łączy teorię względności z teorią kwantową, a poza pracą akademicką jest także cenionym artystą i autorem książek popularyzujących naukę, w tym niedawno wydanej *Quo vAldis*.

**Bartosz Rakoczy**

## Prawne problemy związane ze sztuczną inteligencją

**Istnienie i rozwój sztucznej inteligencji jest już obecnie oczywiste. Rozwój nowych technologii doprowadził do powstania tworu, który określa się jako sztuczna inteligencja. Dostrzegalnym zjawiskiem jest nie tylko jej istnienie, ale również bardzo dynamiczny i ekspresyjny rozwój.**

Bez wątplenia sztuczna inteligencja pozostaje w większym lub mniejszym związku z każdym wymiarem ludzkiego życia, przy czym związek ten jest najbardziej dostrzegalny w sferze publicznej. Prawo należy do tych dziedzin życia publicznego, które pozostaje w największym związku ze sztuczną inteligencją. Inaczej rzecz ujmując, sztuczna inteligencja w sposób istotny wpływa na kształt i funkcjonowa-

nie prawa. Należałoby wręcz wskazać, że sztuczna inteligencja stanowi wyzwanie dla prawa i otwiera takie pole wątpliwości, które do tej pory nie były prawu w większości znane. Obserwując współfunkcjonowanie prawa i sztucznej inteligencji, należy dostrzec, iż prawo w ogóle nie jest przygotowane na tego typu twór.

Jednym z podstawowych problemów, który obecnie jest żywo dyskutowany wśród teoretyków prawa, jest problem podmiotowości prawnej sztucznej inteligencji. Sam problem zmiany paradygmatu podmiotowości prawnej nie jest nowy, albowiem od dłuższego czasu trwa już dyskusja nad problematyką podmiotowości zwierząt, roślin czy nawet elementów przyrody nieożywionej. Choć prawodawca



polski nie zdecydował się jeszcze na upodmiotowienie elementów przyrody ożywionej, czy też nieożywionej, to nie wykluczone, iż postulaty takie zostaną w przyszłości uwzględnione. Sztuczna inteligencja stanowi obecnie jedno z większych wyzwań teoretyków prawa w kontekście zagadnień podmiotowych. Uznanie bowiem sztucznej inteligencji za podmiot prawa pociąga za sobą szereg konsekwencji, takich jak chociażby jej prawa i obowiązki.

Istotnym problemem, związanym z podmiotowością prawną sztucznej inteligencji, jest chociażby kwestia jej odpowiedzialności prawnej. Oczywiście o takiej odpowiedzialności będzie można mówić dopiero wtedy, kiedy w ogóle zostanie uznana podmiotowość prawną sztucznej inteligencji.

Innym istotnym problemem jest problem związany z ochroną praw sztucznej inteligencji, przede wszystkim z ochroną jej praw w zakresie własności przemysłowej. Również i w przypadku tej kwestii, o prawach sztucznej inteligencji będzie można mówić dopiero wtedy, kiedy zostanie ona uznana za podmiot prawa. Odrębną grupę problemów wiążących się ze stykiem prawa ze sztuczną inteligencją stanowią problemy związane z wykorzystywaniem sztucznej inteligencji i oceną efektów jej wykorzystywania. Dotyczy to przede wszystkim tych dziedzin prawa, które zajmują się regulacjami własności intelektualnej.

Zjawisko plagiatu nie jest zjawiskiem nowym i w zakresie reakcji na tego typu zachowania pra-

wo wypracowało już stosowne instrumenty. Jednak instrumentarium prawne mocno powiązane jest z koniecznością ochrony ludzkiej myśli jako wartości zasługującej na taką ochronę. W przypadku sztucznej inteligencji, nie ludzka myśl jest istotna, a „myśl” tworu określanego jak o sztuczna inteligencja. Póki co, „myśli” te nie są chronione z uwagi na to, że sztuczna inteligencja nie jest podmiotem prawa. Natomiast wykorzystywanie tych „myśli” przez człowieka stanowi już wyzwanie dla prawa. Pojawia się pytanie, w którym miejscu występuje granica między własną inwencją autora lub twórcy/wynalazcy, a w którym momencie ta cecha już zanika. Dotyczy to również prac i badań naukowych, które nie są wolne od wątpliwości związanych z funkcjonowaniem sztucznej inteligencji.

Z punktu widzenia prawa, problem sztucznej inteligencji dotyczy również i aspektów procesowych. Przejawia się on przede wszystkim w kwestiach związanych z dowodami przedstawianymi w toku postępowania czy to karnego, czy to administracyjnego, czy to wreszcie cywilnego. Nie ma żadnych wątpliwości, iż niektóre dowody mogą być wytworzone przez sztuczną inteligencję w ramach jej zdolności do kreowania rzeczywistości.

Organ orzekający musi być zatem przygotowany na ocenę wiarygodności takich dowodów. O ile jeszcze obecnie istnieje możliwość odróżnienia wytworu sztucznej inteligencji od rzeczywistości, o tyle przy uwzględnieniu jej dynamicznego rozwoju, za niedługą chwilę stanie się to praktycznie niemożliwe. Zatem i prawo procesowe musi być przygotowane na takie sytuacje.

Powszechna dostępność do sztucznej inteligencji, a także jej rozwój spowodowała powstanie zupełnie nowych problemów w funkcjonowaniu tradycyjnych instytucji prawa. Przykładowo sztuczna inteligencja, korzystając z dostępnych zasobów może „ożywić” osobę zmarłą i pozostaje zapewne jedynie kwestia chwili, kiedy taka osoba „ożywiona”, będzie mogła prowadzić rozmowę, wyrażać swoje opinie i zdanie, a nawet aktywnie uczestniczyć w życiu doczesnym. Być może przesunie się granica ustania bytu prawnego osoby fizycznej albo w ogóle trzeba będzie przemodelować ta kwestię w ujęciu jurydycznym. Być może możliwości „ożywienia” osoby zmarłej zdefiniują kwestie jej początku i końca, a przede wszystkim jej końca. Być może myśl prawnicza pomknie w stronę zdefiniowania osoby fizycznej, dla „istnienia” której ciało nie będzie elementem niezbędnym.

Takie rozwiązania będą pociągały za sobą kolejne wątpliwości, takie chociażby jak w zakresie kultu zmarłego i jego ochrony prawnej, wykorzystywania wizerunku i samej osoby zmarłego.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że sztuczna inteligencja i jej rozwój stanowią dzisiaj dla prawa bardzo istotne wyznawanie. Już w obecnej chwili, kiedy dopiero można mówić o rozwoju sztucznej inteligencji, przykłady podane powyżej świadczą o dużej wadze tej problematyki. Nie ulega wątpliwości, że prawodawca z tymi, a także z ogromną liczbą innych problemów, będzie musiał się zmierzyć. Nie można wykluczyć tego, iż zmianie ulegnie paradygmat prawa, który w systemach praw europejskich jest przede wszystkim wyznaczany mentalnością i filozofią prawa rzymskiego.

Nie można również wykluczyć sytuacji, iż samo prawo będzie czymś innym, niż jest obecnie. Być

może w wątpliwość zostaną poddane jakieś aksjologiczne założenia prawa. Mogą zatrzęsnąć się w posadach fundamenty metafizyczne. Wreszcie też samo poznawanie prawa i jego funkcjonowania może przybrać postać, o której dzisiaj teoretycy prawa nic nie mogą powiedzieć.

Bez wątpienia sztuczna inteligencja w sposób radykalny i mocny wpłynie na prawo, przy czym będzie to wpływ zróżnicowany. Można postawić pytanie, które będzie puentą, czy prawo jest na to przygotowane i czy tego chcieliśmy, co być może nas czeka, kiedy zapraszaliśmy sztuczną inteligencję do naszego świata.



*Prof. dr hab. Bartosz Rakoczy* – kierownik Katedry Prawa Ochrony Środowiska i Publicznego Prawa Gospodarczego, Wydział Prawa i Administracji UMK

Janusz Małek

## O rodzeństwie Mikołaja Kopernika

**Rodzice Mikołaja Kopernika (Mikołaj Starszy i Barbara z domu Watzenrode) pojawiają się w źródłach po raz pierwszy jako małżonkowie w maju 1464 przy podziale majątku po zmarłym ojcu Barbary, Łukaszu Watzenrodem Starszym<sup>1</sup>, czyli małżeństwo to było zawarte przed rokiem 1464, niewątpliwie w kościele parafialnym św. Janów w Toruniu. Ślub ten – zdaniem Krzysztofa Mikulskiego<sup>2</sup> – mógł odbyć się wcześniej, ok. 1460 r. Małżeństwo rodziców Kopernika było udane, chociaż już po ich śmierci próbowano rzucić na nie cień.**

Informacje o dzieciach z tego małżeństwa są skąpe. W rękopisie Stanisława Bornbacha (zm. 1597), dostępnym w Internecie<sup>3</sup>, są dwa zapisy

<sup>1</sup> M. Biskup, *Regesta Copernicana*, Wrocław 1973, s. 50, nr 11.

<sup>2</sup> K. Mikulski, *Mikołaj Kopernik. Środowisko społeczne, pochodzenie i młodość*, Toruń 2015, s. 309.

<sup>3</sup> S. Bornbach, *Historia auf Aufruhr zu Danzig...* 1522, <https://www.wbc.poznan.pl/dlibra/show-content/pu->

dotyczące matki Astronoma. Ten dłuższy zawiera następującą treść [w tłumaczeniu na język polski]: „Barbara Watzenrode, która poślubiła Mikołaja Kopernika z Krakowa, spłodziła z nim 4 dzieci, wśród nich Mikołaja Kopernika, doktora i kanonika warmińskiego, słynnego i znakomitego astronoma, który zmarł w roku 1543, jak o tym świadczy epitafium [z ok. 1580 r.] w Toruniu”, [w bazylice katedralnej św. Janów, fundacji lekarza Melchiora Pirnesiusa<sup>4</sup>]. Imię brata Mikołaja, Andrzeja pojawia we wpisie do albumu Akademii Krakowskiej jesienią roku 1491<sup>5</sup>. Poprzedza ten wpis kilka wierszy wyżej immatrykulowany Mikołaj. Imiona siostr Barbary<sup>6</sup> i Katarzyny<sup>7</sup>

blication/edition/462498?id=462498, s. 16-17 (dostęp 05.08.2023).

<sup>4</sup> J. Flik i J. Kruszelnicka, *Epitafium Mikołaja Kopernika w bazylice katedralnej św. Janów w Toruniu*, Toruń 1996, s. 37 i n.

<sup>5</sup> M. Biskup, *Regesta Copernicana*, s. 53-54, nr 21.

<sup>6</sup> Zob. K. Mikulski, *Mikołaj Kopernik*, s. 310 i przypisy 1660, 1661.

<sup>7</sup> Ibid. s. 313 i s. 321 przypis 1700.

odnajdujemy w źródłach proveniencji toruńskiej. Być może tego rodzeństwa Mikołaja Kopernika było więcej, które przedwcześnie zmarło, ale źródła milczą. Kolejność urodzeń dzieci w tej rodzinie według ustaleń, Leopolda Prowego<sup>8</sup>, Franza Hiplera<sup>9</sup> i Johannesa Papritz<sup>10</sup> i przyjęta także w historiografii polskiej była następująca: Andrzej, Barbara, Katarzyna, Mikołaj. Zakwestionował tę kolejność Krzysztof Mikulski<sup>11</sup>, a także uściślił lata życia rodzeństwa Koperników. Kolejność ta wyglądałaby następująco: Barbara (ok. 1460 – po 1525), opatka klasztoru benedyktynek w Chełmnie, Katarzyna (ok. 1471 – po 1509), ok. roku 1491 poślubiła kupca Bartłojem Gertnera<sup>12</sup> (zm. po roku 1510), krakowianina, który był ławnikiem Starego Miasta Torunia w l. 1494–1501, Mikołaj (1473–1543), kanonik warmiński i Andrzej (ok. 1475–1516/18), także kanonik warmiński. Zasadnicza zmiana dla biografii Astronoma to wcześniejsza data urodzenia Mikołaja w stosunku do brata Andrzeja. Krzysztof Mikulski uzasadnia to tak: „We wszystkich przekazach, w których bracia występują razem Mikołaj zawsze jest wymieniany przed Andrzejem, co jednoznacznie przesądza o jego starszeństwie. W księdze wpisów do Akademii Krakowskiej Mikołaj został wpisany o kilkanaście pozycji wcześniej

<sup>8</sup> L. Prowe, *Nicolaus Copernicus. Das Leben*, Berlin 1883, s. 87–88.

<sup>9</sup> F. Hipler, *Spicilegium Copernicanum. Festschrift des historischen Vereins für Ermland zum vierhundertsten Geburtstage des ermländischen Domherrn Nikolaus Kopernikus*, Braunsberg 1873, s. 300 Tablica genealogiczna oparta na rękopisie z archiwum gdańskiego syg. dawna L 1 28, p.41 „Genealogiae, Stammregister und Abkünfte etzlicher vornehmen Geschlechter und Familien in der Königlichen Stadt Danzig” z pocz. XVII wieku, którego podstawą była ustalenia Stanisława Bornbacha (F. Hipler, op. cit. s. 300 przypis 1, „Das Ms. dieser Genealogie, die ursprünglich von Stenzel Bornbach (+1597) angelegt ist, rührt aus dem Anfang des 17. Jahrhunderts”). Tablica tzw. Bornbacha zasługuje na zaufanie, skoro dane o siostrzeńcach i siostrzenicach Kopernika, (Katarzyna żona Jakuba (Andrzeja?) Wachschräglera z Torunia, Krystyna żona Kaspra Stulpawitza z Królewca, Regina żona Clementa Mollera (Müllera) ze Starogardu, Jerzy i Andrzej Gertnerowie, znajdują potwierdzenie w innych źródłach (Zob. K. Mikulski, *Mikołaj Kopernik*, s. 321; M. Biskup, *Regesta Copernicana*, s. 219, nr 501, s. 223–224, nr 512, 513, 514); J. Sikorski, *Mikołaj Kopernik na Warmii. Chronologia, życia i działalności*, Olsztyn 2023, s. 262, 269, 270, nr 561, 571–573.

<sup>10</sup> J. Papritz, *Die Nachfahrentafel des Lukas Watzenrode*, w: *Kopernikus-For- schungen, Deutschland u. der Osten*, Bd. 22, Leipzig 1943, po stronie 136, tablica genealogiczna.

<sup>11</sup> K. Mikulski, *Mikołaj Kopernik...*, s. 383. Tablica 12 Kopernik.

<sup>12</sup> K. Mikulski, *Urzednicy miejscy Torunia*, część II 1454–1465, Toruń 2001, s. 124, nr 335.

niż Andrzej. W takiej kolejności (Mikołaj, Andrzej) wymienieni są podczas studiów we Włoszech, gdy Bernard Sculteti poręczył im pożyczkę w banku, kiedy popadli w długi. Wreszcie w tej samej kolejności wymienieni zostali w toruńskiej księdze ławniczej w 1516 r., kiedy wystąpił w ich imieniu szwagier Bartłojem Gertner<sup>13</sup>. Teresa Borawska<sup>14</sup> również opowiada się obecnie za starszeństwem Mikołaja, poprzednio zgodnie z utrwalonym w literaturze stanowiskiem uważała, iż „Andrzej Kopernik był starszym bratem Mikołaja”<sup>15</sup>. Ostatnio również Jerzy Sikorski<sup>16</sup> przyłączył się do opinii Krzysztofa Mikulskiego, iż Mikołaj był starszy od brata Andrzeja o dwa lata. Przypomnijmy pogląd biografą Kopernika Leopolda Prowego w tej kwestii. Pisał on w roku 1883 tak (w tłumaczeniu na język polski): „Andrzej Kopernik był starszym niż jego słynny brat, jak tego Stanisław Bornbach słusznie dowodzi. To stanowisko potwierdza protokół Kapituły Warmińskiej z 12 kwietnia 1513 r. [poprawnie 1512], w którym wyraźnie określony on jest jako starszy brat (*ältere Bruder*), licet D. Andreas Copernigk senior dictam aspirabat optare curiam”<sup>17</sup>. Czytelnika może interesować jednak treść całego dokumentu, a nie tylko jego fragment. Przytoczamy go w całości: „Opcja kurii pana Zachariasza (Tapiau) Frombork, 12 IV 1512. Tego samego roku, dnia dwunastego kwietnia, czcigodny pan Henryk [Snellenberg] nabył pustą [wolną] kurię przez odstąpienie jej przez czcigodnego pana Tiedemanna Giesego. Nabył ją za 165 grzywien, za zapłatę [prebendy] niedys Zachariasza Tapiau (zm. 20 I 1509 r.) odpowiadać będzie wykonawca testamentu. Natomiast czcigodny pan Andrzej Kopernik senior za spokoju (zapłaci) 40 grzywien panu Tiedemannowi, ponieważ zamierzał ubiegać się o wspomnianą kurię, lecz gdy został dotknięty chorobą trądu, został od prawa opcji odsunięty”. To ostatnie zdanie budzi wątpliwości. Według regestu wydawców protokołów kurii warmińskiej był to tylko zadatek. Leopold Prowe nie wspomniał, iż między słowem „senior”

<sup>13</sup> Ibid., s. 310–311.

<sup>14</sup> T. Borawska przy współpracy H. Rietza, *Mikołaj Kopernik i jego świat*, Toruń 2014, s. 10; T. Borawska, H. Rietz, *Z Kaszub do Wiecznego Miasta (Bernard Sculteti (ca 1450–1518))*, Toruń 2019, s. 164.

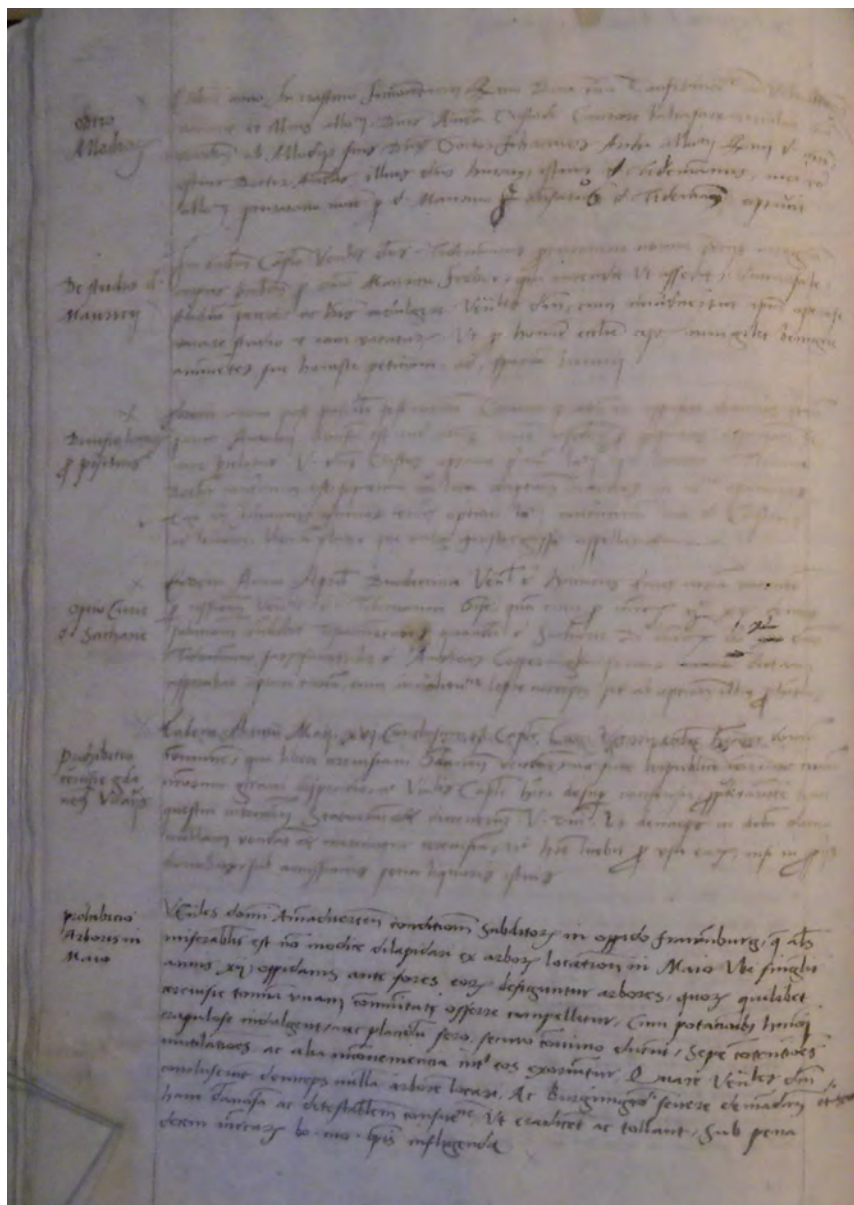
<sup>15</sup> T. Borawska, *Andrzej Kopernik...*, w: *Słownik biograficzny Kapituły Warmińskiej*, Olsztyn 1996, s. 122.

<sup>16</sup> J. Sikorski, „Achatas przy Eneasz” – *Mikołaj Kopernik i jego wuj biskup warmiński Łukasz Watzenrode jako dwaj nierozłączni*. Wyprawa do Wilna, w: *Mikołaj Kopernik. Życie, myśl, dziedzictwo*, Warszawa 2024, s. 69.

<sup>17</sup> L. Prowe, *Nicolaus Copernicus...*, s. 89.

a „dictam” było jakieś słowo, które zostało skreślone. Wydawcy protokołów piszą w przypisie bardzo lakonicznie „wyraz skreślony”<sup>18</sup>, w innych wypadkach podają o jaki wyraz chodzi. Nic nie wskazuje, na to że chodzi tu o skreślenie słowa „senior”. To przypuszczenie potwierdziła Irena Makarczyk współwydawca protokołów kapituły warmińskiej w liście do mnie następująco: „Wyjaśniam tekst. Otóż między słowem **senior** a słowem **dictam** jest w oryginalnym tekście wpisane jedno słowo, które zostało przekreślone. Sprawdzając tekst oryginalny w kodeksie. Jest on pisany bardzo jasnym inkaustem, natomiast przekreślenia dokonano bardzo ciemnym inkaustem, także słowa skreślonego nie można odczytać. Przed wydaniem tekstu drukiem sprawdzałem go z oryginałem bp [Juliusz] Wojtkowski, [znakomity znawca paleografii i translator] który skreślonego słowa też nie odczytał. Tyle wyjaśnienia z mojej strony i mam nadzieję, że jest ono czytelne”. W latach 70. XX wieku Henryk Rietz jeszcze był w stanie odczytać to przekreślone słowo jako: „maior” [większy]. Nie sposób wywnioskować, co pisarz miał na myśli, pisząc słowo „maior”, a potem je skreślając. Zakładamy, że odczyt był prawdziwy. Powstaje zasadnicze pytanie: „Dla jakiego gremium był Andrzej Kopernik seniorem ze względu na rok urodzenia, czy moment uzyskania kanonii? Odpowiedź na pierwszą część pytania wydaje się oczywista: kapituła i jej 16 kanoników, kilku było w Rzymie, raczej tych rezydujących, mających prawo do ubiegania się o ową prebendę. Czy może podkreślenie ewentualnego starszeństwa z tytułu wcześniejszego urodzenia wobec Henryka Snellenberga nabywcę prebendy? Andrzej Kopernik, Henryk Snellenberg i Mikołaj Kopernik, wszyscy z Torunia immatrykulowali się w roku 1491 na uniwersytecie krakowskim. Odpowiedź na drugą część pytania jest chyba oczywista. Raczej chodzi tutaj o datę urodzenia niż datę uzyskania kanonii, gdyż nawet brat Mikołaj uzyskał kanonię już w roku 1497, a Andrzej Kopernik w roku 1499, czyli dwa lata później. Gdyby przyjąć to wnioskuje, to należałoby udowodnić, iż 12 kwietnia 1512 r. Andrzej Kopernik był najstarszym wiekiem kanonikiem, a tym samym starszym bratem Mikołaja. Wymagałoby to jednak ustalenia dat urodzenia kanoników

<sup>18</sup> Protokoły posiedzeń Warmińskiej Kapituły Katedralnej z czasów Mikołaja Kopernika (1499–1543), zebrał ks. A. Szorc, do druku przygotowała I. Makarczyk, Olsztyn 2015, nr 52, s. 43.



Źródło zdjęcia: Archiwum Archidiecezji Warmińskiej w Olsztynie (oryginał: AAWO, AK, Acta Cap. 1a, k. 22a).

warmińskich, a tutaj byłyby kłopoty, bo te daty nie wszystkie są znane. Dyskutowana kwestia nie jest więc chyba ostatecznie rozpoznana. Pozostajemy przy informacji o argumentach obu stron w tej dyskusji. Może pojawią się nowe źródła w Archiwum Arcybiskupstwa Warmińskiego.



Prof. dr hab. Janusz Małek — historyk, znawca dziejów Prus i Skandynawii, b. prorektor UMK

Anna Supruniuk, Mirosław A. Supruniuk

# Bibliotekarz rektorem – rektor bibliotekarzem

W 70. rocznicę śmierci prof. Ludwika Kolankowskiego

Był jednym z najwybitniejszych polskich historyków-mediewistów pierwszej połowy XX wieku, specjalizującym się w dziejach Polski i Litwy doby jagiellońskiej oraz w historii politycznej Europy Środkowo-Wschodniej. Pomimo upływu prawie 100 lat od druku, prace jego uważane są za fundamentalne syntezy politycznej historii Polski Jagiellonów i wciąż cytowane.

Urodził się 21 czerwca 1882 roku w Nadwórnej, w mieście powiatowym na zachodniej Ukrainie, w rodzinie Karola – zubożałego szlachcica, a następnie robotnika tartaczego oraz Marii z Jabłońskich. Po maturze, złożonej z odznaczeniem w gimnazjum w Stanisławowie (1902), studiował najpierw prawo, a następnie historię na Uniwersytecie Lwowskim –



Ludwik Kolankowski jako uczeń C.K. Gimnazjum w Stanisławowie, ok. 1902 r. (zasób Archiwum UMK)

głównie pod kierunkiem Ludwika Finkla – które ukończył w lipcu 1906 roku doktoratem. W okresie studiów należał do Czytelni Akademickiej, jednej z najstarszych i najważniejszych polskich organizacji studenckich w Galicji, a zarazem najsilniejszej i najbardziej prestiżowej tego typu instytucji we Lwowie w okresie autonomii galicyjskiej i niepodległości. Czytelnia była swoistym centrum polskiego życia studenckiego, rywalizowała z bardziej radykalnymi organizacjami, takimi jak ZET czy Bratnia Pomoc, a później bardzo silnie kształtowała lwowski ruch strzelecki i Polską Organizację Wojskową (POW). Organizacja sama w sobie pozostawała formalnie towarzystwem naukowo-kulturalnym (statutowo apolitycznym), ale w rzeczywistości pełniła rolę centralnego miejsca spotkań, koordynacji i mobilizacji polskiego środowiska akademickiego Lwowa – w tym tych kręgów, które były zaangażowane w przygotowania paramilitarne. W październiku–listopadzie 1918 roku Czytelnia odegrała rolę *de facto* sztabu mobilizacyjnego polskiego środowiska akademickiego – to tam zapadły kluczowe decyzje o powołaniu Straży Akademickiej i koordynacji z POW. Szczyt jej aktywności przypadał jednak na okres po 1905 roku; w tym czasie student Ludwik Kolankowski kierował aż 17 kołami naukowymi Czytelni (głównie historycznymi i humanistycznymi).

W 1905 roku, na ostatnim roku studiów, pracował jako wolontariusz w Bibliotece Uniwersyteckiej we Lwowie pod kierunkiem Aleksandra Semkowicza. Po uzyskaniu doktoratu przeniósł się do Krakowa, gdzie w Bibliotece Jagiellońskiej łączył obowiązki bibliotekarskie z działalnością naukową. Dzięki stypendium w latach 1906–1907 kontynuował studia historyczne na Uniwersytecie w Berlinie, a po powrocie objął stanowisko praktykanta w Bibliotece Jagiellońskiej, gdzie przeszedł wszystkie szczeble pracy bibliotekarskiej, nie rezygnując przy tym z prowadzenia badań naukowych. Pracował tam aż do odzyskania niepodległości, łącząc

zajęcia bibliotekarskie z obowiązkami elitarnego docenta prywatnego UJ (po habilitacji w 1913 roku na UJ). Wszelchnica Krakowska ceniła jego wiedzę i rosnącą pozycję w nauce, lecz pochodzenie sprawiło, że nigdy nie otrzymał etatu naukowego. Dzięki wsparciu Akademii Umiejętności prowadził badania w archiwach i bibliotekach Gdańska, Kijowa, Królewca, Wilna i Moskwy, a równocześnie w latach 1909–1918 prowadził zajęcia z historii Polski na Wyższych Kursach dla Kobiet im. Adriana Baranieckiego.

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę Kolankowski włączył się w budowę struktur państwowych. Na polecenie Naczelnego Wodza, Józefa Piłsudskiego, prowadził rokowania z dowództwem Ober Ost w sprawie szybkiego wycofania wojsk niemieckich z terenów wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Podpisane w lutym 1919 roku porozumienie umożliwiające ewakuację Niemców, otworzyło drogę do powrotu do Polski m.in. Wilna i Grodna. W „nagrode” został komisarzem cywilnym przy Zarządzie Wojskowym Kresów Wschodnich i organizował polską administrację cywilną na terenach opuszczanych przez Ober Ost.

Najtrudniejsze i najbardziej niewdzięczne zadanie otrzymał w maju 1919 roku. Na prośbę Józefa Piłsudskiego zorganizować miał Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie jako jego pełnomocnik. Naturalnie, nie sam, bo współ z szeregiem urzędników z departamentu nauki i szkół wyższych Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, i komitetem uniwersyteckim w Wilnie, lecz to jego zdecydowanie, stanowczość i po równej części dyplomacja pozwoliły w niespełna cztery miesiące doprowadzić do wskrzeszenia uczelni i do pierwszej Inauguracji w październiku 1919 roku. Najpewniej był projekt, by został rektorem nowego uniwersytetu. Nikt bardziej niż on nie nadawał się do tej roli z racji miłości i pasji naukowej dla Wielkiego Księstwa Litewskiego i zasług, lecz nie został zaakceptowany przez wileńską profesurę. Wilnianie byli u siebie – on z zewnątrz, i był „tylko” bibliotekarzem. Zakończona sukcesem misja była jego osobistą klęską. Nie uzyskał na nowym uniwersytecie nawet etatu naukowego. Wrócił do pracy dyplomatycznej, a później... ponownie bibliotekarskiej.

Biblioteka Ordynacji Zamojskiej w Warszawie, jedna z najcenniejszych prywatnych kolekcji magnackich w Polsce, po odzyskaniu niepodległości przeżywała okres modernizacji i reorganizacji. Ordynat Maurycy Zamoyski chciał uczynić z niej nowo-



Otwarcie Biblioteki Głównej UMK, Toruń 10 maja 1947 r., fot. Alojzy Czarnecki, (zasób Archiwum UMK)

czesną, dostępną dla badaczy placówkę o znaczeniu narodowym. Poszukiwał osoby o dużym autorytecie naukowym, doświadczeniu bibliotekarskim i kontaktach w kręgach rządowych, bo biblioteka była instytucją prywatną, ale o ogromnym znaczeniu kulturalnym i politycznym, a Zamoyscy byli blisko obozu piłsudczykowski. Propozycja została złożona przez samego Maurycego Zamoyskiego wiosną 1929 roku. Lecz Kolankowski wahał się. Kończył fundamentalne dzieło o epoce jagiellońskiej (tom I *Polski Jagiellonów* ukazał się w 1930 r. i dalsze były już zaawansowane) i miał możliwość powrotu do Krakowa lub Lwowa. Ostatecznie jednak przyjął no-



Prof. Ludwik Kolankowski na polowaniu w Nawrze, ok. 1947 r. (zasób Archiwum UMK)



Uroczystość wręczenia insygniów rektorskich UMK na dziedzińcu Ratusza Staromiejskiego, Toruń 23 maja 1948 r., fot. Alojzy Czarniecki (zasób Archiwum UMK)

minację i 1 maja 1929 roku został dyrektorem Biblioteki Ordynacji Zamoyskiej, nie rezygnując z pracy naukowej i wykładów na uczelniach w Wilnie (od 1931 jako profesor tytularny historii Litwy) oraz we Lwowie od roku 1936, kiedy został tam mianowany profesorem zwyczajnym historii Polski.

W latach 1929–1944 kierował biblioteką, która mieściła się w Pałacu Błękitnym przy pl. Bankowym i w 1939 r. liczyła ok. 120–130 tys. woluminów (w tym bardzo cenny dział rękopisów, inkunabułów



Prof. Ludwik Kolankowski z kierowcą Zygmuntem Nawackim w drodze do Warszawy, ok. 1947 r. (zasób Archiwum UMK)

i starodruków). 25 września 1939 roku, w czasie bombardowania Warszawy, gmach Pałacu został poważnie uszkodzony. Kolankowski osobiście brał udział w gaszeniu pożaru i ratowaniu zbiorów i z narażeniem życia wynosił najcenniejsze rękopisy. Dzięki wcześniejszemu zabezpieczeniu i szybkiej akcji ocalało ok. 60–70% zbiorów, w tym większość najcenniejszych skarbów kultury. Niemcy nie zlikwidowali biblioteki, ale ograniczali dostęp. Pracownicy wypełniali swoje obowiązki: porządkowali i katalogowali ocalałe zbiory, a dyrektor Kolankowski zorganizował tajną placówkę naukową. W bibliotece odbywały się konspiracyjne zebrania oraz wykłady profesorów Podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego. Wykorzystując znajomości w niemieckich środowiskach naukowych, Kolankowski uzyskał od Komendy Wojskowej gwarancje nieingerowania w zbiory biblioteki. Mimo to nakazał, by najcenniejsze rękopisy ukrywano, przenoszono w bezpieczne miejsca. W czasie powstania warszawskiego biblioteka została całkowicie spalona i zrujnowana, a kolekcje, które pozostały w gmachu, uległy zniszczeniu. Ocalało jedynie to, co Kolankowski zdołał ukryć w zamaskowanej piwnicy lub wywieźć i ukryć w magazynach, u zaufanych osób, w prowizorycznych schowkach, głównie poza Warszawą. Do najcenniejszych uratowanych skarbów, rozbudzających wyobraźnię, należały: *Kodeks Zamojski* (najstarszy przekaz *Kroniki Galla Anonima*), autograf Jana Kochanowskiego, autograf *Rękopisu znalezionego w Saragossie* Potockiego, rękopisy i autografy wybitnych osób i pisarzy, m.in. Erazma z Rotterdamu, Mazariniego, Słowackiego, Krasińskiego, Byrona, Goethego, Kanta, Prusa, Sienkiewicza, mapy i atlasy m.in. odpisy *Cosmographii* Ptolemeusza z XV w., atlasy XVI w. I jeszcze 144 dzieła z biblioteki Zygmunta Augusta. Ocalił je upór, kontakty i determinacja Ludwika Kolankowskiego. Większość z tych rękopisów i dzieł można dziś zobaczyć w Pałacu Krasińskich w Warszawie, jako że ocalałe skarby trafiły do Biblioteki Narodowej.

Po wojnie Kolankowski nie wrócił do kierowania biblioteką Zamoyskich. Stracił w powstaniu warszawskim cały swój dorobek naukowy i warsztat badawczy, rękopisy przygotowywanych artykułów i książek. Okradziony z pracy i naukowych marzeń, energię i doświadczenie skierował ku dziełu odbudowy polskiej nauki, wiążąc swoje losy najpierw z powstającym uniwersytetem w Łodzi, a następnie, podobnie jak w Wilnie, polecono mu organizację „wileńskiego” Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Tym razem został rektorem, a może było to warunkiem porzucenia spokojnie rozpoczynającej się pracy urzędniczej w Łodzi. Musiał mieć świadomość, że Wilnianie go pamiętają, ale teraz nie byli „u siebie”: wszyscy stali się expatriantami. I wszyscy byli w Toruniu „obcy”. Dla nowej władzy „robotnicze” pochodzenie było atutem, które wykorzystywał w rozmowach z partyjnymi oficjalami i staraniach o uniwersytet, a najpewniej też później, trzymając w ryzach „bolszewicką” młodzież próbującą „rządzić” uczelnią, donosząc na niego do władz partyjnych i ministerialnych. Lecz organizacja uczelni wymagała nie tylko determinacji i zdolności do pracy w warunkach prowizorycznych, ale też wizji i pomysłu. Starszy o ćwierć wieku, po raz drugi przystąpił do budowania uniwersytetu na ziemi odzyskanej i podobnie jak przed laty niemal wszystko należało zaczynać od zera. Tym razem zadanie to podejmował w trudniejszych warunkach – wbrew miastu i jego mieszkańcom, mając za sprzymierzeńców jedynie garstkę profesorów przybyłych z Wilna, którzy byli tu przed nim i niejako narzucili mu wizję *Universitas Bathoranea Vilna expulsa*, oraz kilku urzędników, dla których szkoła wyższa mogła stać się trampoliną do awansu. Doskonale zorientowany w środowisku naukowym i układach personalnych, potrafił skutecznie przyciągać do miasta wybitnych uczonych z Lwowa, Krakowa i Warszawy, gwarantując spokój tak niezbędny po latach wojny. Najpierw, już 1 września, powstała w Toruniu biblioteka uniwersytecka, a kilka miesięcy później, pod koniec 1945 roku – Uniwersytet.

Przekazał UMK wszystkie swoje wyobrażenia o tym, czym powinien być uniwersytet, kim rektor, kim uczony. Nierzadko w opozycji do wileńskiej tradycji i rozpleniającej się na polskich uniwersytetach „równości”. Wzorem był dla niego Ludwik Finkel, dziekan Wydziału Filozoficznego (1901/1902), prorektor (1912/1913) i rektor Uniwersytetu Lwowskiego (1911/1912), ale też bibliograf i archiwista – „ojciec polskiej bibliografii historycznej”. W jego osobie widział dostojeństwo akademickie i zawód nauczyciela, i takim też widział siebie wykładowca. Studentów zachwycał nie tylko wiedzą i nadzwyczajną erudycją, lecz także szczególnym sposobem prowadzenia wykładów, które miały charakter niemal misterium, czy *theatrum*, ponieważ Kolankowski konstruował je jak dramat lub tragedię. Dzięki temu wykłady stawały się czymś więcej niż przekazem wiedzy – były próbą przywołania minionej rzeczywistości w jej pełnym bogactwie znaczeń.



Pogrzeb pierwszego rektora UMK prof. Ludwika Kolankowskiego, Biblioteka Uniwersytecka (ul. Chopina 12/18) 19–22 marca 1956 r. (zasób Archiwum UMK)

Interpretując dzieje jagiellońskie łączył rygor analizy źródłowej z szeroką wizją procesów historycznych, a opowiadając o Zygmuncie Auguście kreślił sylwetkę renesansowego władcy zakochanego w książkach, które samemu ukrywał w podziemiach Biblioteki Zamojskich.

Uniwersytet widział „ogromny” i zabiegał o znamiona jego powagi i szacunek także u innych. Sukcesem zakończyły się starania o insygnia akademickie, zachowanie integralności, poziomu nauki i niezależności władzy rektora. Pogodził różne interesy Wilna i Lwowa w małym miasteczku akademickim nad Wisłą. Lecz do czasu. W roku 1948 pochodzenie przestało być tarczą i zmuszony został do rezygnacji z funkcji rektora UMK. Odszedł bez protestów, zostając na uczelni, którą stworzył. Patrzył teraz



Portret Ludwika Kolankowskiego namalowany przez Jerzego Hoppena, 1949 r., fot. Andrzej Skowroński (zasób Archiwum UMK)

z rosnącym smutkiem, jak stopniowo ograniczana jest autonomii uniwersytetów, jak podporządkowuje się życie akademickie mechanizmom kontroli politycznej i tworzeniu „nowego człowieka socjalistycznego”, jak stopniowo eliminuje się z przestrzeni uniwersytetów „reakcyjnych” profesorów zastępujących ich miernotami z dobrym pochodzeniem, jak rośnie inwigilacja środowiska akademickiego, a donosy zyskują wartość dowodu procesowego.

Jeszcze przed ustąpieniem został pełnomocnikiem Senatu UMK i zarządzał majątkami uniwersyteckimi, a w lipcu 1948 roku został administratorem tych majątków. Funkcję tę sprawował do 31 marca 1949 roku.

Czy zapytano go, jak sobie wyobraża dalszą obecność na Uniwersytecie, czy komuś przypomniało się, że był bibliotekarzem – nie wiemy. Zdaje się jednak, że funkcję administratora traktowano od początku jako tymczasową. Czy było zatem przypadkiem, że intrygi partyjne zmusiły organizatora Biblioteki Uniwersyteckiej dr. Stefana Burhardta do ustąpienia z dyrektorstwa, na które zamierzano w Toruniu usadzić dr Marię Puciatową, i wolne stanowisko dyrektora stało się najlepszym rozwiązaniem „problemu Kolankowskiego”, czy może wydarzenia przebiegały z inspiracji ministerialnych? 1 maja 1949 roku Lud-

wik Kolankowski, decyzją Ministerstwa Oświaty, objął stanowisko dyrektora Biblioteki Uniwersyteckiej, przy sprzeciwie części środowisk partyjnych. Przyszł do gmachu, który znał doskonale, o którego zdobycie dla uniwersytetu zabiegał u władz miasta, tak jak o finanse na remont i wyposażenie. Będąc rektorem, kiedy otwierał uniwersytecką księżnicę, zadbał, by poświęcił ją biskup, co stawało się wówczas już aktem odwagi cywilnej. Teraz, po krótkim epizodzie rektorstwa, ponownie wrócił do zawodu bibliotekarskiego. Miał wówczas 67 lat. To czego nauczył się u Aleksandra Semkowicza we Lwowie, respektował twórczo w Krakowie, terminując u Fryderyka Papée, a później rozwijał w Bibliotece Ordynacji Zamoyskiej, starał się teraz zaszczyć w Toruniu. Zabiegał o środki finansowe na nowoczesne wyposażenie, systematycznie powiększał księgozbiór i dążył do stworzenia nowoczesnej, dobrze zorganizowanej księżnicy akademickiej. Miał wizję biblioteki głęboko zakorzenioną w tradycji europejskiego uniwersytetu. Miała nie tylko wspierać studia uczonych i studentów, ale być samodzielnym warsztatem badań naukowych, jednym z fundamentów uniwersytetu.

W toruńskiej księżnicy spotykały się wszystkie wymiary jego biografii: historyka przywiązanego do źródła, organizatora instytucji i strażnika akademickiej tradycji. Szczególną wagę przywiązywał do zabezpieczenia dawnych rękopisów i starodruków, świadomy, że w powojennych realiach łatwo mogły one ulec rozproszeniu lub zniszczeniu. Pod jego kierownictwem Biblioteka Uniwersytecka weszła w okres dynamicznego rozwoju. W realiach pierwszych powojennych lat szczególnego znaczenia nabrała kwestia zabezpieczenia zbiorów dawnych. W atmosferze powojennego chaosu łatwo było o zniszczenie lub rozproszenie cennych rękopisów i starodruków. Już jako rektor Kolankowski miał świadomość, że toruńska biblioteka może stać się depozytariuszem dziedzictwa o znaczeniu znacznie szerszym niż regionalne, może nie na miarę Zamoyskich, ale na miarę wielkiego uniwersytetu. Dzięki jego rozległym kontaktom, wiedzy i staraniom księgozbiór biblioteki powiększył się o cenne nabytki ze składnic druków zabezpieczonych i podworskich, a jako dyrektor pozyskał starodruki ze zbiorów Pułtowskich i Potockich. Do najcenniejszych należały m. in. pierwsze wydanie kroniki Macieja z Miechowa czy atlas Marco Beneventano z 1508 roku. Dbałość o konserwację, ewidencję i naukowe opracowanie zbiorów traktował jako element odpowiedzialności za kulturę i pamięć historyczną.

Ta sama odpowiedzialność kazała mu zmierzyć się z cenzurą i „zaprotestować”. W styczniu 1951 roku opracowano w Ministerstwie Oświaty (Wydział Ocen i Doboru Książek Centralnego Zarządu Bibliotek) oraz w Departamencie Nauki Ministerstwa Szkół Wyższych i Nauki, dwuczęściowy *Wykaz książek podlegających niezwłocznemu wycofaniu*, które uznano za wrogie i szkodliwe dla interesów państwa socjalistycznego. Wraz z ponad 2 tys. tytułów z poufnym pismem trafił on do wszystkich bibliotek w Polsce. Były to książki historyczne, dokumenty i literatura (w spisie znalazły się już książki Czesława Miłosza), książki dla dzieci i młodzieży, w tym związane z harcerstwem i ideami skautingu, a także bajki historyczne, mitologia, bajki o piratach i korsarzach, itp. W spisach nakazano ponadto wycofać ze zbiorów wszystkie „pozytywne” pozycje dotyczące Jugosławii oraz wszystkie wydania utworów Josipa Broz Tito. Książki miały iść na przymiół. Kolejne spisy „druków do wycofania” opracowano 24 czerwca 1952 oraz w marcu 1953 roku. Z tych książek tworzone zespoły druków zastrzeżonych, zwanych najczęściej „prohibitami”, które, choć niedostępne dla czytelników, jednak fizycznie istniały w bibliotekach. Nakazano też wycofać karty katalogowe i włączyć je do osobnego inwentarza „przechowywanego pod zamknięciem” u dyrektora. Kolankowski nie podporządkował się temu zarządzeniu książek nie wycofał i nie spalił. Wszystkie wróciły na regały po październiku 1956 roku.

Najcięższe lata stalinowskie były czasem podporządkowywania uczelni wymogom ideologicznym i realizacji założeń Planu Sześcioletniego, którego zadania nie ominęły i biblioteki. Jednym z najważniejszych stało się opracowanie ogromnego księgozbioru, co wymagało zwiększenia liczby pracowników i reorganizacji instytucji. W 1953 roku wprowadzono nowy regulamin biblioteki oraz zmieniono jej strukturę organizacyjną, a instytucja włączyła się w działania propagandowe. W tych warunkach zamysł wielkiej księżnicy uniwersyteckiej, któremu patronował Kolankowski, musiał ulec dramatycznej korekcie, i w cieniu politycznej retoryki, inspirowanych przez władze partyjne sporów, prowokacji i donosów, rola dyrektora Biblioteki ulegała marginalizacji, a kierowanie uniwersytecką księżnicą przechodziło w coraz większym stopniu w ręce innych osób, związanych z nowym układem politycznym, głównie wicedyrektor Puciatowej, aktywnej członka PZPR, która w kwietniu 1955 roku objęła stanowisko dyrektora.



Tablica pamiątkowa wmurowana w ścianę Sali Ludwika Kolankowskiego w Collegium Maius, Toruń 7 czerwca 1982 r. (zasób Archiwum UMK)

Mimo upokorzeń, Ludwik Kolankowski pozostał wierny Toruniowi do końca życia. Nie skorzystał z propozycji objęcia katedry na uczelni we Wrocławiu, ani nie zgodził się pracować na Uniwersytecie Warszawskim. Uniwersytetem żył do końca: w ostatnich latach niemal codziennie odwiedzał Collegium Physicum, by obserwować postęp prac budowlanych. Przeżywał powolne związanie uczelni w początkach lat 50. XX wieku – zawieszenie działalności Wydziału Prawa czy likwidację większości kierunków na Wydziale Humanistycznym, a przecież wierzył, że dzieło rozpoczęte w trudnych powojennych latach będzie trwało znacznie dłużej niż jego własne życie.

Zmarł w poniedziałek 19 marca 1956 roku. Przez trzy dni trumna okryta togą, której nie zdążył już włożyć na Inaugurację roku 1948/49, i insygniami rektorskimi była wystawiona w holu Biblioteki Uniwersyteckiej, aby społeczność akademicka mogła oddać mu hołd i podziękować za trud włożony w budowę toruńskiej uczelni. Po nabożeństwie w kościele Najświętszej Marii Panny kondukt żałobny przeszedł ulicami miasta na cmentarz św. Jerzego, gdzie pierwszy rektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika spoczął na zawsze. Uniwersytet trwa, choć jakże daleko odszedł od tego, czym był w 1945 roku.

*Dr hab. Anna Supruniuk – dyrektor Archiwum UMK*

*Dr hab. Mirosław A. Supruniuk – kierownik Archiwum Emigracji UMK i Muzeum Uniwersyteckiego*

Tomasz Justyński

## Toruńska kuźnia talentów prawniczych

**Drugi Ogólnopolski Konkurs Prawa Rodzinnego i Spadkowego zorganizowany przez Katedrę Prawa Cywilnego został rozstrzygnięty. Chodzi o jedyną tego rodzaju w skali całego kraju swoistą „kuźnię talentów” prawniczych. Nie tylko prawnicy wiedzą, że znaczenie prawa rodzinnego oraz prawa sukcesyjnego rośnie z „dnia na dzień”.**

Spółeczeństwo zmienia się i bogaci, rośnie więc „lawninowo” zapotrzebowanie na prawników mających rozeznanie w obu tych (ściśle ze sobą powiązanych) dyscyplinach. A tych ciągle brakuje. Nic zatem dziwnego, że inicjatywa przyciąga po raz kolejny studentów prawa z najodleglejszych zakątków kraju. Dyplom finalisty Konkursu już dzisiaj otwiera wiele drzwi.

Do zmagania pisemnych (16 stycznia br.) zgłosiło się 162 studentów i studentek prawa z 18 ośrodków akademickich w całym kraju (Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Uniwersytet Gdański, Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, Uczelnia Łazarskiego, Akademia Leona Koźmińskiego, Uniwersytet Szczeciński, Uniwersytet Śląski, Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, Uniwersytet Opolski, Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie, Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Łódzki, Uniwersytet Jana Długosza w Częstochowie, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytet WSB Merito we Wrocławiu, Poznaniu i Gdańsku). 23 stycznia odbył się ustny finał.

Trzeba dodać, że 30 procent wszystkich uczestników konkursu to studenci spoza UMK. Z uwagi na otwarty charakter konkursu (udział jest dostępny dla wszystkich studentów, wszystkich lat studiów prawniczych, bez znanych z niektórych innych konkursów preselekcji i limitów miejsc dla poszczególnych uczelni) jest to wynik bardzo dobry. Tegorocznych uczestników nie odstraszyła również zimowa aura i czasami poważne zakłócenia komunikacyjne.

Po bardzo trudnym etapie pisemnym dziesięciu doskonale przygotowanych finalistów (z UMK, UG, UKW) stanęło w szranki, rywalizując o zwycięstwo oraz cenne nagrody ufundowane przez sponsorów konkursu.

Specjalny list gratulacyjny do uczestników oraz organizatorów Konkursu skierowali: Rzecznik Praw Obywatelskich p. Marcin Wiącek oraz Rzecznik Praw Dziecka p. Monika Horna-Cieślak.

Sąd Konkursowy złożony był z cenionych przedstawicieli nauki i praktyki prawa rodzinnego i prawa spadkowego z całego kraju: prof. Tomasz Justyński (UMK) – przewodniczący, not. Agnieszka Barańska (Kancelaria Notarialna Agnieszka Barańska Łukasz Barański Notariusze S.C., Toruń), dr Marcin Drewek (UMK), prof. Joanna Haberko (UAM Poznań), mec. Alicja Janowicz-Nadolska (Kancelaria Milewska-Celińska Prawo Rodzinne Spółka Partnerska w Warszawie), dr Tomasz Jasiakiewicz (UMK), prof. Wojciech Lis (KUL), mec. Ewa Milewska-Celińska (Komisja Kodyfikacyjna Prawa Rodzinnego, Kancelaria Mi-

Zdjęcie nadesłane



lewska-Celińska Prawo Rodzinne Spółka Partnerska w Warszawie), mec. dr Ewa Radomska (OIRP Toruń), mec. prof. Dorota Sylwestrzak (dziekan OIRP Toruń, UMK), prof. Małgorzata Świdorska (WSBiA Gdynia), dr Ewa Kabza (UMK – sekretarz konkursu). Podobnie jak w poprzednich latach, Sąd Konkursowy miał niezwykle trudne zadanie. Poziom całej grupy finalistów był bardzo wysoki, a poszczególne miejsca w finale – w wielu przypadkach – trzeba było wyznaczać z iście „z aptekarską” precyzją.

Pierwsze miejsce zajął i nagrodę Krakowskiej Izby Notarialnej w kwocie 2.700 PLN otrzymał: Stanisław Wutkowski (student piątego roku prawa z Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy). Drugie miejsce oraz nagroda 1.000 PLN ufundowana przez Kancelarię Prawną dra Marka Zalisko z Wrocławia przypadły Paulinie Błaszczuk (studentce piątego roku prawa z UMK). Trzecie miejsce zajęła oraz nagrodę Okręgowej Izby Radców Prawnych w Toruniu w kwocie 500 PLN otrzymała Aleksandra Jędrzejewska (studentka IV roku prawa z UMK w Toruniu).

Trójka zwycięzców nagrodzona została przez dziekana Wydziału Prawa i Administracji (książki i gadżety uniwersyteckie) oraz przez Kancelarię Notarialną Barańscy (książki prawnicze). Nagrody książkowe dla wszystkich dziesięciu finalistów ufundowało Wydawnictwo Wolters Kluwer, toruńskie pierniki zaś firma Iga Sarzyńska Wzrusza Toruń.

Tegoroczną „nowością” były nagrody w postaci praktyk ufundowanych przez: warszawską Kancela-

rię Ewa Milewska oraz przez Rzecznika Praw Obywatelskich. Przypadły one: zwycięzcy konkursu Stanisławowi Wutkowskiemu oraz wiceliderce Paulinie Błaszczuk. Jest to dobry początek. Zamierzeniem organizatorów konkursu jest stworzenie swoistej „giełdy talentów prawniczych”. Podejmowane są starania, aby już w przyszłym roku praktyki w najlepszych kancelariach i centralnych urzędach uzyskali wszyscy finaliści, w dalszej zaś perspektywie, aby były to oferty zatrudnienia.

Patronat nad konkursem objęli: Rzecznik Praw Obywatelskich, Rzecznik Praw Dziecka, Izba Notarialna w Krakowie, Okręgowa Izba Radców Prawnych w Toruniu, Kancelaria Milewska-Celińska Prawo Rodzinne Spółka Partnerska w Warszawie, Prezydent Miasta Torunia, Marszałek Województwa Kujawsko-Pomorskiego, Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę, Fundacja Instytut Prawa Szkolnictwa Wyższego i Nauki.

Patronatem medialnym współzawodnictwo otoczyła – podobnie jak w zeszłym roku – „Rzeczpospolita”. Konkursowi towarzyszy także „Krakowski Przegląd Notarialny”.

Kolejna edycja Ogólnopolskiego Konkursu Prawa Rodzinnego i Spadkowego w styczniu 2027 r.

Więcej informacji o Konkursie na stronie: <https://www.facebook.com/profile.php?id=61567111515308>.

*Prof. dr hab. Tomasz Justyński – kierownik Katedry Prawa Cywilnego Wydziału Prawa i Administracji UMK*

**Marek Jurgowiak**

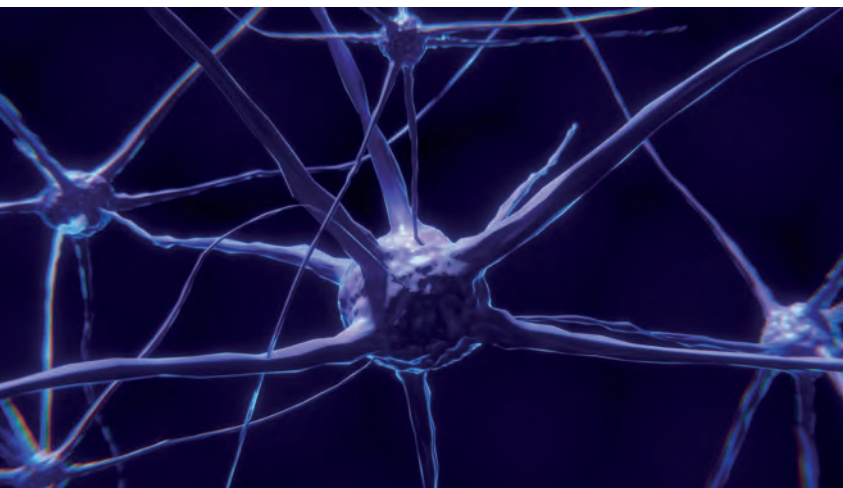
## Co zjada mózg?

„Wśród zjawisk zachodzących w świecie ożywionym tylko działanie mózgu jest równie cudowne i niepojęte, jak rozwój naszego organizmu z jednej zapłodnionej komórki jajowej”  
Ernst Mayr (1904–2005) nazywany „Darwinem XX wieku”,  
„This is biology” Harvard University Press, Cambridge, Massachusetts, 1997)

**Prawdopodobnie w ciągu całego, dość długiego, życia zjemy około 60 ton żywności.**

Zadziwiające przy tym jest też to, jak długo w historii ludzkości nie zdawaliśmy sobie sprawy

z faktu, że wiele spożywanych przez nas produktów ma bezpośredni wpływ nie tylko na ogólną kondycję naszego ciała, ale ma fundamentalny wpływ na metabolizm komórek odpowiedzialnych za naszą



osobowość, zdolności, wykształcenie, wspomnienia i wizje przyszłości, a nawet gusta. Neuronów, ulokowanych w jedynym, tak swoistym organie spośród wszystkich znanych nam na Ziemi – mózgu człowieka.

### Język neuronów

Układ nerwowy człowieka, w tym szczególnie mózg, nawet w spoczynku zużywa nieproporcjonalnie dużą, w stosunku do innych układów, ilość wytworzonej przez organizm energii. Neurony (choć mózg to także towarzyszące im inne typy komórek) zużywają aż 60% całkowitej podaży glukozy stanowiącej dla nich podstawowy substrat energetyczny, a która jest dostarczana przez barierę krew-mózg z udziałem niezależnych od insuliny transporterów glukozy GLUT1. A wszystko dla podtrzymania swoistej funkcji tych niezwykle wyspecjalizowanych komórek, którą jest wytwarzanie różnic potencjału i przekazywanie impulsów elektrycznych do innych komórek. Dzieje się to za sprawą struktur znanych jako synapsy. Każdy neuron tworzy połączenia synaptyczne z innymi, a to buduje skomplikowaną sieć połączeń (sieci neuronalne). Na przykład fragment wielkości ziarenka piasku to 100 tys. neuronów i 1 miliard synaps warunkujących przesyłanie impulsu nerwowego (elektrycznego). Przy tym impuls nerwowy musi zostać przekazany między dwoma neuronami w odpowiednim czasie, z właściwą szybkością i bezbłędnie. Synapsa pozostaje stale gotowa na przyjęcie kolejnego impulsu. Odpowiadają za to swoiste neurotransmitery (przebieżniki) zapakowane w specjalnych pęcherzykach bezpośrednio przy błonie i tak oczekujące, aż do uwolnienia ich do przestrzeni synaptycznej, szczeliny pomiędzy neuronami, w której odbywa się swoisty spektakl

polegający na przepływie neuromediatorów przez szczelinę, z jednej komórki i łączeniu się ich ze specjalnymi gotowymi na ich przyjęcie receptorami drugiej komórki. Co ciekawe, do wyprodukowania neurotransmiterów komórki nerwowe wymagają dostarczenia im wraz z żywnością (białka pokarmowe) specjalnych cząsteczek prekursorowych, a są to aminokwasy, z których powstają choćby adrenalina, dopamina czy serotonina. Także same aminokwasy bezpośrednio mogą zostać wykorzystane jako neurotransmitery, jak choćby glutaminian (znany również jako przyprawa do potraw) i glicyna. Zatem gdy impuls nerwowy dotrze do neuronu, to modyfikuje pole elektryczne, na które komórka reaguje poprzez umożliwienie napływu do jej wnętrza poprzez błonę komórkową jonów wapnia. A jest to sygnał do uwolnienia neurotransmiterów poprzez błonę komórki (presynaptyczną) do szczeliny synaptycznej. W następstwie tego neurotransmitery są wyrzucane do szczeliny synaptycznej. Wapń jest tym czynnikiem sygnałowym, który aktywuje białka obecne na powierzchni pęcherzyków i umożliwia opuszczenie wnętrza pęcherzyków przez neurotransmitery. Następnie cząsteczki neurotransmiterów przemieszczają się przez szczelinę synaptyczną i skutecznie łączą się z receptorami oczekującymi na nie w błonie drugiej komórki (postsynaptycznej). To aktywuje receptor, a za jego sprawą do komórki postsynaptycznej wnikają jony sodu, co wywołuje nowy impuls nerwowy. Następuje „przeskok” impulsu nerwowego z jednej komórki (presynaptycznej) do drugiej (komórki postsynaptycznej). Kluczowym w tym procesie jest zatem wiązanie się neurotransmitera ze swoistym dla niego receptorem. Zwykle, co ciekawe, w synapsie uwalnianych jest mieszanka kilku neurotransmiterów, więc na ten „miks” reagować mogą różne receptory, co wpływa na przekaz sygnału synaptycznego.

### Moc aminokwasów

Kształtowanie i rozwój funkcji poznawczych (kognitywnych) człowieka zależy od wielu czynników, w tym składników zawartych w żywności. Muszą być one stale dostarczane komórkom nerwowym, tak aby mogły służyć także wytwarzaniu neurotransmiterów, które nieustannie są produkowane i uwalniane z neuronów. Takie cząsteczki prekursorowe dla neuromediatorów powinny stale być obecne w komórkach, a należą do nich proste zazwyczaj w swej budowie aminokwasy. Co ciekawe, aminokwasy, takie jak glutaminian, są nawet bezpośrednio

wykorzystywane w układzie nerwowym jako neurotransmitery. Glutaminian jest także źródłem powstającego po jego przebudowie kolejnego neuroprzekaźnika, jakim jest GABA (kwas gamma-aminomasłowy). Jest to główny przekaźnik o działaniu hamującym, podobnie jak inny, bardzo prosty aminokwas znany jako glicyna. GABA umożliwia nam uspokojenie oraz odczuwanie stanu wyciszenia i relaksu, zapewniając przy tym dobry głęboki sen. Takie hamujące właściwości GABA równoważą pobudzające działanie samego glutaminianu, czyli prekursora dla kwasu gamma-aminomasłowego. Zatem równowaga w ilościach glutaminian-GABA stanowi o utrzymaniu równowagi (homeostazy) układu nerwowego. Co ciekawe, proces powstawania GABA z glutaminianu odbywa się nie w samych komórkach nerwowych tylko w astrocytach, czyli komórkach tkanki gliejowej mózgu, co potwierdza jej znaczącą rolę w funkcjonowaniu naszego generatora umysłu.

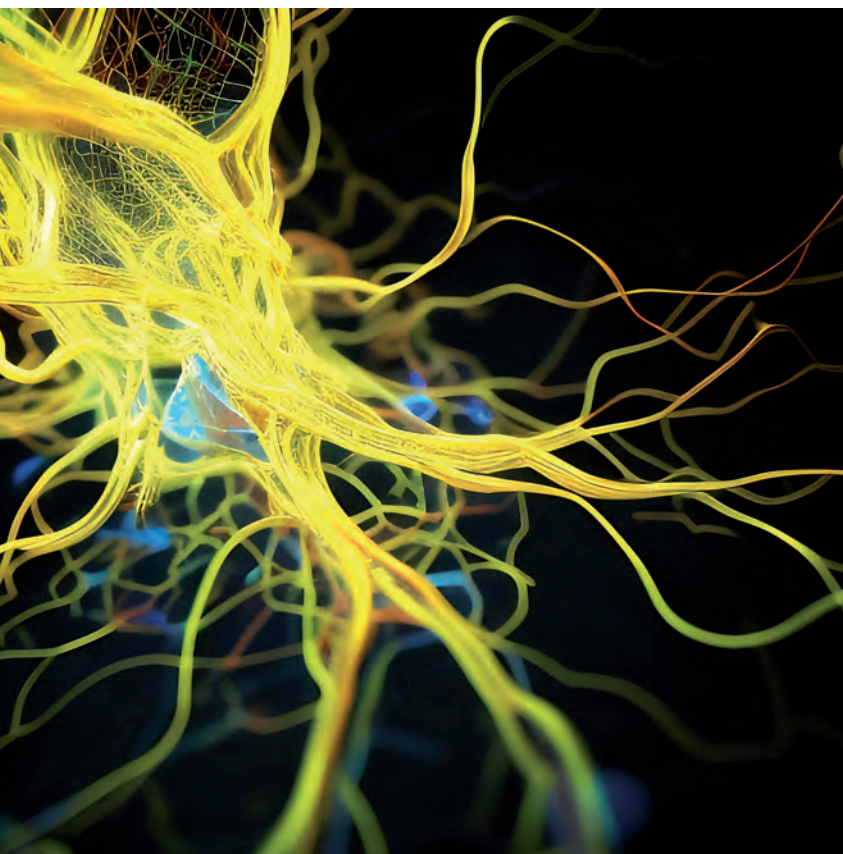
Serotonina to powszechnie znana nazwa kolejnego neuroprzekaźnika, który powstaje z również z aminokwasu – tryptofanu. Aminokwas ten jest obecny w bogatobiałkowej żywności czyli kurczakach, jajach, produktach nabiałowych, roślinach strączkowych. U osób cierpiących z powodu depresji synapsy nie wykorzystują w wystarczającym stopniu dostępnej serotoniny. Stosuje się w tych przypadkach farmakoterapeutyki, które podwyższają poziom serotoniny, na przykład poprzez zapobieganie jej zwrotnemu wychwytowi i rozkładowi. Serotonina dostarcza nam odczucia satysfakcji i zadowolenia, ale też zmniejsza pragnienie na pogłębienie tego stanu, nie mobilizuje nas do dalszego działania, jak to robi inny przekaźnik – dopamina.

Dopamina, ale także adrenalina i noradrenalina to neuromediatory, które są pochodnymi kolejnego aminokwasu, jakim jest tyrozyna. W procesie ich powstawania znaczenie mają także kwas foliowy, magnez i witamina B12. Działają bowiem jako kofaktory w procesach syntezy tych neuroprzekaźników. Pochodne tyrozyny wykazują szerokie spektrum działania w mózgu. Co ciekawe, mniej znany jest fakt, że dopamina powstaje poza mózgiem także w przewodzie pokarmowym. Wytwarzana jest tam z aminokwasu pokarmowego fenyloalaniny. W mózgu jest zaś wytwarzana w neuronach dopaminergicznych. Niezwykły jest także fakt, że dopamina może działać zarówno pobudzająco, jak i hamująco. Może też wpływać na aktywność innych neurotransmiterów. Wówczas określa się jej działanie jako neuromodulacyjne. Znaczy to tyle, że nie



działa jako swoista substancja przekaźnikowa w obrębie synapsy, tylko działa regulacyjnie na działanie innych synaps. Sprawia, że te modulowane synapsy stają się mniej podatne, albo przeciwnie bardziej wrażliwe na pobudzenie. Poziom tyrozyny znacząco rośnie po spożyciu pokarmu wysoko białkowego, co przekłada się na wzrost poziomu i aktywności dopaminy i noradrenaliny.

Jest natomiast bardzo interesujący fakt, że pokarm bogato białkowy, paradoksalnie, obniża może poziom tryptofanu, a co za tym idzie serotoniny w mózgu. Dzieje się tak dlatego, że tryptofan musi konkurować o dostęp do mózgu z innymi aminokwasami, mającymi podobną budowę. Wykorzystują one bowiem tę samą drogę transportu, aby przedostać się przez barierę krew-mózg. Gorsza pozycja w tej grze tryptofanu wynika z tego, że jest go mniej w białkach aniżeli konkurencyjnych aminokwasów. Jednocześnie, co ciekawe, sytuacja zmienia się, gdy spożyjemy pokarm zawierający cukry. Węglowodany powodują uwolnienie większej ilości insuliny, a ta reguluje poziom glukozy we krwi poprzez transportowanie jej z krwi do tkanek. Ułatwia to przedostawanie się tryptofanu poprzez barierę krew-mózg. Tryptofan potrzebuje transportera w postaci białka LNAA. O to białko konkurują także inne aminokwasy (leucyna, walina, izoleucyna). Insulina sprzyja wychwytowi aminokwasów przez inne tkanki obwodowe, a wówczas tryptofan ma priorytet w łączeniu się z transporterem LNAA. W rezultacie wzrasta poziom mózgowej serotoniny podwyż-



szającej tolerancję bólu, poprawiającej jakość snu, niosącej odczucie spokoju.

### I nie tylko aminokwasy...

Acetylocholina, obok glutamianu, to jeden z najważniejszych neuromediatorów o działaniu pobudzającym. Molekuła ta nie jest aminokwasem, ani

pochodną aminokwasu, niemniej należy ją wspomnieć z uwagi na rangę cząsteczki jako neuroprzeźkaźnika.

Lecytyna to źródło choliny, na bazie której powstaje acetylocholina – neuroprzeźkaźnik najobficiej występujący w ludzkim organizmie. Jaja (żółtka jaj) to znaczące źródło choliny, ponieważ ich żółtko jest zasobne w lecytynę. Sama zaś acetylocholina, nie tylko ma znaczenie dla pobudzania mózgowego układu nagrody, ale także pełni ważną funkcję w procesie uczenia się i jest istotna dla procesów związanych z neuroplastycznością. Ponadto neurony mogą za pomocą acetylocholine kontrolować pracę komórek mięśniowych i aktywizować je poprzez impulsy nerwowe. Znamienne jest, że spadek poziomu tego neuroprzeźkaźnika jest związany z utratą pamięci, pogorszeniem funkcji kognitywnych i większym ryzykiem wystąpienia choroby Alzheimera w zaawansowanym wieku.

Układ nerwowy to miejsce działania wielu jeszcze innych substancji o naturze przeźkaźników. Są wśród nich niewielkie peptydy do których należą endorfiny, czy enkefalinę. Są to endogenne peptydy opioidowe. Mogą one wywoływać nie tylko uczucie szczęścia, ale także mogą tłumić odczuwanie bólu.

Neuroprzeźkaźniki to swoiste mediatory, przeźkaźniki sygnału, natomiast ostatecznie za efekt wywołany w komórce docelowej odpowiadają obecne w komórkach białka receptorowe inicjujące w komórce swoiste kaskady sygnałowe odpowiedzialne za wywoływany efekt biologiczny.

### Dopamina, układ nagrody i słodkie uzależnienie?

Kiedy jemy smaczny posiłek, gwałtownie podnosi się poziom dopaminy, a ta pobudza mózgowy układ nagrody. Gdy jednak ulubiony przysmak nazbyt często pobudza układ nagrody (kilka razy dziennie) przez dłuższy czas, wówczas poziom dopaminy obniża się i nie osiąga już wyjściowego pułapu. Zwyczajnie, mózg domaga się dostarczenia mu zróżnicowanego, urozmaiconego pożywienia, tak aby zapewniło dostawę aminokwasów, witamin, soli mineralnych i lipidów niezbędnych dla sprawnego działania naszego centrum dowodzenia. Wszystkożerność, jedzenie zróżnicowanych pokarmów, jest idealnym rozwiązaniem. W sytuacji jednak, gdy regularnie, stale pobudzamy mózg słodkimi przysmakami (cukier) poziom dopaminy utrzymuje się na podwyższonym poziomie, a to wyzwala nasze dobre samopoczucie. Przyzwyczajenie do takiego odczuwania dobrego samopoczucia, jakie daje cukier, to impuls do częstego sięgania po ów mózgowy dopalacz. Pojawić się może uzależnienie.

Dopamina – 3,4-dihydroksyfenyloetyloamina, wydzielona do szczeliny synaptycznej działa na swoiste receptory dopaminergiczne, zaliczane do receptorów błonowych (dwóch rodzin receptorów z podtypami), sprzężonych z białkiem G. Poprzez pobudzenie receptorów dopamina bierze udział w regulacji, tak zróżnicowanych procesów, jak utrzymanie postawy ciała i poruszanie się, zapamiętywanie, uczenie się, interpretowanie bodźców emocjonalnych. Zaburzenie wytwarzania i działania dopaminy jest przyczyną chorób takich, jak choroba Parkinsona, schizofrenia, ADHD i jest przyczyną uzależnień.

Mózg posługuje się swoistym językiem neuroprzekaźnikowym. Gdy czytamy ten tekst, przez mózg przetacza się swoista chemiczna fala neuroprzekaźnikowa. Jednocześnie sam mózg może stać się ofiarą niewystarczającego odtwarzania (syntezy) zapasów niektórych cząsteczek neuroprzekaźników. Wystarczy zły sposób odżywiania się, stres, niektóre leki, alkohol, narkotyki czy nawet pewne predyspozycje genetyczne. Wszystkie te czynniki mogą wpływać na rezerwy neuroprzekaźników, a tym samym funkcjonowanie naszego fenomenal-

nego aparatu poznawczego, dzięki któremu możliwe było napisanie niniejszego testu, a także jego przeczytanie, aż po ostatnie zwieńczone kropką słowo.



*Dr n. med. Marek Jurgowiak* — Wydział Farmaceutyczny Collegium Medicum UMK, wiceprzewodniczący Rady Programowej CN Młyn Wiedzy, Rada Programowa TFNiS, autor i popularyzator nauki, członek zespołu redakcyjnego „Głos Uczelni”

Magdalena Schulz

## Wsparcie dla serca - od diety po mikrobiotę jelitową

**Choroby układu sercowo-naczyniowego od wielu lat pozostają jednym z najpoważniejszych problemów zdrowotnych. W Polsce stanowią one główną przyczynę zgonów, odpowiadając za około jedną trzecią wszystkich przypadków śmierci.**

Co więcej, ryzyko zgonu z powodu chorób serca w naszym kraju jest wyraźnie wyższe niż średnia w wielu państwach Unii Europejskiej. W ostatnich latach podejście do profilaktyki i leczenia chorób kardiologicznych uległo jednak znaczącej zmianie. Coraz większy nacisk kładzie się nie tylko na farmakoterapię, ale również na kompleksowe działania obejmujące styl życia, dietę, aktywność fizyczną oraz zdrowie mikrobioty jelitowej.

### Patogeneza chorób serca i czynniki ryzyka

Choroby układu krążenia obejmują szeroką grupę schorzeń, takich jak choroba niedokrwienna serca, nadciśnienie tętnicze, niewydolność serca czy udar mózgu. Najczęstszą przyczyną choroby niedokrwiennej serca jest miażdżycy tętnic wieńcowych. Głównym czynnikiem warunkującym rozwój miażdżycy jest wysoki poziom cholesterolu LDL, który pod wpływem wolnych rodników ulega przemianie do formy utlenionej, wykazującej silne właś-





ciwości adhezyjne w ścianach naczyń krwionośnych, tworząc blaszkę miażdżycową. W miarę jej wzrostu dochodzi do zwężenia światła naczyń, co ogranicza dopływ krwi do mięśnia sercowego.

Czynniki wpływające na rozwój chorób serca można podzielić na dwie podstawowe grupy: niemodyfikowalne oraz modyfikowalne. Do pierwszej kategorii należą wiek, płeć, predyspozycje genetyczne czy pochodzenie etniczne. Czynniki te pozostają poza bezpośrednią kontrolą człowieka.

Większe znaczenie w profilaktyce mają jednak czynniki środowiskowe, takie jak:

- nieprawidłowa dieta,
- brak aktywności fizycznej,
- nadwaga i otyłość,
- palenie tytoniu,
- nadmierne spożycie alkoholu,
- cukrzyca typu 2,
- nadciśnienie tętnicze,
- zaburzenia lipidowe.

Odpowiednie działania profilaktyczne, oparte na poprawie jakości diety, normalizacji masy ciała, zwiększeniu aktywności fizycznej czy eliminacji używek, mogą znacząco zmniejszyć prawdopodobieństwo wystąpienia chorób sercowo-naczyniowych.

### Znaczenie jakości tłuszczów w diecie

Jednym z najważniejszych elementów wpływających na zdrowie serca jest skład diety, a szczególnie jakość spożywanych tłuszczów. Współczesne zalecenia dietetyczne podkreślają, że nie tylko ilość tłuszczu, ale przede wszystkim jego rodzaj ma kluczowe znaczenie dla zdrowia układu krążenia.

Nasycone kwasy tłuszczowe, obecne głównie w tłustym mięsie czerwonym, maśle czy pełnotłustych produktach mlecznych, mogą zwiększać stężenie cholesterolu LDL we krwi. Jeszcze bardziej niekorzystny wpływ mają izomery trans kwasów tłuszczowych, które występują przede wszystkim w wysoko przetworzonej żywności, takiej jak fast-foody, słodczyce czy gotowe przekąski. Tłuszcze trans nie tylko podnoszą poziom LDL, ale także obniżają poziom „dobrego” cholesterolu HDL. Z kolei tłuszcze jedno- i wielonienasycone wykazują działanie kardioprotekcyjne. Jednonienasycone kwasy tłuszczowe obecne w oliwie z oliwek, oleju rzepakowym czy awokado pomagają obniżać poziom cholesterolu LDL i poprawiają profil lipidowy.

Szczególne znaczenie mają wielonienasycone kwasy tłuszczowe omega-3, występujące przede wszystkim w tłustych rybach morskich, takich jak łosoś, makrela czy sardynki. Wykazują one silne działanie przeciwzapalne, przeciwzakrzepowe i antyarytmiczne, a także przyczyniają się do obniżenia ciśnienia tętniczego. Regularne spożywanie ryb morskich jest z tego powodu jednym z najważniejszych zaleceń dietetycznych w profilaktyce chorób serca.

### Fitosterole – roślinna broń przeciw cholesterolowi

Coraz większą uwagę w badaniach nad dietą kardioprotekcyjną zwraca się również na bioaktywne



składniki roślinne, w tym sterole i stanole roślinne. Są to związki chemiczne o budowie podobnej do cholesterolu, występujące naturalnie w wielu produktach roślinnych.

Ich działanie polega na konkurowaniu z cholesterolem zwierzęcym o wchłanianie w jelicie cienkim (transportowane są przez to samo białko NPC1L1). W efekcie organizm przyswaja mniejszą ilość cholesterolu pochodzącego z diety, a jego nadmiar jest wydalany z organizmu. Badania wskazują, że regularne spożywanie około 2–3 gramów steroli roślinnych dziennie może obniżyć poziom cholesterolu LDL nawet o 10%, co przekłada się na poprawę struktury śródbłonna naczyń krwionośnych i zmniejszenie sztywności tętnic. Naturalnymi źródłami tych związków są m.in.: oleje roślinne, orzechy i nasiona, produkty zbożowe, rośliny strączkowe. Obecnie wiele produktów spożywczych, takich jak margaryny, jogurty czy napoje roślinne, jest dodatkowo wzbogacanych w sterole roślinne w celu zwiększenia ich działania prozdrowotnego.

### Błonnik pokarmowy a zdrowie serca

Kolejnym elementem diety o dużym znaczeniu dla zdrowia układu krążenia jest błonnik pokarmowy. Szczególnie korzystny wpływ wykazuje jego rozpuszczalna frakcja, do której należą m.in.  $\beta$ -glukany, pektyny oraz gumy roślinne. W przeciwieństwie do błonnika nierozpuszczalnego w wodzie, forma rozpuszczalna wykazuje działanie hipolipemiczne, czyli obniżające stężenie cholesterolu całkowitego i jego frakcji LDL-C. Błonnik rozpuszczalny pomaga obniżać poziom cholesterolu poprzez wiązanie kwasów żółciowych w jelicie cienkim, ograniczenie ich zwrotnego wchłaniania i tym samym zwiększenie wydalania z organizmu. W rezultacie organizm musi wykorzystać cholesterol do ich ponownej syntezy, co prowadzi do obniżenia jego stężenia we krwi.

Ponadto błonnik wpływa korzystnie na metabolizm glukozy, ograniczając gwałtowne skoki poziomu cukru po posiłkach. Dzięki temu zmniejsza ryzyko rozwoju insulinooporności i cukrzycy typu 2, które są ważnymi czynnikami ryzyka chorób serca.

Dobrym źródłem błonnika są świeże warzywa i owoce (spożywane ze skórka), produkty zbożowe (głównie owies i jęczmień), siemię lniane i babka płesznik, czy nasiona roślin strączkowych. Badania wskazują, że zwiększenie spożycia błonnika o około 7 gramów dziennie może zmniejszyć ryzyko choroby wieńcowej nawet o 9%.





### Mikrobiota jelitowa – nowy kierunek badań kardiologicznych

Jednym z najbardziej fascynujących kierunków współczesnych badań nad zdrowiem serca jest rola mikrobioty jelitowej. Jelita człowieka zamieszkują biliony mikroorganizmów, które uczestniczą w licznych procesach metabolicznych i immunologicznych.

Nieprawidłowy skład mikrobioty, określany jako dysbioza jelitowa, może prowadzić do powstawania metabolitów sprzyjających rozwojowi miażdżycy. Jednym z nich jest tlenek trimetyloaminy (TMAO), powstający podczas metabolizmu składników odżywczych obecnych w czerwonym mięsie i produktach zwierzęcych. Związek ten zwiększa ryzyko tworzenia się blaszek miażdżycowych oraz sprzyja powstawaniu zakrzepów. Dodatkowo, dieta zachodnia (charakteryzująca się wysokim stopniem przetworzenia, uboga w błonnik) ogranicza produkcję krótkołańcuchowych kwasów tłuszczowych (SCFA) przez korzystne bakterie jelitowe, które wykazują

działanie przeciwzapalnie i wspierające prawidłowe funkcjonowanie śródbłonna naczyń krwionośnych.

### Modele żywieniowe wspierające zdrowie serca

Współczesne wytyczne kardiologiczne zalecają stosowanie całych modeli żywieniowych, które łączą różne korzystne składniki diety. Do najlepiej przebadanych należą dieta śródziemnomorska oraz dieta DASH. Dieta śródziemnomorska opiera się przede wszystkim na dużej ilości warzyw, owoców, oliwy z oliwek, orzechów, ryb oraz pełnoziarnistych produktów zbożowych. Charakteryzuje się niskim spożyciem czerwonego mięsa oraz produktów wysoko przetworzonych. Z kolei dieta DASH została opracowana w celu zapobiegania nadciśnieniu tętniczemu. Jej główne założenia obejmują zwiększenie spożycia warzyw, owoców i produktów mlecznych o niskiej zawartości tłuszczu, a także ograniczenie soli oraz tłuszczów nasyconych.

Oba modele żywieniowe wykazują silne działanie ochronne wobec układu sercowo-naczyniowego i są rekomendowane przez organizacje kardiologiczne.

### Podsumowanie

Nowoczesne podejście do profilaktyki chorób serca wyraźnie pokazuje, że zdrowie układu krążenia zależy od wielu wzajemnie powiązanych czynników. Oprócz leczenia farmakologicznego coraz większą rolę odgrywają działania ukierunkowane na styl życia – odpowiednia dieta, aktywność fizyczna, utrzymanie prawidłowej masy ciała oraz eubioza jelitowa. Codziennie wybory żywieniowe powinny opierać się na żywności nisko przetworzonej, bogatej w błonnik, fitosterole oraz jedno- i wielonienasycone kwasy tłuszczowe.

Zdjęcia: Winicjusz Schulz



*Mgr Magdalena Schulz* – absolwentka dietetyki Collegium Medicum UMK, dietetyk kliniczny

Anna Małgorzata Burak, Przemysław Żuratyński

# Codziennność medyków

Krzyk, groźby, wyzwiska, a czasem także popychanie czy rzucanie przedmiotami – dla wielu przedstawicieli zawodów medycznych to nie są pojedyncze incydenty, lecz element codziennej pracy. Najczęściej dochodzi do nich w oddziałach ratunkowych, zespołach ratownictwa medycznego oraz w nocnej i świątecznej opiece zdrowotnej.

Przez lata takie zachowania bywały bagatelizowane i usprawiedliwane stresem pacjentów. Dziś coraz wyraźniej widać, że to poważny problem systemowy, a nie „urok zawodu”. Dane z ostatnich lat nie pozostawiają złudzeń: agresja wobec personelu medycznego jest zjawiskiem powszechnym. Analizy prowadzone w polskich szpitalach pokazują setki zgłoszonych przypadków agresji w ciągu kilku lat – i to tylko tych, które trafiły do dokumentacji. Badacze podkreślają, że rzeczywista skala problemu jest znacznie większa, ponieważ wiele zdarzeń w ogóle nie jest zgłaszanych. Najczęściej mamy do czynienia z agresją werbalną: krzykiem, obrażaniem czy groźbami. Nie brakuje jednak także przemocy fizycznej. Sprawcami są zwykle pacjenci lub osoby im towarzyszące, często będące pod wpływem alkoholu lub innych substancji. Co istotne, agresja nie jest domeną pojedynczych „trudnych” osób – to powtarzalny wzorec zachowań obserwowany w różnych placówkach i regionach kraju.

## Studium przypadku: wieloletnia analiza w oddziale ratunkowym

Szczególnie ważnym punktem odniesienia w polskich badaniach jest analiza przeprowadzona przez zespół dr n. o zdr. Anny Burak z Katedry Ratownictwa Medycznego CM UMK, opublikowana w 2025 roku w czasopiśmie *International Journal of Occupational Medicine and Environmental Health*. Badacze przyrzekli się dokumentacji zgłoszeń agresji w jednym z dużych oddziałów ratunkowych w Polsce, analizując dane z siedmiu lat (2017–2023). Oddział ten przyjmował rocznie około 48 tysięcy pacjentów, co pozwoliło uchwycić realne, długofalowe tendencje, a nie jedynie incydentalne zdarzenia. W badanym okresie zarejestrowano 445 przypadków agresji wobec personelu medycznego. Co istotne, autorzy za-



uważyli spadek liczby zgłoszeń w kolejnych latach, który nie oznaczał poprawy bezpieczeństwa, lecz raczej narastające zjawisko niezgłaszania przemocy. Zdecydowaną większość sprawców stanowili mężczyźni, a średni wiek agresora wynosił niespełna 50 lat. Blisko połowa incydentów była związana z pacjentami znajdującymi się pod wpływem alkoholu. W dokumentacji dominowały opisy agresji werbalnej – krzyków, wyzwisk i groźb, jednak odnotowywano także przypadki agresji fizycznej oraz niszczenia wyposażenia oddziału. Autorzy badania zwrócili uwagę na bardzo lakoniczny charakter opisów zdarzeń. Często brakowało informacji o okolicznościach, eskalacji konfliktu czy konsekwencjach dla personelu. To pokazuje, że agresja funkcjonuje w oddziałach ratunkowych jako zjawisko „oswojone” i niedostatecznie dokumentowane, co utrudnia ocenę jej rzeczywistej skali oraz projektowanie skutecznych działań zapobiegawczych. Wnioski płynące z tej analizy są jednoznaczne: bez systematycznego i pełnego raportowania przemocy nie da się skutecznie chronić personelu medycznego. Badanie to jest jednym

z pierwszych w Polsce, które tak wyraźnie pokazuje agresję wobec medyków jako problem strukturalny, a nie zbiór przypadkowych zdarzeń.

### **Dlaczego agresja jest rzadko zgłaszana?**

Choć przypadki agresji są częste, personel medyczny rzadko je formalnie raportuje. Powody są różne: brak czasu, przekonanie, że „to nic nie da”, obawa przed dodatkowymi procedurami czy po prostu zmęczenie. W wielu zespołach utrwaliło się też niebezpieczne przeświadczenie, że agresja jest czymś normalnym i nieuniknionym. Efekt? Zjawisko pozostaje w dużej mierze niewidoczne w statystykach, co utrudnia wprowadzanie skutecznych rozwiązań organizacyjnych i prawnych.

### **Jakie skutki?**

Agresja rzadko kończy się tylko na chwilowym dyskomforcie. Długotrwałe narażenie na przemoc – nawet „tylko” werbalną – prowadzi do przewlekłego stresu, problemów ze snem, objawów lękowych i depresyjnych. Wiele osób doświadcza wypalenia zawodowego, częściej korzysta ze zwolnień lekarskich lub zaczyna myśleć o odejściu z zawodu. To szczególnie niepokojące w systemie, który już teraz zmaga się z brakami kadrowymi. Personel medyczny, który rezygnuje z pracy z powodu poczucia zagrożenia, to realna strata dla pacjentów.

Agresja wobec personelu medycznego nie dotyczy wyłącznie samych pracowników. Zestresowany i przemęczony personel ma mniejsze możliwości zapewnienia pacjentom bezpiecznej i wysokiej jakości opieki. Rośnie ryzyko błędów, spada zaufanie do instytucji ochrony zdrowia, a atmosfera konfliktu zamiast współpracy szkodzi wszystkim stronom.

### **Prawo reaguje – ale to nie wszystko**

Istotnym elementem systemowej odpowiedzi na agresję wobec personelu medycznego jest nowelizacja z dnia 7 listopada 2025 r. (Dz.U. 2025; poz. 1818), która weszła w życie na początku 2026 roku i znacząco wzmocniła ochronę prawną osób wykonujących zawody medyczne. W Kodeksie karnym zaostrzono odpowiedzialność za naruszenie netykalności cielesnej, znieważenie oraz kierowanie gróźb wobec personelu medycznego w związku z wykonywaniem czynności zawodowych. Przewidziano karę pozbawienia wolności od 3 miesięcy do 5 lat w przypadku narażenia pokrzywdzonego na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia lub ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. Związek czynu

z wykonywaniem obowiązków służbowych został wskazany jako okoliczność obciążająca, a na wniosek pokrzywdzonego możliwe jest podanie wyroku do publicznej wiadomości. Nowelizacja Kodeksu wykroczeń objęła łagodniejsze formy agresji, w tym agresję słowną, znieważanie i zakłócanie porządku, podnosząc minimalną grzywnę do 1000 zł, zwłaszcza w przypadku zdarzeń mających miejsce w zakładach leczniczych lub podczas akcji medycznych. Równoległe wprowadzono rozwiązania proceduralne umożliwiające szybsze prowadzenie postępowań, w tym rozszerzenie trybu przyspieszonego i możliwość nakładania wyższych mandatów, co ma ograniczać poczucie bezkarności sprawców. Nowe regulacje pełnią funkcję represyjną, prewencyjną i symboliczną, jasno wskazując na brak społecznego i prawnego przyzwolenia na agresję wobec personelu medycznego oraz podkreślając, że bezpieczeństwo pracowników ochrony zdrowia stanowi warunek sprawnego funkcjonowania systemu. Eksperti podkreślają jednak, że same przepisy nie wystarczą. Potrzebne są także działania na poziomie placówek: jasne procedury zgłaszania incydentów, realne wsparcie ze strony przełożonych, szkolenia z radzenia sobie z agresją oraz dostęp do pomocy psychologicznej.

Agresja wobec personelu medycznego nie jest problemem jednostkowym ani chwilowym. To zjawisko systemowe, które przez lata było ignorowane lub minimalizowane. Dziś wiemy, że tolerowanie przemocy w ochronie zdrowia uderza nie tylko w medyków, ale w cały system. Zapewnienie bezpieczeństwa osobom, które ratują zdrowie i życie, nie jest przywilejem. To warunek konieczny, by ochrona zdrowia mogła działać sprawnie i z korzyścią dla pacjentów.

### **Problem globalny**

Problem agresji wobec personelu medycznego nie jest specyfiką Polski. Szczególnie istotnym punktem odniesienia jest metaanaliza przeprowadzona przez dr n. med. Małgorzatę Leźnicką oraz dr hab. Halinę Zielińską-Więczkowską z Katedry Nauk Społecznych CM UMK, opublikowana w 2024 roku na łamach czasopisma *Psychiatria Polska*. Praca ta, obejmująca analizę wyników 253 badań i danych ponad 331 tysięcy pracowników ochrony zdrowia z wielu krajów, która potwierdza powszechność przemocy w miejscu pracy wobec medyków, niezależnie od wykonywanego zawodu, stażu pracy czy miejsca zatrudnienia. Dominującą formą agresji pozostaje

przemoc werbalna, jednak znacząca część personelu doświadcza również gróźb, przemocy fizycznej oraz innych form przemocy psychospołecznej. W skali międzynarodowej głównymi sprawcami agresji są pacjenci i ich bliscy, przy jednocześnie wysokim udziale przemocy ze strony współpracowników i przełożonych, co wskazuje na uniwersalne, systemowe i organizacyjne uwarunkowania zjawiska. Długotrwała ekspozycja na przemoc wiąże się z wypaleniem zawodowym, pogorszeniem zdrowia psychicznego oraz zwiększoną rotacją kadr medycznych, stanowiąc istotne zagrożenie dla stabilności systemów ochrony zdrowia na świecie.

Wspólnym wnioskiem płynącym z wielu badań jest to, że agresja wobec personelu medycznego nie jest efektem „złych charakterów” czy pojedynczych konfliktów. Sprzyjają jej przepełnione oddziały, długie czasy oczekiwania, braki kadrowe, zmęczenie personelu oraz brak jasnych zasad reagowania na przemoc. Gdy agresja nie spotyka się z jednoznaczną reakcją instytucji, ulega normalizacji. Personel przestaje ją zgłaszać, a pacjenci i ich bliscy utwierdzają się w przekonaniu, że takie zachowania są dopuszczalne.

### Mity i fakty o agresji wobec medyków

Mit 1: *Agresja to nieunikniona część pracy w ochronie zdrowia*

Fakt: Badania jednoznacznie pokazują, że agresja nie jest naturalnym elementem zawodu medycznego, lecz efektem konkretnych warunków organizacyjnych i systemowych. Przepełnione oddziały, długie czasy oczekiwania, braki kadrowe oraz brak jasnych procedur reagowania znacząco zwiększają ryzyko agresywnych zachowań. W placówkach, które wdrożyły czytelne zasady zgłaszania incydentów i realne wsparcie dla personelu, liczba zdarzeń agresywnych ulega zmniejszeniu.

Mit 2: *Chodzi głównie o pojedyncze, skrajne przypadki*

Fakt: Dane z badań krajowych i międzynarodowych pokazują, że agresja wobec personelu medycznego ma charakter powszechny i powtarzalny. Zdecydowana większość doświadcza agresji przynajmniej raz w swojej karierze zawodowej, a wielu – wielokrotnie. Najczęściej jest to agresja werbalna, która bywa bagatelizowana, mimo że jej skutki psychiczne są długotrwałe.

Mit 3: *Jeśli nie doszło do pobicia, to nie ma problemu*

## RZETELNA DOKUMENTACJA INCYDENTÓW AGRESJI JEST WARUNKIEM KONIECZNYM DO OCENY SKALI ZJAWISKA I PROJEKTOWANIA INTERWENCJI PREWENCYJNYCH.



Fakt: Przemoc fizyczna jest tylko jedną z form agresji. Krzyki, wyzwiska, groźby, poniżanie czy zastraszanie również stanowią przemoc i mają realny wpływ na zdrowie psychiczne personelu. Badania pokazują, że długotrwała ekspozycja na agresję werbalną może prowadzić do przewlekłego stresu, wypalenia zawodowego oraz objawów lękowych i depresyjnych, nawet jeśli nigdy nie doszło do kontaktu fizycznego.

Mit 4: *Medycy przesadzają, bo są odporni na stres*

Fakt: Odporność psychiczna nie oznacza braku reakcji na przemoc. Personel medyczny jest szkolony do pracy w sytuacjach nagłych i obciążających emocjonalnie, ale nie do znoszenia agresji. Badania pokazują, że nawet doświadczeni pracownicy ochrony zdrowia z czasem odczuwają narastające zmęczenie, frustrację i spadek poczucia bezpieczeństwa, jeśli agresja się powtarza.

Mit 5: *Zgłaszanie incydentów nic nie zmienia*

Fakt: Choć wielu medyków ma poczucie bezsilności, badania wskazują, że systematyczne i rzetelne raportowanie agresji jest kluczowe dla realnych zmian.

Tylko udokumentowane dane pozwalają kierownictwu placówek i decydom ocenić skalę problemu, zaplanować działania prewencyjne i uzasadnić zmiany organizacyjne lub prawne.

#### Mit 6: Agresja wynika wyłącznie z emocji pacjentów

Fakt: Emocje pacjentów odgrywają rolę, ale nie są jedyną przyczyną agresji. Badania wskazują na istotny wpływ alkoholu i innych substancji psychoaktywnych, a także frustracji wynikającej z chaosu organizacyjnego i braku informacji. Odpowiednia komunikacja, obecność wsparcia ochrony oraz jasne procedury znacząco ograniczają eskalację konfliktów.

#### Mit 7: To problem tylko oddziałów ratunkowych

Fakt: Choć oddziały ratunkowe i zespoły ratownictwa medycznego są szczególnie narażone, agresja wobec personelu występuje także na oddziałach szpitalnych, w podstawowej opiece zdrowotnej, a nawet w opiece długoterminowej. Zjawisko ma charakter ogólnosystemowy i dotyczy całej ochrony zdrowia.

### Wiedza jest, czas na działanie

Badania naukowe dostarczają dziś spójnego i jednoznacznego obrazu: agresja wobec personelu medycznego jest zjawiskiem częstym, przewidywalnym i możliwym do ograniczenia. Warunkiem jest jednak traktowanie jej jako realnego zagrożenia dla bezpieczeństwa pracy i jakości opieki zdrowotnej. Skuteczna reakcja wymaga nie tylko przepisów prawa, ale

także codziennych działań w szpitalach i zespołach ratownictwa: jasnych procedur, wsparcia przełożonych oraz kultury organizacyjnej, w której przemoc nie jest akceptowana ani bagatelizowana.

Opracowali: dr n. med. i n. o zdr. Przemysław Żuratyński, dr n. o zdr. Anna Małgorzata Burak; Katedra Ratownictwa Medycznego, Wydział Nauk o Zdrowiu, Collegium Medicum im. Ludwika Rydygiera w Bydgoszczy, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu

Ilustracje nadesłane przez autorów

### Piśmiennictwo:

Burak AM, Kamińska ET, Szulc KK, Krzewiński P, Żuratyński P. Violence from patients and visitors in the emergency department – reporting of aggression by medical staff. *Int J Occup Med Environ Health*. 2025;38(6):596–610. doi:10.13075/ijomh.1896.02640.

Seledyn M, Moczydłowska A, Perkowska E, Sharlowych Z. Psycho-pedagogical analysis of the phenomenon of patient aggression towards medical staff – legal basis for employee protection. *Ukr Educ J*. 2025;(1):25–37. doi:10.32405/2411-1317-2025-1-25-37.

Mroczkowska R, Piejko W, Serzysko B. Aggressive behavior in the workplace – experiences of young nurses: preliminary study. *Med Pr*. 2025 May 21;76(2):87-99. doi: 10.13075/mp.5893.01538.

Ustawa z dnia 7 listopada 2025 r. o zmianie ustawy – Kodeks karny, ustawy – Kodeks wykroczeń oraz ustawy – Kodeks postępowania w sprawach o wykroczenia. *Dz.U.* 2025; poz. 1818.

Żabińska-Rejowska E, Pilecki M, Makara-Studzińska M, Lickiewicz J, Rozynek D, Jankowiak B et al. Assessment of aggressive behaviours on an adolescent inpatient psychiatric ward in Poland using the SOAS-R tool – preliminary report. *Advances in Psychiatry and Neurology/Postępy Psychiatrii i Neurologii*. 2024;33(4):241-247. doi:10.5114/ppn.2024.147101.

Gałęska-Śliwka A. Analiza zjawiska agresji w ochronie zdrowia – wybrane zagadnienia. *Prokuratura i Prawo*. 2024;1:118–136.

Leźnicka M, Zielińska-Więczkowska H. Workplace violence against healthcare workers: A systematic review and meta-analysis. *Psychiatr Pol*. 2024. doi:10.12740/PP/OnlineFirst/152775.



Wojciech Szczęsny

# Opowieści medyczne

Życzliwe przyjęcie przez Czytelników książki *Szczęsnego wykłady z medycyny* skłoniło mnie do napisania drugiej części opowieści medycznych<sup>1</sup>. O ile we wspomnianej wyżej pozycji znajdziemy dość zróżnicowaną, choć co oczywiste związaną z medycyną tematykę, tak tom drugi jest dość zwarty problemowo.

To opowieści o poszczególnych działach medycyny. W każdym rozdziale starałem się zawrzeć historię, ale też opis najczęstszych schorzeń, z którymi walczą specjaliści danych dziedzin. Nie zabraknie oczywiście ciekawostek i anegdot, które czasami zapowiada już tytuł. Rozdział dotyczący urologii nazywa się *Pęcherz astronoma, czyli historia urologii*. Otwiera go taki passus: „Według legendy duński astronom Tycho de Brahe (1546–1601) zmarł wskutek zapalenia, a być może nawet pęknięcia pęcherza moczowego. Przyczyną takiego stanu rzeczy miał być fakt, że mieszkając w Pradze, uczestniczył w uccie wraz z cesarzem. Jak to w Czechach, pito piwo, etykieta zabraniała zaś wstania od stołu przed władcą. Nieszczęsny uczonek znosił męki pełnego pęcherza, co miało doprowadzić do jego zgonu po 11 dniach od owego wydarzenia. Inna wersja dowodzi, że przyczyną zejścia Tychona było zatrucie rtęcią, bądź nastąpiła ona wskutek doświadczeń alchemicznych, jakie prowadził, bądź też było to celowe otrucie tym pierwiastkiem na rozkaz Chrystiana IV (1577–1648), króla Danii, z którym astronom był w konflikcie. Jakkolwiek by było, anegdota ta dowodzi, że urologia to ważna gałąź medycyny”.

Jak wspomniałem, starałem się już samymi tytułami zachęcić do lektury. Co srebro z UNRR-y ma wspólnego ze stomatologią? Jak się okazuje, dla mojej rodziny wiele. I jeszcze jeden cytat: „Otóż mój ojciec drogami, których do końca nie pamiętam, stał się posiadaczem jednego z darów «ciotki Unry» (tak w skrócie rodacy nazywali ową agendę ONZ) pod postacią buteleczki zawierającej stop dentystryczny made in USA. Była to mieszanina srebra, miedzi i cyny z, o ile pamiętam, wysoką zawartością



Fot. Facebook (profil Wojciecha Szczęsnego)

pierwszego ze składników, a być może nawet srebro w czystej postaci. Jakkolwiek by było, wewnątrz owej buteleczki służyło do wytwarzania amalgamatów srebra, które do lat 80. XX w. stanowiły podstawę „produkcji” wypełnień stomatologicznych. Szkodliwość rtęci spowodowała ich wycofanie, jednak mój ojciec nie doczekał kompozytowych plomb światłoutwardzalnych.

Teraz dodam, że owo „unrowskie” srebro było przeznaczone wyłącznie dla mojej siostry, mnie, matki i oczywiście ojca. Mnie i siostrze zęby leczył ojciec. Z tego, co wiem, mama też początkowo zamierzała korzystać z umiejętności swego męża. Po kilku wizytach doszło do poważnych, nazwijmy to delikatnie, niesnasek. Ojciec twierdził, że matka zachowuje się na fotelu historycznie. Dla utrzymania stałości stała moja rodzicielka zaczęła zatem chodzić na wizyty do tego samego kolegi, u którego

<sup>1</sup> Książka ukaże się wiosną br. w Wydawnictwie Naukowym UMK.

leczył się także mój ojciec. Pan Kazimierz cenił wielki spokój, jaki zachowywała jego zdaniem podczas wizyt moja matka. Ale to temat na inną opowieść”.

Dwadzieścia cztery rozdziały *Drugich wykładów z medycyny* to podróż przez wielki szpital, gdzie znajdziemy każdą z opisanych specjalizacji i, rzecz jasna, specjalistów. Jest OIOM, anestezja, „naczyniówka”, ginekologia, chirurgia plastyczna i inne. Wspomniałem także w jednej z części o umarłych, którzy „uczą żywych”.

Przez książkę przewinęto się ponad osiemset postaci. Lekarze, naukowcy, wybitni ludzie danej

epoki. Na koniec dwa słowa o szacie graficznej. Każdy rozdział przedzielony jest reprintem grafiki z dzieła geniusza anatomii Andrzeja Vesaliusza *De humani corporis fabrica libri septem*. To dzieła przedniej urody wykonane przez mistrza Jana Calcara ze Szkoły Tycjana.

Zresztą, co ja będę pisał. Kupicie, to zobaczycie!

---

*Dr hab. Wojciech Szczęsny, prof. UMK – Wydział Lekarski Collegium Medicum UMK*

## Pytajnik

### - Najważniejsze skojarzenie związane z UMK...

- Moje pierwsze skojarzenie jest bardzo kopernikańskie - odwaga myślenia trochę inaczej

niż wszyscy. Bardzo lubię tę ideę zmiany perspektywy, bo czasem właśnie ona pozwala odkryć coś naprawdę ważnego. W Collegium Medicum UMK ta zmiana perspektywy dzieje się każdego dnia: nauka spotyka się z praktyką kliniczną, a teoria bardzo szybko jest weryfikowana przez rzeczywistość. I chyba właśnie dlatego to takie ciekawe miejsce do pracy.



Fot. Jacek Kargól

Prowadząc zajęcia ze studentami, bardzo cenię wymianę poglądów między młodymi adeptami medycyny a mną – doświadczoną klinicystką. Lubię, gdy ktoś zadaje trudne pytania i zmusza mnie do zastanowienia się, czy nie warto spojrzeć na problem zupełnie inaczej. W końcu pracujemy na uczelni Kopernika, więc zmiana perspektywy jest tu niemal obowiązkiem. A kto wie – może kiedyś w którejś dziedzinie medycyny uda się „wstrzymać Słońce i ruszyć Ziemię”.

#### - Gdybym nie została lekarzem, chciałabym być...

- Może byłabym związana z tańcem. Balet – szczególnie taniec nowoczesny – był moją wielką pasją przez całe dzieciństwo i młodość; trenowałam właściwie do osiemnastego roku życia. Do dziś, kiedy słyszę muzykę, niemal automatycznie widzę w wyobraźni ruch i choreografię.

Przez długi czas sądziłam jednak, że moja przyszłość będzie związana z matematyką. Byłam w klasie matematyczno-fizycznej i potrafiłam z prawdziwą przyjemnością godzinami rozwiązywać zadania. Decyzję o studiach medycznych podjęłam dość nagle w wieku siedemnastu lat. Jestem bardzo wdzięczna moim rodzicom, że nigdy nie ingerowali w moje wybory i pozwalali mi podążać własną drogą.

Lekarzem zostałam z wyboru – chciałam pomagać innym. Naukowcem zostałam trochę przez przypadek: zaczęło się od doktoratu i spotkań z ludźmi, którzy mnie inspirowali. Dziś wiem, że była to bardzo dobra droga. Neonatologia jest moją wielką zawodową miłością. A możliwość kierowania Wydziałem Lekarskim traktuję jako ogromny zaszczyt i odpowiedzialność wobec naszej akademickiej wspólnoty.

#### - Zespół lub muzyka, która najbardziej wpłynęła na mój gust muzyczny...

- Na pewno Republika i Grzegorz Ciechowski – w końcu to Toruń! Koncerty Republiki... cóż to były za emocje. Ich muzyka była niezwykle oryginalna i mam wrażenie, że w wielu momentach wyprzedzała swoje czasy. Lubię muzykę, która naprawdę porusza i zostawia emocjonalny ślad – taką, do której chce się wracać po latach.

W młodości dużo słuchałam też Queen i U2. A Lista Przebojów Programu Trzeciego i Marek Niedźwiecki były dla naszego pokolenia prawdziwym oknem na świat – trochę muzycznym kom-

pasem, który pokazywał, co dzieje się poza naszym codziennym horyzontem.

#### - Jedna książka na bezludną wyspę...

Gdybym miała wybrać jedną książkę, byłby to *Mały Książę* Antoine'a de Saint Exupéry'ego. To lektura, do której można wracać na różnych etapach życia i za każdym razem odnajdywać w niej coś nowego – inne znaczenia, inne emocje, inne pytania. Uczy wrażliwości, przypomina o tym, co naprawdę ważne.

Ale znam siebie – nie wytrzymałabym z jedną książką. Lubię czytać kilka jednocześnie, dlatego najrozsądniej byłoby zabrać czytnik. A że to bezludna wyspa – liczę na słońce i ładowarkę solarną. Jedną książkę to trudny wybór, a czytnik pozwala mieć ich ze sobą... całe mnóstwo.

#### - Ulubione danie...

- Nie mam jednego ulubionego dania – jedzenie jest dla mnie jedną z przyjemności życia. Lubię poznawać nowe smaki, ale najbardziej cenię prostą, zdrową kuchnię; w końcu jako lekarz wiem, jak bardzo to, co jemy, wpływa na nasze zdrowie. Lubię zarówno kuchnię japońską za jej lekkość i harmonię smaków, jak i włoską – za atmosferę, w jakiej się ją celebrytuje. We Włoszech posiłek rzadko jest tylko jedzeniem – to święto rozmowy i wspólnego bycia przy stole. I chyba właśnie dlatego nawet najprostsze potrawy smakują tam wyjątkowo.

Notował dr Patryk Tomaszewski

**Dossier:** Iwona Sadowska-Krawczenko, dr hab. prof. UMK, dziekan Wydziału Lekarskiego CM UMK.

Lekarz pediatra, specjalista neonatolog i specjalista epidemiolog; dziekan Wydziału Lekarskiego Collegium Medicum w Bydgoszczy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu; kierownik Katedry Neonatologii CM UMK; kierownik Kliniki Neonatologii Szpitala Uniwersyteckiego nr 2 w Bydgoszczy; skarbnik Polskiego Towarzystwa Neonatologicznego; przewodnicząca Oddziału Kujawsko-Pomorskiego Polskiego Towarzystwa Neonatologicznego; konsultant wojewódzki ds. neonatologii dla województwa kujawsko-pomorskiego.

Sebastian Żurowski

## Słowo roku, czyli rok w słowie

Czy można cały rok podsumować jednym słowem? Niby nie, ale językoznawcy próbują. W Polsce od 2011 roku organizowany jest zabawa polegająca na wybieraniu „słowa roku”. Napisałem „zabawa”, choć plebiscyt ten jest firmowany przez Uniwersytet Warszawski oraz Fundację Języka Polskiego, ponieważ zgodnie z przyjętymi zasadami **słowem roku zostaje to wyrażenie, które wygra w głosowaniu internetowym.**

Z drugiej strony jednak wszystko wygląda całkiem poważnie, ponieważ ostatecznej selekcji wyrażzeń, na które można głosować, dokonuje kapituła plebiscytu, składająca się ze znanych językoznawców i dziennikarzy. Kapituła także wybiera „swoje” słowo roku, a jej członkowie komentują wybór i ewentualnie objaśniają szerszy kontekst lingwistyczny i społeczny poszczególnych wyrażzeń.

W niektórych latach oficjalnie zwyciężało więcej niż jedno wyrażenie albo wybór kapituły różnił się od wyboru w „głosowaniu powszechnym”, albo nawet pojawiała się jakaś kategoria dodatkowa (np. studenckie słowo roku). Dla porządku trzeba dodać, że jest to plebiscyt osobny od – być może bardziej medialnego – wyboru młodzieżowego słowa roku, które organizuje Wydawnictwo PWN.

Oczywiście pomysł takiego wyboru słowa, które najlepiej podsumowuje minione 12 miesięcy, nie jest polski. Na przykład tak zwane oksfordzkie słowo roku wybierane jest od 2004 roku. W Polsce po raz pierwszy słowo roku wybierano w 2011 roku. Gdybyśmy nie wiedzieli, co ważnego się wtedy działo, to wskazówką jest właśnie słowo roku 2011: *prezydencja*. W roku 2011 Polska po raz pierwszy przewodziła Unii Europejskiej, czyli „objęła jej prezydencję”. Podobnie wybór z roku 2025 (*kosmos*) zapewne utrwali w naszej pamięci zbiorowej lot drugiego Polaka w przestrzeń okołoziemską.

Jeżeli wybiera się w danym kraju jedno słowo roku, to możliwe, że będzie ono związane z polityką. W Polsce takie tematy ściśle polityczne miały w plebiscycie wyraźne odbicie: *trybunał* (2016), *konstytucja* (2018), *wybory* (2023), *koalicja* (2024). Da się też wskazać wątek „aferalny”: *parabank* (2012), *kilometrówka* (2024), a także „społeczny”: *gender* (2013), *pięćset plus* (2016), *LGBT* (2019). Ale



przecież wszystkie te słowa relacjonują polską politykę. Jak łatwo się domyślić, w plebiscycie swoje odbicie miała także pandemia COVID-19 – *koronawirus* (2020), *szczepienie* (2021) – oraz zbrodnie państwa rosyjskiego w Ukrainie. Co ciekawe, wojna w Ukrainie została przez słowa roku zarejestrowana już w jej fazie „hybrydowej”: *separatysta* (2014), *wojna* (2022). Ostatnie lata, i to nie tylko w Polsce, to zdecydowanie czas „panowania” *sztucznej inteligencji*. To wyrażenie zauważano i „doceniono” i w 2023, i w 2024 roku.

Polskie słowa roku w zasadzie nigdy nie miały związku z Internetem i nowymi technologiami – aż do *sztucznej inteligencji*. I ten temat tak naprawdę jest współcześnie dominujący, gdy rozszerzymy sobie pole widzenia i weźmiemy pod uwagę wybory różnych innych instytucji dla innych języków. Redakcje słowników języka angielskiego zgodnie wskazują, że właśnie ta terminologia dominuje w naszym życiu społecznym. Oxford Dictionary wskazał na *rage bait* (treści celowo zaprojektowane tak, aby wywołać gniew czytelników i sprowokować ich do reakcji), Cambridge Dictionary wybrał słowo *parasocial* (oznaczające pozorne relacje społeczne istniejące w Internecie, np. te między osobami znanymi a obserwowanymi ich „zwykłymi” użytkownikami), a australijski Macquarie Dictionary zwrócił uwagę na słowo *slop* (bezwartościowe treści tworzone z wykorzystaniem generatywnej sztucznej inteligencji).

Czy da się w tej chwili przewidzieć „polskie słowo roku” na następne lata? Zapewne nie. Nie odważyłbym się nawet o zgadywanie, jakie słowo może być słowem roku 2026. Oby *pokój*.



Dr hab. Sebastian Żurowski, prof. UMK  
na Wydziale Humanistycznym

Kinga Nemere-Czachowska

## Jubileusz Programu Absolwenckiego UMK

**25 lat temu UMK utworzył specjalny, pionierski program kształtowania relacji ze swoimi absolwentami i z szeroką dla nich ofertą. Czy miało to sens? Czy przeznaczanie na ten cel środków finansowych i kadrowych przyniosło oczekiwane efekty? Warto też postawić jeszcze jedno pytanie – czy program ma warunki do dalszego rozwoju?**

Perspektywa ćwierćwiecza pozwala mi spojrzeć na rozwój programu nieco bardziej doświadczonego okiem. Na początku lutego wydaliśmy Kartę Absolwencką UMK o numerze 37 tysięcy – tyle osób świadomie przystąpiło do Programu Absolwenckiego. To dużo czy mało? Niewiele, gdy porównamy to do liczby wszystkich absolwentów UMK, która się-

ga prawie 300 tysięcy. Dużo, jeśli wziąć pod uwagę, że przy rosnącej każdego roku liczbie uczestników wsparcie ze strony Uczelni ostatnio nawet maleje, a nie rośnie adekwatnie do rozwoju programu z wyjątkiem jednorazowego wsparcia obchodów samego jubileuszu.

### Jak ich „ugryźć”?

Po co Uczelnia ma utrzymywać kontakty ze swoimi absolwentami i oferować im coś ekstra rękami specjalnie zatrudnionych do tego ludzi? Zrozumiałam to po lekturze materiałów z kilku segregatorów, które w roku 2000 ówczesny prorektor prof. Stanisław Chwirot przywiózł z objazdu uniwersytetów amerykańskich. Chciał, aby UMK otworzył się na



Nocny Rajd Kwiatu Paproci UMK

swoje otoczenie społeczno-gospodarcze i w ramach tego zbudował także ofertę dla absolwentów. W dalekosiężnej perspektywie miało to przynieść Uczelni korzyści zarówno wizerunkowe, jak i – zgodnie ze wzorcem amerykańskim – finansowe, wynikające z realnego wsparcia ze strony absolwentów. Zadanie było ambitne i trudne – na polskich uniwersytetach takie praktyki były dotąd nieznanne i nawet na samej uczelni pomysł ten wzbudzał kontrowersje. Trwał bowiem boom edukacyjny, liczba studentów sięgała 40 tysięcy, w życie wchodził boloński system studiów – wszystko to generowało całe mnóstwo problemów. A tu pojawia się nowe wyzwanie – absolwenci! Jak ich „ugryźć”?

Tego dowiedzieliśmy się nie tylko z amerykańskich segregatorów, ale także z wizyty na kilku brytyjskich uniwersytetach (w ramach programu TEMPUS wizytowałam je z Andrzejem Romańskim). Szokowała nas nie tylko ogromna liczba pracowników biur ds. absolwentów, ale także stopień zaangażowania wychowanków uczelni w jej życie grubo po studiach, w tym ich wsparcie finansowe. W warunkach polskich wydawało nam się to nierealne, ale prof. Aleksander Wolszczan, absolwent astronomii UMK i kandydat do Nagrody Nobla, był przekonany

o tym, że nam się to uda. Jako pracownik uniwersytetu PennState w USA, doskonale rozumiał całą ideę oraz wagę utrzymywania kontaktów z absolwentami, toteż został wtedy wizerunkową „lokomotywą” programu.

### Docieranie

Oferta dla absolwentów rozwijała się powoli, a sam program usytuowany został w ramach nowo utworzonego Centrum Informacji i Rozwoju.

Pierwszą koordynatorką programu została w 2001 r. dr Anna Górna-Binkul, absolwentka chemii. Przyciąganie absolwentów rozpoczęliśmy od współpracy z wieloma partnerami wewnętrznymi i zewnętrznymi, którzy zgodzili się wyróżniać dawnych studentów UMK spośród innych swoich klientów i obdarzać ich przywilejami. Obecnie jest ich nieco mniej, a część oferty dostępna jest on-line, niezależnie od miejsca zamieszkania. Absolwenci mogą więc np. taniej studiować podyplomowo, kupować bilety do instytucji kultury, uczyć się języków obcych, naprawiać telefony i laptopy czy latem niedrogo spać w toruńskim akademiku jako hotelu. W szczytowym momencie takich podmiotów było aż 60 – w Toruniu, w regionie i w całej Polsce.



Dokumentem identyfikacyjnym jest wydawana od samego początku Karta Absolwencka UMK (dawniej: Karta Absolwenta). Można ją otrzymać w siedzibie programu (przy ul. M. Reja 25) od ręki lub pocztą – w kilka dni po złożeniu wniosku.

Największym wyzwaniem na początku było dotarcie do absolwentów z informacją o tym, że UMK taką ofertę dla nich przygotował. Internet dopiero raczkował, z mediów społecznościowych funkcjonował tylko portal Nasza Klasa. Informacje do gazet i rozgłośni radiowych czy TV wysyłało się faksem, a dane z papierowych zgłoszeń do uczestnictwa w Programie trzeba było ręcznie przepisywać do bazy danych (w programie Excel) – przez kilka lat robiła to Anna Płaczek (obecnie Baran), absolwentka socjologii. Pracy było sporo – liczba absolwentów przystępujących do programu w pierwszych latach jego istnienia sięgała 2000 osób rocznie!

### Pierwsze wycieczki

Drugą koordynatorką Programu została Małgorzata Bujak (obecnie Zamorska). Za jej czasów odbył się pierwszy Bal Absolwentów UMK (2004 r., w Auli UMK) oraz pierwsze wycieczki rowerowe – do Muzeum Drukarstwa i Papiernictwa w Grębocinie oraz do siedziby Fundacji Piękniejszego Świata w Skłudzewie. Na tej wycieczce zrodził się pomysł powołania absolwenckiego Klubu Rowerowego „Skołowani” (głównie z inicjatywy śp. Jacka Piszczka, późniejszego Ambasadora UMK, oraz Alicji Walkowiak), który do dzisiaj organizuje setki wycieczek jedno- i wielodniowych, w Polsce i zagranicą, np. na Bornholmie, a w tym roku – wzdłuż austriackiego odcinka Dunaju. Niezapomniane przeżycia niesie coroczny, nocny Rajd Kwiatu Paproci, który w noc przesilenia letniego odbywa się na rowerach w okolicach Torunia – tegoroczny, osiemnasty już rajd powiedzie szlakiem filmów kręconych w Toruniu i jak zwykle zakończy się ogniskiem.

W pierwszych latach działania programu życie absolwenckie relacjonowaliśmy w wydawanej własnym sumptem „Gazecie Niecodziennej”, najpierw w wersji papierowej (na wzór uczelni brytyjskich – rozsyłanej na adresy absolwentów), a potem w wersji multimedialnej.

Jednak cały czas nie wiedzieliśmy, jak nakłonić absolwentów do finansowego wspierania naszej Uczelni. Toteż w 2007 r. wraz z Martą Domachowską, ówczesną koordynatorką programu, postanowiliśmy podpatrzyć, jak relacje z absolwentami rozwijają uczelnie hiszpańskie. Pomógł nam w tym

ks. dr Piotr Roszak (obecnie profesor na Wydziale Teologicznym UMK).

### Hiszpańskie wzorce

Zgodnie ze wskazaniem Hiszpanów z Uniwersytetu Navarra w Pampelunie w 2010 r. sporym wysiłkiem przeprowadziliśmy dwutygodniową kampanię, w czasie której cztery studentki wieczorami dzwoniły do wyselekcjonowanej grupy 600 absolwentów, nakłaniając ich do przekazania 1,5 procenta podatku dochodowego na rzecz UMK. Miało się to odbywać za pośrednictwem konta Fundacji Amicus Universitatis Nicolai Copernici, z którą współpraca układała się (i układa do dzisiaj) bardzo dobrze. Jednak pomysł ten wcale nie przypadł do gustu absolwentom w naszym kraju i spalił na panewce. Woleli oni (i wolą do dzisiaj) wspierać chorych i potrzebujących, a nie instytucję publiczną, choć wskazała cel związany ze wsparciem dla studentów. Ale podpatrzony w Pampelunie pomysł wysyłania elektronicznej kartki urodzinowej bardzo się naszym absolwentom spodobał.

Absolwenci bardzo cenili sobie natomiast kolejne absolwenckie bale, wycieczki i spotkania. W roku 2011, z inicjatywy absolwenta Jakuba Wośki, odbył się pierwszy absolwencki Towarzyski Turniej Brydżowy Par. W grudniu 2025 r. nagrody dla zwycięzców rozdano już po raz 25. Godne uwagi jest to, że od początku sędziują na nim społecznie dwaj absolwenci – Piotr Szubarga i Paweł Szubarga (syn). Krótco po starcie turnieju ruszyły też cotygodniowe warsztaty brydżowe dla absolwentów, z czasem – w dwóch grupach: zaawansowanej i początkującej. Wielkim zaskoczeniem było to, że do tej drugiej zgłosiło się aż 26 osób, w tym sporo studentów. Natomiast inicjatorem gry rowerowej dla absolwentów i studentów „Koło miasta” w 2015 r. był Maciej Koziński.

### Filmy i książki

Od roku 2010 ze strony UMK przy programie pracują etatowo dwie osoby. Najpierw pracowałam z Piotrem Waśniewskim, miłośnikiem filmu. Za jego sprawą powstały dwa filmy dokumentalne o absolwentach: *Leon zawodowiec* – o Januszu Leonie Wiśniewskim, pisarzu, oraz *Biegam, więc jestem* o Witoldzie Orchołskim – biegaczu. Realizowaliśmy także filmową *Lożę ekspertów*, w ramach której absolwenci-specjaliści w danych dziedzinach udzielili 23 krótkich porad na ciekawe tematy. Najwięcej, bo aż 23 tys. odsłon na kanale You Tube uzyskała pora-

da prof. Jacka Piszczka pt. *Jak odróżnić muchomora*. Duże zainteresowanie wzbudzały także porady językowe.

W roku 2011, przy bardzo dobrej współpracy z Biblioteką Uniwersytecką, wprowadziliśmy w życie Kartę Absolwencką UMK zintegrowaną z kartą biblioteczną. Ku naszemu zaskoczeniu, okazało się to strzałem w dziesiątkę! Do dzisiaj mnóstwo osób zgłasza się po Kartę Absolwencką przede wszystkim z uwagi na możliwość wypożyczenia książek z bibliotek UMK na preferencyjnych warunkach. W tym celu każda z nich musi wygenerować sobie absolwencki adres email (login@abs.umk.pl), aby móc zalogować się w systemie bibliotecznym. Adres ten służy absolwentom również do zapisywania się na zajęcia w ramach Programu Wellness, prowadzonego przez Uniwersyteckie Centrum Sportowe.

Od 2012 Program Absolwencki ma swój profil na Facebooku, który polubiło 8,4 tys. osób.

### Zawody i turnieje

Pierwszy „Bieg z książką” zorganizowaliśmy wraz z Klubem Maratońskim UMK, który obecnie działa w ramach Programu Absolwenckiego. 24 maja 2026 absolwenci i studenci oraz sympatycy naszego Uniwersytetu biegać będą po raz 12. Ta kameralna impreza ma specyficzną atmosferę, bardzo cenioną zwłaszcza przez biegaczy-amatorów. W tym roku tego samego dnia po biegu odbędzie się również piknik jubileuszowy dla absolwenckich rodzin z dziećmi, z udziałem Roberta Małeckiego, absolwenta UMK i pisarza słynącego z kryminałów.

W 2015 r. odbył się także pierwszy turniej „Szachy w Harmonijce”, organizowany we współpracy z Wydziałem Humanistycznym UMK, a także pierwsze dwie wycieczki autokarowe z cyklu „Absolwent z kulturą”. Do dzisiaj takich jednodniowych wycieczek poza Toruń zorganizowaliśmy już 18 – miejsca zwykle zapełniają się w 15 minut od momentu ogłoszenia zapisów!

To nam uświadomiło, że zapotrzebowanie na ofertę kulturalną wśród absolwentów jest ogromne, dlatego też szczególnie cenimy sobie współpracę z instytucjami działającymi w tym obszarze.

Kolejną naszą propozycją (z inicjatywy Anny Bielawiec-Osińskiej) był Dzień Gier Planszowych „Grawitacja” – największa tego typu impreza w Toruniu, organizowana przy współpracy ze Stowarzyszeniem Miłośników Gier i Fantastyki Thorn. Jej IX edycja odbyła się 14 marca 2026. Z tego środowiska z czasem wyrósł absolwencki Klub Gier Plan-

szowych Astrogra, który od 3 lat co tydzień spotyka się w pomieszczeniach Kopernikańskiego Ośrodka Integracji.

### Dla dzieci absolwentów

Od samego początku chcieliśmy, aby z oferty uczelni dla absolwentów mogły korzystać także ich dzieci, dlatego dwa razy w roku – na Dzień Dziecka oraz na Mikołajki przygotowujemy dla nich konkursy z nagrodami lub – czasami – spotkania. Dla nich także napisaliśmy i wydaliśmy dwie interaktywne książki, których akcja dzieje się na UMK: *Psołopolis. Gigawędrówka* oraz *Nanopolis. Uniwersum pod lupą*. Pisząc je, mieliśmy sporo frajdy, o jaką trudno na co dzień w biurze. Książki te były dystrybuowane głównie wśród słuchaczy Uniwersytetu Dziecięcego, prowadzonego przez naszego partnera – Fundację Amicus Universitatis Nicolai Copernici.

Informacja o ofercie UMK dla absolwentów trafia do nich m.in. w trakcie uroczystych dyplomatorów wydziałowych – od roku 2025 w postaci krótkiego materiału filmowego. Z okazji 25-rocznicy programu powstał też 5-minutowy film jubileuszowy z udziałem ponad stu absolwentów, w tym rektora UMK, a także marszałka i wicemarszałka województwa kujawsko-pomorskiego oraz prezydenta Torunia. Oprócz kilku absolwenckich klubów zainteresowań, pokazuje on również darmowe dla tego grona zajęcia sportowe w obiektach UMK: tenis stołowy, koszykówkę i siatkówkę.

### Dla cudzoziemców

Program Absolwencki swoimi skrzydłami obejmuje także absolwentów-cudzoziemców, poczynając od Wietnamczyków (spotkanie z nimi w 2019 w Hanoi, dwoje Wietnamczyków zostało Ambasadorami UMK), a także Klubu Indonezyjskiego Absolwenta UMK utworzonego w 2025 r. Członkowie tego ostatniego popularyzowali kulturę swojego kraju podczas „Wymienialni tradycji”, organizowanej w czerwcu przez Muzeum Etnograficzne im. Marii Znamierowej-Prufferowej. Jesienią delegacja UMK odwiedziła absolwentów naszej uczelni, którzy po studiach powrócili do Indonezji – spotkania z udziałem prorektorki prof. Magdaleny Barwiołek odbyły się w Mataram na wyspie Lombok oraz w Jakarcie. Podczas targów edukacyjnych absolwenci pomagali swojej uczelni rekrutować chętnych na studia w Toruniu. Większość z nich deklaruje chęć powrotu na UMK na studia doktoranckie. To dla Uniwersytetu ważne w kontekście przyszłości – wkrótce wymog

umiędzynarodowienia na polskich uczelniach ma bowiem znacznie wzrosnąć.

### Jaki jest sens?

Czy prowadzenie Programu Absolwenckiego ma sens i warte jest ponoszonych nakładów? Wydaje się, że w polskich warunkach dla uniwersytetu program ten ma wymiar przede wszystkim wizerunkowy, PR-owy. Mimo braku jakiegokolwiek płatnej reklamy, od lat codziennie kilka osób zgłasza się po Kartę Absolwencką lub jej duplikat. To efekt działania marketingu szeptanego, uchodzącego za najlepszą formę promocji. Do grona uczestników programu należą także Ambasadorzy UMK, czyli uhonorowani tym szacownym tytułem wybrani absolwenci naszej Uczelni, którzy w swoich środowiskach promują ją i działają na jej rzecz. Strona absolwent.umk.pl jest licznie odwiedzana – tylko przez dwa pierwsze miesiące 2026 r. zajął na nią ok. 26 tys. odwiedzających, a jednego przeciętnego dnia wchodzi na nią ok. 360 osób (750 odsłon). Inne polskie uczelnie często traktują nasz program jako wzorcowy, podpatrują nasze działania, czasami odwiedzają UMK, aby poznać szczegóły, a następnie uruchomić podobne programy u siebie.

Wydaje się więc, że działania Uczelni są trafione i przynoszą jej same korzyści. Jednak wraz z nieustannie rosnącą liczbą uczestników programu jego oferta powinna być coraz szersza i bardziej różnorodna. W przypadku cudzoziemców powinna obejmować absolwentów kolejnych nacji i ściślej łączyć

działania z wysiłkami uczelni w kwestii prowadzenia rekrutacji na studia.

Tymczasem na planowy rozwój programu oraz intensyfikację jego działań wielkich szans obecnie nie ma, z uwagi na niewystarczające wsparcie finansowe, a dzisiaj – także kadrowe ze strony UMK. Skala programu jest już tak duża, że do jego sensownego prowadzenia i rozwijania nie wystarcza obecnie tyle samo rąk, co 15 lat temu, i to przy środkach mniejszych niż wtedy. Zwłaszcza że coraz więcej czasu zabierają nam czynności biurokratyczne, a na organizację „życia” programu mamy go zbyt mało.

Zrywem w roku jubileuszowym można nazwać dodanie do grafiku absolwenckich wydarzeń w 2026 r. trzech wielkich imprez – w lutym „Absolwenckie potupaje” w klubie Od Nowa (oficjalne, uroczyste rozpoczęcie obchodów Jubileuszu 25-lecia PA UMK z udziałem 200 osób), piknik rodzinny 24 maja (po „Biegu z książką”) i specjalne Absolutorium dla cudzoziemców 20 czerwca. Dwa pierwsze wydarzenia finansowane są dzięki dodatkowemu wsparciu finansowemu władz Uczelni z okazji jubileuszu, a ostatnia – z projektu europejskiego. Oczywiście, to wszystko odbywa się obok rutynowych już dzisiaj wydarzeń zaplanowanych na pierwszą połowę roku.

*Mgr Kinga Nemere-Czachowska – autorka koncepcji i koordynatorka Programu Absolwenckiego UMK*

Zdjęcia nadesłane



Spotkanie z absolwentami w Mataram na wyspie Lombok w Indonezji

Aleksander Smoliński

## Jedyny taki szef w II Rzeczypospolitej

Szefowie, czyli tytularni dowódcy, a początkowo także po części właściele, formacji wojskowych pojawili się w zachodniej Europie już w XVII w. wraz z rozwojem i ugruntowaniem się instytucji wojsk zaciężnych. W większości armii europejskich szefostwa przetrwały aż do końca I wojny światowej, zaś w krajach posiadających monarchie funkcjonują także współcześnie. Nie inaczej było też najpierw w armii Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a następnie także – w latach 1817–1831 – w Wojsku Polskim Królestwa Polskiego.

W Polsce instytucja szefostw odrodziła się dopiero na przełomie 1918 i 1919 r. po odzyskaniu niepodległości. Przedwojenne Wojsko Polskie znało dwa rodzaje szefostw, a mianowicie rzeczywiste i honorowe, zwane niekiedy także historycznymi. Szefostwa rzeczywiste sprawowały osoby aktualnie żyjące, które jednocześnie oficjalnie wyraziły na to zgodę. W tym drugim i częściej występującym wówczas przypadku szefem takim stawała się osoba historyczna, z którą pułk czuł się w jakiś sposób związany i której pamięć była przez niego kultywowana, lecz która z oczywistych powodów nie mogła wyrazić zgody na objęcie szefostwa.

W 1937 r. szefa rzeczywistego w osobie rumuńskiego monarchy Karola II otrzymał dotychczasowy **57 Pułk Piechoty Wielkopolskiej**. Był to jeden ze starszych pułków piechoty Wojska Polskiego, którego historia związana była z dziejami Powstania Wielkopolskiego i formowanych wówczas Wojsk Wielkopolskich. Jego rodowód sięgał bowiem 17 lutego 1919 r. Tego dnia w Biedrusku pod Poznaniem przystąpiono do formowania **3 Pułku Strzelców Wielkopolskich**. Od lata tego roku brał udział w wojnie polsko-sowieckiej. W 1920 r. zmienił nazwę 57 Pułk Piechoty Wielkopolskiej.

Podczas całego okresu walk w wojnie polsko-sowieckiej jego żołnierze wzięli do niewoli 5380 jeńców oraz zdobyli 186 koni, jeden sztandar nieprzyjacielskiego pułku kawalerii, a także pociąg pancerny, 21 dział z jaszczami oraz 3950 karabinów ręcznych i 115 karabinów maszynowych. Sukcesy te zostały jednak okupione śmiercią siedmiu oficerów oraz 288 podoficerów i szeregowców. Poza tym pułk miał także 706 rannych oraz 193 zaginionych.

Miarą waleczności oddziału może być również fakt nagrodzenia 40 jego żołnierzy Krzyżami Srebrnymi Orderu Wojennego Virtuti Militari, a dalszych 436 odznakami Krzyża Walecznych. Poza tym 6 grudnia 1920 r. Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski<sup>1</sup> osobiście ozdobił sztandar pułku Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari. Ten akt szczególnego uznania zasług wszystkich żołnierzy ówczesnego 57 Pułku Piechoty Wielkopolskiej kończył jego chwalebny udział w walkach „o niepodległość i granice” z lat 1918–1921.

Oparta na dawnych europejskich zwyczajach wojskowa kurtuazja oraz względy wzajemności<sup>2</sup>, a także wynikający z pragmatycznego stosunku do sojusznika<sup>3</sup> взгляд na konieczność umacniania dobrych stosunków z Rumunami wymagały, aby któraś z formacji Wojska Polskiego otrzymała rumuńskiego szefa. Wobec monarchicznego ustroju tego państwa było rzeczą oczywistą, iż takim szefem powinien zostać król Karol II.

Nie znamy dzisiaj wszystkich okoliczności, które zadecydowały o tym, że takiego szefa otrzymał wspomniany już wcześniej 57 Pułk Piechoty Wielkopolskiej. W ówczesnej polskiej prasie wojskowej lakonicznie stwierdzono, że: *Dziś Polska rewanżuje się Rumunii, i jak tam, tak i tu, wybrano chlubę narodu, jeden z najlepszych naszych oddziałów – 57 Pułk Piechoty Wielkopolskiej, aby nadać mu miano pułku piechoty Karola II króla Rumunii.*

Zapewne istotnym czynnikiem była sytuacja, jaka w stosunkach pomiędzy Rzeczypospolitą Polską i Królestwem Rumunii zaistniała w roku 1937. Przyniósł on bowiem pewną intensyfikację stosunków politycznych i wojskowych. Natomiast niewątpliwym wpływem na to miało narastające wówczas w Europie napięcie polityczne, które niosło za sobą realną groźbę wybuchu w Europie kolejnego konfliktu zbrojnego. Warto też podkreślić, że, szczególnie

<sup>1</sup> Tak brzmiała oficjalna tytulatura Józefa Piłsudskiego.

<sup>2</sup> Wcześniej Marszałek Józef Piłsudski otrzymał szefostwo rumuńskiego 16 Regimentu Piechoty, który w wyniku tego stał się 16 Regimentem Piechoty Rumuńskiej imienia Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego.

<sup>3</sup> Od marca 1921 r. Rzeczypospolitą Polską oraz Królestwo Rumunii łączył bowiem sojusz wojskowy.

dla Polski, poza dawnym zagrożeniem wynikającym z polityki gwałtownie zbrojących się i rosnących w siłę Sowietów, coraz groźniejsza stawała się III Rzesza i jej szybko powiększająca się armia, czyli Wehrmacht. Stąd obydwie strony polsko-rumuńskiego aliansu poszukiwały skuteczniejszych metod zabezpieczenia swoich interesów politycznych oraz coraz bardziej zagrożonej integralności terytorialnej.

W wyniku tego od 26 czerwca do 1 lipca tego roku z wizytą w Polsce przebywał król Rumunii Karol II. Poza kwestiami związanymi z przyjęciem przez monarchę szefostwa 57 Pułku Piechoty Wielkopolskiej, o czym niżej, wizycie tej nadano szczególnie uroczystą oprawę protokolarną. W świącie królewskiej znaleźli się także następca tronu Wielki Wojewoda książę Michał oraz minister spraw zagranicznych Victor Antonescu i podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej generał Aleksander Glatz. Po powitaniu 25 czerwca na granicy polsko-rumuńskiej w Śniatyniu z udziałem kompanii honorowej 49 Huculskiego Pułku Strzelców, król przybył do Warszawy, gdzie po oficjalnych i uroczystych powitaniach z udziałem przedstawicieli władz państwowych i polskich sił zbrojnych, w tym również marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza, 27 czerwca na Polach Mokotowskich, odbył się przegląd, a następnie w Alei Żwirki i Wigury defilada oddziałów Wojska Polskiego, głównie stacjonujących w stołecznym garnizonie oraz na terenie Dowództwa Okręgu Korpusu Nr I Warszawa.

Jak donosiła ówczesna prasa wojskowa:

*Nastrój społeczeństwa harmonizował mile z radosnym hołdem Warszawy. Stolica przybrała niezwykle uroczysty strój. Ulice, wzdłuż których przejeżdżać miał orszak królewski przybrane zostały mnóstwem flag trójkolorowych rumuńskich i biało-czerwonych polskich.[...]*

*Wzdłuż trasy na chodnikach ustawiały się tłumy publiczności, organizacje, związki ze sztan-darami i orkiestrami, młodzież szkolna i akademicka. Długim, kilkukilometrowym szeregiem stały oddziały wojska. Specjalną uwagę zwracały kompanie podchorążych lotnictwa w swych stalowych mundurach. Na Placu Zamkowym [...] stanęły za szpalerem wojsk oddziały Związku Strzeleckiego oraz strzelczyń w strojach ludowych – łowickich, góralskich, huculskich, kaszubskich i kujawskich. [...]*

Drugi dzień pobytu króla Karola II w stolicy Rzeczypospolitej stał pod znakiem wojska – tej

realnej siły, stanowiącej fundament sojuszu polsko-rumuńskiego.

*O godz. 8.00 wjechał przez bramę tryumfalną na Pole Mokotowskie samochód, wiozący Jego Królewską Mość Karola II i Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. W następnym samochodzie jechał Wielki Wojewoda ks.[iążę – przyp. A.S.] Michał z marszałkiem Śmigłym-Rydzem.*

*Tu na rozległych błoniach ustawiły się oddziały Wojska Polskiego. [...] Król Karol II i ks.[iążę – przyp. A.S.] Michał oraz Pan Prezydent Rzeczypospolitej z marszałkiem Śmigłym-Rydzem zajęli miejsca w specjalnej trybunie, między trybunami dla rządu i dyplomacji. [...] Nadeszły pierwsze oddziały. To Szkoły Podchorążych Piechoty, Lotnictwa, Saperów, Łączności i Sanitarna. Za nimi szły pułki i bataliony warszawskiej dywizji piechoty z batalionem podhalańskim na czele. Potem artyleria, saperzy z pontonami, telegrafści i radiotelegrafści, lotnicy i oddziały marynarki. Następnie maszerowała Policja Państwowa, oddziały Przysposobienia Wojskowego, Związku Rezerwistów, kolejarze, pocztowcy, telegrafści, hufce szkolne, hufce pracy i bataliony Związku Strzeleckiego. Sensację i podziw budziły regionalne oddziały Strzelca w swych bajecznie kolorowych ubiorach, kawaleria prowadzona przez gen. Wieniawę-Długoszowskiego, nieprzejrzana ilość samolotów, które w równych szykach przedelfowały wzdłuż Alei, potem broń pancerna i zmotoryzowane oddziały piechoty. Wśród niemilkących okrzyków i wiwatów królewscy goście opuścili miejsce wspaniałej defilady.*

Jednak swoistą kulminacją pobytu króla Rumunii Karola II w Polsce było przyjęcie przez niego szefostwa 57 Pułku Piechoty Wielkopolskiej. Odbyło się to trzeciego dnia wizyty, czyli 28 czerwca, podczas jego pobytu w obozie ćwiczebnym w Biedrusku pod Poznaniem, gdzie król obserwował również specjalnie przygotowane dla niego pokazowe ćwiczenia wojskowe.

*W dniu pokazu król i Śmigły ze świtą pojawili się na polu ćwiczeń w licznym otoczeniu. Oddziały wyszły na podstawy wyjściowe. Przed nimi ciągnęły się okopy, nasz przedmiot natarcia, z poustawianymi drewnianymi figurami, jak na strzelnicy. Pierwsze ruszyło lotnictwo. Rzucali jakieś ładunki, które dla pokazania celności były wyładowane bardzo dymiącym materiałem. Potem zaczęła grzmieć artyleria. Nie była to tylko skromna ba-*

teria pułkowa, składająca się z czterech armat, ale potężny zestaw ogniowy, czyli artyleria wsparcia. Kottowało się tam w okopie z pozorowanym przeciwnikiem jak w garnku. Potem ruszyły czołgi i w ślad za nimi piechota. Jakiemuś artylerzyście pokićkały się dane ogniowe i wpakował całą baterią salwę we własną piechotę. Na szczęście były to zapalniki z długą zwłoką, wyrzucające całe fontanny ziemi, ale nie rażące zbyt szeroko odłamkami.

Następnie również w Biedrusku odbyła się ceremonia przyjęcia przez króla szefostwa. Jej przebieg był następujący. Przy dźwiękach rumuńskiego hymnu narodowego, po odpoczynku w „zameczku” nad Wartą oddanym do dyspozycji Karola II, w mundurze marszałka armii rumuńskiej monarcha przyjechał samochodem w towarzystwie marszałka Śmigłego-Rydza do obozu, gdzie uszykowany był do przeglądu 57 Pułk Piechoty Wielkopolskiej. Poza nimi przybyli również książę Michał z generałem dywizji Kazimierzem Fabrycym, minister spraw zagranicznych Józef Beck, który tego dnia wystąpił w mundurze i w barwach pułkownika dyplomowanego artylerii konnej oraz minister spraw wojskowych generał dywizji Tadeusz Kasprzycki i szef Sztabu Głównego generał brygady Wacław Stachewicz, a także inni generałowie i wysocy oficerowie Wojska Polskiego.

Po odebraniu raportu od dowódcy pułku król Karol II przeszedł przed jego frontem, dokonując przeglądu zgromadzonych pododdziałów, po czym zgodnie z wymogami polskiego ceremoniału wojskowego przywitał pułk okrzykiem: „Czołem żołnierze!”, na co usłyszał odpowiedź: „Czołem Wasza Królewska Mość!”. Po tej ceremonii marszałek Śmigły-Rydz przeczytał orędzie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej o nadaniu królowi Karolowi II szefostwa 57 Pułku Piechoty Wielkopolskiej. Jak podawała ówczesna prasa wojskowa brzmiało ono:

*My, Ignacy Mościcki, Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, nadajemy Jego Królewskiej Mości Karolowi II – królowi Rumunii godność Szefa 57 Pułku Piechoty Wielkopolskiej, a odznaczonemu Orderem Wojennym Virtuti Militari pułkowi nazwę: 57 Pułk Piechoty Karola II Króla Rumunii.*

Warszawa- Zamek dnia 25 czerwca 1937 roku  
Prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki  
Minister Spraw Wojskowych T. Kasprzycki.

Z kolei dowódca pułku wygłosił następujące przemówienie:

*Wasza Królewska Mość!*

*57 Pułk dumny i szczęśliwy z zaszczytu, jaki go spotkał przez przyjęcie szefostwa pułku przez Waszą Królewską Mość, prosi posłusznie o przyjęcie odznaki honorowej, będącej symbolem braterstwa i związku krwi wszystkich żołnierzy pułku. Zaszczyc, że odznakę 57 Pułku Piechoty przyjmie Wasza Królewska Mość, napawa nas największą dumą i będzie zawsze bodźcem do osiągnięcia najszczytniejszych wyników tak w pracy podczas pokoju, jak również zwycięskich sukcesów wojennych w obronie ojczyzny własnej i braterskiej, wielkiej Rumunii.*

*Jako dowódca pułku przyrzekam, iż pułk Waszej Królewskiej Mości okaże się godnym zaszczytu, jaki go dziś spotkał.*

*Jego Królewska Mość Karol II, Król Wielkiej Rumunii, Szef naszego Pułku – niech żyje!*

Po tym przemówieniu przed front wówczas już **57 Pułku Piechoty Karola II Króla Rumunii** wystąpił poczet sztandarowy, a adiutant króla pułkownik Filitti odczytał w języku rumuńskim orędzie królewskie, które brzmiało:

*My Karol II z Bożej łaski i woli narodu Król Rumunii wszystkim obecnym i przyszłym pozdrowienia.*

*Nadajemy 57 Pułkowi Piechoty polskiej order Michała Walecznego III klasy za waleczność, okazaną w bitwach pod Warkami, Janowem, Berezyną, Swistoczą i Pałahowiczami, i za brawurę tego pułku w krwawych bojach pod Warszawą i wreszcie w pościgu za nieprzyjacielem w czasie do 18 października 1920 roku, to jest do dnia zawieszenia broni, na dowód czego doręczamy mu ten dyplom, podpisany przez Nas i opatrzony Naszą Królewską pieczęcią.*

Po odczytaniu tego dokumentu pułk sprezentował broń, orkiestra pułkowa zagrała rumuński hymn państwowy, a król Karol II udekorował sztandar pułkowy odznakami Orderu Michała Walecznego.

Następnie punktualnie o godz. 12 król Karol II ubrany już w mundur polskiego pułkownika, a więc występujący tym samym jako szef 57 Pułku Piechoty Karola II Króla Rumunii, i przepasany wstęgą Orderu Orła Białego, odebrał jego defiladę, która [...]

wypadła imponująco. Żołnierze budzili entuzjazm swą piękną i brawurową postawą.

Po zakończeniu tych uroczystości w zaimprovizowanym kasynie pułkowym odbyło się uroczyste śniadanie, podczas którego przemówienie wygłosił dowódca Okręgu Korpusu Nr VII generał brygady Edmund Knoll-Kowancki. Odpowiadając mu Karol II stwierdził:

*Drodzy koledzy!*

*Odczuwam wielką radość, znajdując się wśród was polscy towarzysze broni. Po pięknym przyjęciu, które mi zgotowały tak czynniki oficjalne, jak i cała ludność – to, co dziś czuję w tym obozie wojskowym, między wami, żołnierze napawa mnie serdecznym uczuciem. Nie należy bowiem zapominać, że w żyłach moich płynie krew żołnierska o tysiącletniej tradycji. Pozwala mi to odczuć głęboko waszą duszę żołnierską i to, co się ujawniło we wspaniałej rewii warszawskiej, a zwłaszcza w czasie ćwiczeń i rewii w Biedrusku, gdzie miałem możliwość stwierdzić świetne wyszkolenia Armii Polskiej. Dlatego też szczególnie odczuwam fakt, że Pan Prezydent Rzeczypospolitej zechciał mi nadać dowództwo honorowe jednego z najświetniejszych pułków Armii Polskiej. Raduję się z tego i jestem przekonany, że wzajemne uczucia pogłębiają jeszcze bardziej koleżeństwo między naszymi dwoma armiami na rzecz bezpieczeństwa naszych dwóch narodów i dla dobra pokoju.*

*Może się wydać dziwnym, że żołnierz wśród żołnierzy mówi o pokoju, lecz nie można zapominać, że właśnie silne armie są jego gwarantkami. W tym duchu właśnie należy pojmować nasze braterstwo broni i sojusz między naszymi dwoma krajami. Jestem szczęśliwy, widząc tutaj między nami dwóch ludzi, będących potężnymi tego sojuszu podporami: Pana Marszałka i pana Ministra Spraw Zagranicznych. Wznoszę kielich za wielkość i chwałę Armii Polskiej i na cześć 57 Pułku Piechoty.*

Następnie po krótkim odpoczynku królewscy goście wraz z towarzyszącymi im osobami wyjechali do Warszawy, gdzie odbyły się kolejne oficjalne punkty programu ich pobytu.

Wraz z opisanymi powyżej uroczystościami ukazał się jeszcze jeden dokument związany z omawianym tutaj szefostwem. Otóż 28 czerwca w Warszawie minister spraw wojskowych generał dywizji Tadeusz Kasprzycki wydał rozkaz zatytułowany:



**Ryc. 1.** Karol II w mundurze pułkownika – szefa – 57 Pułku Piechoty Karola II Króla Rumunii oraz marszałek Edward Śmigły-Rydz – Biedrusko 28 czerwca 1932 r. U króla Karola II, poza innymi odznaczeniami i polskim mundurem oficerskim, z lewego ramienia do prawego boku założona wstęga polskiego Orderu Orła Białego.

Źródło: „Wiarus.” Organ korpusu podoficerów zawodowych wojska lądowego, Marynarki Wojennej i Korpusu Ochrony Pogranicza, (Warszawa) Nr 31 z 31 VII 1937, R.VIII, s. 5.

„Inicjały<sup>4</sup> na naramiennikach żołnierzy 57 Pułku Piechoty Karola II Króla Rumunii

Formacje, które otrzymywały szefostwa uzyskiwały również prawo do używania odpowiedniej nazwy w formie pisemnej na różnego rodzaju oficjalnej dokumentacji wojskowej, zarówno tej jaka pozostawała w pułku, jak i tej, która wychodziła na zewnątrz oraz prawo do umieszczenia pełnej nazwy oddziału na bramie koszarowej, na sztandarach i innych elementach symboliki oddziałowej.

Stąd też symbole związane z posiadanym szefostwem znalazły się również na granatowych z żółtą wypustką sukiennych czaprakach jezdnych zaprzęgów pułkowego plutonu Artylerii 57 Pułku Piechoty. Zapewne wykonane były one metodą aplikacji z białej, bawełnianej bądź jedwabnej taśmy. Naszy-

<sup>4</sup> W rzeczywistości były to królewskie cyfry, a nie inicjały.



**Ryc. 2.** Jezdny Baterii Artylerii 57 Pułku Piechoty Karola II Króla Rumunii z cyframi szefa na czapraku – 1937 r.

Źródło: „Wiarys.” Organ korpusu podoficerów zawodowych wojska lądowego, Marynarki Wojennej i Korpusu Ochrony Pogranicza, (Warszawa) Nr 29 z 17 VII 1937, R.VIII, okładka.

wano je po obydwu stronach czapraków, w ich tylnych, wydużonych rogach.

Niewykluczone także, że przez wybuchem II wojny światowej cyfry szefa, najprawdopodobniej haftowane srebrną nicią, zdążono umieścić również na fartuchach werbli oraz na płomieniach trąbek używanych przez orkiestrę 57 Pułku Piechoty Karola II Króla Rumunii<sup>5</sup>.

Na pewno nie było ich natomiast, co jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, ani na zatwierdzonej w 1924 r. i nieco jedynie zmodyfikowanej w 1928 r. pułkowej odznace pamiątkowej, ani też na zatwierdzonym w 1930 r. przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, a wręczonym już w maju 1929 r., wtenczas jeszcze, 57 Pułkowi Piechoty Wielkopolskiej sztandarze, z którym oddział ten wyruszył na tragiczną kampanię jesienną 1939 r.

Podkreślić też tutaj należy, że w całym ówczesnym Wojsku Polskim Karol II był jedynym ob-

<sup>5</sup> Autor użył tutaj trybu przypuszczającego, gdyż nie udało się mu odnaleźć żadnych dowodów na poparcie swych domysłów.

cym szefem. Wszyscy pozostali szefowie, zarówno rzeczywiści, jak i historyczni, mieli ścisły związek z polskimi dziejami wojskowymi oraz z historią narodu i państwa polskiego. Fakt ten oraz wcześniejsze przyznanie szefostwa rumuńskiego 16 Regimentu Piechoty Pierwszemu Marszałkowi Polski Józefowi Piłsudskiemu należy uznać za efekt wyjątkowej kurtuzji istniejącej przed wrześniem 1939 r. w polsko-rumuńskich stosunkach politycznych i wojskowych.

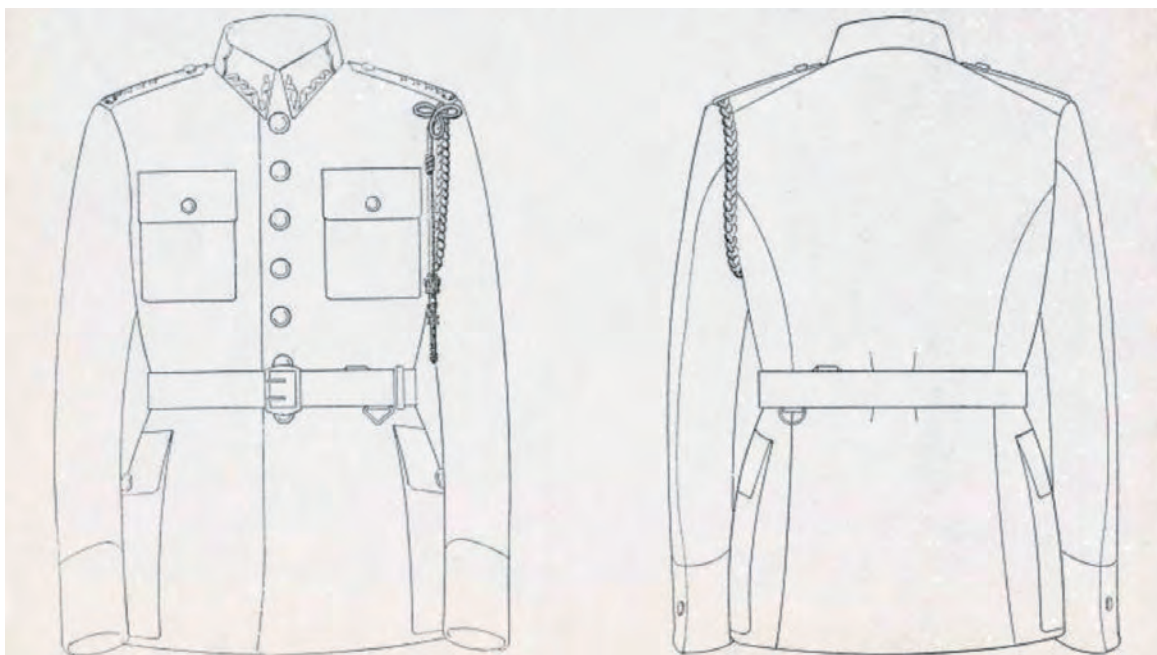
Przyznać należy, iż polskie władze państwowe i wojskowe zrobiły bardzo wiele, aby wizycie króla Rumunii Karola II nadać odpowiednią rangę i zapewnić jej należyłą oprawę wojskową. Dlatego też uroczystości związane z nadaniem i przyjęciem przez króla szefostwa 57 Pułku Piechoty miały bardzo rozbudowany i jednocześnie podniosły charakter. Warto też podkreślić, że ich przebieg i zastosowany ceremoniał były mocno osadzone w starej, europejskiej tradycji wojskowej.

Zadbano też o odpowiednie propagandowe ich wykorzystanie, zarówno w odniesieniu do sił zbrojnych, jak i cywilnej opinii publicznej. Bowiem dla strony polskiej miał to być, podobnie jak cała ta wizyta, ważny czynnik służący umocnieniu polsko-rumuńskiego sojuszu wojskowego. Jednak pomimo tych wysiłków w szeregach kadry służby stałej i zawodowej Wojska Polskiego pojawiały się niekiedy opinie dość krytycznie oceniające rumuńskiego sojusznika.

Król Rumunii z pobytu w Polsce wyniósł niezwykle pozytywne wrażenia i był nim całkowicie usatysfakcjonowany, o czym po latach wspominał także w swoich pamiętnikach. Umocnił on również jego przekonanie o wartości sojuszu polsko-rumuńskiego. Zapewne też był to jeden z powodów, dla którego król Karol II dekretem z 8 grudnia 1937 r. żołnierzom swego szefowskiego pułku, którego sztandar w czerwcu tego roku nagrodzony został Orderem Michała Walecznego III klasy, przyznał prawo do noszenia specjalnych sznurów naramiennych. Od tego momentu każdy pełniący służbę „czynną”<sup>6</sup> w jego szeregach przy wszystkich rodzajach ubioru poza mundurami polowymi, czyli „bojowymi i ćwiczebnymi” miał nosić sznury Michała Walecznego. Noszone je na lewym ramieniu kurtki, poza adiutantem pułku, który miał je zakładać na ramieniu prawym<sup>7</sup>.

<sup>6</sup> W odpowiednim rozkazie znalazło się stwierdzenie o oficerach i szeregowych „faktycznie pełniących służbę czynną” w pułku.

<sup>7</sup> Działo się tak dlatego, iż oficer ten na lewym ramieniu nosił pojedyncze, srebrne przysługujące adiutantom pułkowym akselbanty.



**Ryc. 3.** Przepisowy sposób noszenia na kurtkach mundurowych sznurów naramiennych Michała Walecznego wprowadzonych w maju 1938 r. dla żołnierzy 57 Pułku Piechoty Karola II Króla Rumunii:

- 1) Kurtka mundurowa z nałożonym na lewym ramieniu sznurem Michała Walecznego – widok z przodu,
- 2) Kurtka mundurowa z nałożonym na lewym ramieniu sznurem Michała Walecznego – widok z tyłu.

Źródło: *Dziennik Rozkazów Ministerstwa Spraw Wojskowych* Nr 7 z 31 maja 1938 r. pozycja 72 – załącznik Nr 3.

Była to ostatnia oficjalna zmiana w umundurowaniu oficerów i szeregowych 57 Pułku Piechoty Karola II Króla Rumunii związana z posiadaniem szefa rzeczywistego w osobie tego monarchy.

Ciekawa historia tego niecodziennego szefostwa zakończyła się wraz z klęską Rzeczypospolitej Polskiej oraz jej armii w tragicznej kampanii jesiennej 1939 r. oraz wraz z kontrowersyjną postawą Królestwa Rumunii wobec polskich władz cywilnych i wojskowych po 17 września tego roku. W związku z tym tradycja z nim związana nie odrodziła się w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Z zupełnie oczywistych powodów nie przypomina jej też w tzw. „Ludowym” Wojsku Polskim. Dopiero po powtórnym odzyskaniu przez Rzeczypospolitą Polską suwerenności po 1989 r. poczęto o niej na powrót wspominać.

### Bibliografia selektywna

- Braterstwo broni polsko-rumuńskie*, „Wiarus.” Organ korpusu podoficerów zawodowych wojska lądowego, Marynarki Wojennej i Korpusu Ochrony Pogranicza, (Warszawa) Nr 31 z 31 VII 1937, R.VIII.
- Lindner S., *Ale serce boli. Wspomnienia starego kadeta*, Warszawa 1983.

*Materiały do dziejów sojuszu polsko-rumuńskiego w latach 1921–1931. Wstęp i opracowanie H. Bułhak*, „Studia Historyczne”, 1973, Nr 3.

Smoliński A., *Nadanie szefostwa króla Rumunii Karola II 57 Pułkowi Piechoty*, „Przegląd Historyczno-Wojskowy”, 2011, R.XII (LXIII), Nr 1 (234).

Smoliński A., *Przyjazne sąsiedztwo. Przyczynki do stosunków politycznych i wojskowych między Rzeczpospolitą Polską a Królestwem Rumunii w okresie międzywojennym (O vecinătate amicală. Contribuții privind relațiile politice și militare dintre Republica Polona și Regatul României în perioada interbelică)*. Przekład M. Dzióbek, Toruń 2022.

Smoliński A., *Szef czy patron – tradycja i współczesność w Wojsku Polskim, [w:] Od armii komputowej do narodowej II. Dzieje militarne Polski i jej wschodnich sąsiadów od XVI do XX wieku*. Materiały z międzynarodowej konferencji naukowej. Praca zbior. pod red. M. Krotofila, A. Smolińskiego, Toruń 2005.

Tomaszewski A. S., *Własną ścieżką przez życie. Fragmenty wspomnień 1913–1970*, Kraków 1978.

Walczak H., *Sojusz z Rumunią w polskiej polityce zagranicznej w latach 1918–1931*, Szczecin 2008.

Prof. dr hab. Aleksander Smoliński — Katedra Historii Wojskowej, Wydział Nauk Historycznych UMK

Marcin Lutomiński

## Kogutek wielkanocny

Wielkanoc w kulturze polskiej także ma swoje formy kołędowania, czyli rytualnego odwiedzania domostw, ściśle powiązanego z magią agrarno-wegetacyjną i płodnościową. Zgodnie z tradycją musiała przy tym nastąpić rytualna wymiana darów, tzn. wypowiedziane lub wyspiewane życzenia mogły się spełnić, jeśli przychodzący (niezwykli goście) otrzymali coś w zamian: zwykle jedzenie i/lub pieniądze.

Jak przypomina znawczyni tradycji świątecznych Hanna Łopatyńska: „W wielu regionach Polski w Poniedziałek Wielkanocny odbywały się pochody chłopców i kawalerów połączone ze śpiewaniem pieśni, składaniem życzeń i wyprasaniem darów. Kołędnicy wędrowali z różnymi rekwizytami, które z jednej strony swą symboliką nawiązywały do Święta Zmartwychwstania, z drugiej stanowiły relikwii po przedchrześcijańskich obrzędach płodnościowych oraz miały charakter zalotów” (Łopatyńska 2024: 193). Dodajmy jeszcze, że nierzadko odwie-

dziny były połączone z oblewaniem wodą panien na wydaniu.

Jedną z form kołędowania wielkanocnego w centralnej Polsce i niektórych rejonach Wielkopolski oraz Śląska stanowiło i wciąż stanowi chodzenie z kogutkiem, zwanym także kurkiem, dyngusowym, tj. żywym zwierzęciem często napojonym wódką lub nakarmionym pszenicą namoczoną w wódcę, którego później zastąpiła drewniana, gliniana czy – rzadziej – wykonana z ciasta figurka (z doklejonym naturalnym pierzem). Oczywiście, kogutek musiał być odpowiednio przystrojony – kolorowymi wstęgami, wycinankami, koralikami, błyskotkami, czasem nawet lalkami – i umieszczony na dwukołowym wózek z dyszlem. Podobno ów kurek pod wpływem wódki bardzo głośno piał... Zdaniem Barbary Ogrodowskiej, autorki wielu książek o polskich zwyczajach, „kurek dyngusowy, symbol siły męskiej i płodności, wprowadzony do obejścia miał sprzyjać kojarzeniu młodych par, zapewniać szczęście w miłości, a rodzinie dawać zdrowie i liczne potomstwo” (Ogrodowska 2001: 100). Natomiast w interpretacji chrześcijańskiej piejący kogutek (kogut, kur) zapowiadał wyparcie się Jezusa przez Piotra, a późniejszy dzień i nowe życie, czyli zmartwychwstanie. Warto dodać, że kogut/kur w różnych kulturach był postrzegany jako zwierzę mające kontakty z różnymi duchami, także tymi nieczystymi. Słowianie wierzyli m.in. w to, że „[...] mocnym pianiem płoszy złe duchy, skradające się do domostwa [...]” (Ziółkowska 1989: 60).

Zwięzły i zarazem barwny opis dyngusiarzy z kogutkiem zawarł Władysław Reymont w III tomie *Chłopów*:

Właśnie Jagustynka była rozpowiadała o tym, nie wiada już dzisiaj po raz który, kiej z podwórza wywalili się chłopaki z kogutkiem. Witek ich wiódł, wystrojony sielnie, w butach nawet i kaszkiecie Borynowym, srodze na bakier nadzianym, a pobok w kupie szedł Maciuś Kłębów, Gulbasiak, Jędrak, Kuba Grzeli z krzywą gębą syn i drugie. Kije mieli w rękach i torbeczki przez plecy, Witek zaś tulił pod pachą skrzypice Pietrkowe.



Fot. jedynka.polskierado.pl

Wywiedli się na drogę z paradą i najpierwej ruszyli do dobrodzieja, bo tak po inne roki parobki poczynaty. Śmiało weszli do ogrodu, przed plebanię, ustawili się w rząd, wysuwając przed się kogutka. Witek zagrał na skrzypicy, Gulbasiak jął kręcić cudakiem i pisać, a wszyscy, rypiąc kijami i nogami do wtóru, wraz zaśpiewali piskliwie:

Przyszliśmy tu po dyngusie!  
Zaśpiewamy o Jezusie,  
O Jezusie, o Maryje –  
Dajcie nam co, gospodynie!...

I długo śpiewali, a coraz śmiejiej i rozgłośniej, aż wyszedł dobrodziej i po dziesiątku im rozdał, kogutka pochwalił i z łaską ich odpuszczył...

Witek jaże spotniał ze strachu, czy o boćka nie zagada, snadź go jednak wśród drugich nie rozpoznał, ale na pokoje odszedł, przysyłając jeszcze przez dziewczynę słodzińskiego placka, że huknęli mu śpiewkę na podziękę i do organistów pociągnęli.

Potem zaś już chałupy nawiedzali wraz z całą chmarą dzieci rozwrzeszczanych i tak się cisnących, że musieli obraniać kogutka przed naporem, gdyż każde piórek chciało tykać i kijaszkiem zaruchać.

Witek ich prowadził rej wiodąc i na wszystko mając czujne oko, nogą znać dawał, by zaczynać, a smykiem rządził, kaj nutę wyciągać cieniutką, a kiej grubą; jemu też oddawali gościńce. A z taką paradą się wodzili i tak szumnie, jaże na całą wieś roznosiły się śpiewania i przygrywki skrzypicy, a ludzie wielce się dziwowali, że to skrzaty, ledwie odroste od ziemi, a poczynają sobie niby parobki (Reymont 1976: Wolne Lektury).

A skoro o parobkach mowa, to warto przypomnieć za Oskarem Kolbergiem, iż z powodu bijatyk, rabunków i zniszczeń podczas spotkań różnych grup kogutkowych dyngusiarzy młodszy chłopcy korzystali nieraz z pomocy starszych parobków, którzy – oczywiście za odpowiednie „dary” – tworzyli ochronę kołędników. Natomiast ks. Jędrzej Kito-wicz wspomina, że to właśnie parobkowie chodzili z drewnianym kurkiem, tyle że w ostatkowy wtorek (na zakończenie zapustów). Jak dotąd trudno



Fot. polona.pl

stwierdzić, czy to był jakiś lokalny zwyczaj, czy może pomyłka autora.

Na ziemiach polskich chłopców lub kawalerów (dziś czasem strażaków, także żonaty) chodzących z kogutkiem w Poniedziałek Wielkanocny nazywano również kurczakami albo mówiono, że chodzą po włóczębnem. Zdarzało się, np. w łomżyńskim, że za kurka przebierał się jeden z chłopców – wiązał na głowie czerwoną chustkę z frędzlami, na nos nakładał papierowy dziób, a piersi i ręce okrywał płachtą w kolorze koguciego pierza. Oczywiście, idąc, wydawał głośne okrzyki naśladujące ptaka.

W zależności od swojego wieku i regionu przybysze wypowiadali albo wyśpiewywali (a capella lub przy akompaniamencie skrzypiec) różne rymowane formułki czy krótkie utwory, domagali się darów, a na koniec nierzadko oblewali dziewczęta (panny) przygotowanymi na tę okazję sikawkami. Teksty powtarzane przez towarzyszy kogutka miały wiele wersji i adaptacji. Oto kilka przykładów spośród wielu.



Fot. polona.pl

Pan Bóg z martwych wstaje, / Dawaj babo jaje,  
/ A ty dziadzie kiołbase, / Bo ci kijem przestra-  
se... / Gosposia! Dajcie prosa dla tego kurosa  
(pocztówka, ok. 1912, polona.pl).

Przyśliśma tu po dyngusie, / zaśpiewamy o Je-  
zusie, / o Jezusie, o Maryi, / o kwiatecku, o le-  
liji. / Ślicna lelija w ogrodzie kwitała, / jak się



Fot. pl.wikipedia.org

Maryja Józefa pytała („Płomyk” 1930, nr 34,  
s. 780).

Bóg wam wielgi zapać za te wasze dary, / zeby-  
ście się za to do nieba dostali! (Tamże).

Bóg wam wielgi zapać za te wasze dary, / zeby-  
ście się za to do piekła dostali! (Tamże).

A my z kurkiem rano wstali, / Pierwszą rośę  
otrząsali. Nasz kureczek rano pieje, / Wstańcie  
panny po kądziele, / A wy matki jeszcze śpij-  
cie, / Bo się przez dzień narobicie (Ziółkowska  
1989: 60).

A i wy, dziewczuchy, / złóżta po sześć groszy, /  
puścimy koguta / do jednej kokoszy. / Bo ten  
nasz kogutek / nie na darmo skoczy, / osiemna-  
ście kurcząt / od razu wytoczy. / A i wy, mamu-  
sie, / przykażcie swym córom, / żeby nie cho-  
dziły / do stodoły dziurą, / cielętom po siano, /  
krowo po zguniny. Dyngus, co to dyngus, / pani  
gospodyni! (Ogrodowska 2001: 100).

Jak widać, Święta Wielkanocne mogą być źró-  
dłem radości nie tylko duchowych...

### Literatura (wybór)

Czachowski Hubert, Kostrzewa Agnieszka, Łopatyń-  
ska Hanna M. 2020: *Akwizytorzy szczęścia. O daw-  
nych i współczesnych kołędnicach*, Toruń.

Kitowicz Jędrzej 2003: *Opis obyczajów za panowania  
Augusta III*, wstęp Maria Dernałowicz, Warszawa.

Lutomierski Marcin 2024, *Zagadki tradycji wielka-  
nocnych*, „Głos Uczelni. Czasopismo Uniwersytetu  
Mikołaja Kopernika”, nr 3-4.

Łopatyńska Hanna M. 2024: *Wielkie Święto. O zwy-  
czajach wielkanocnych w Polsce*, Toruń.

Ogrodowska Barbara 2001: *Zwyczaje, obrzędy i tra-  
dycje w Polsce. Mały słownik*, Warszawa.

„Płomyk. Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzie-  
ży” 1930, *O kogutku wielkanocnym*, nr 34.

Reymont Władysław Stanisław, 1976: *Chłopi*, III:  
*Wiosna*, dostęp: wolnelektury.pl.

Ziółkowska Maria 1989: *Szczodry wieczór, szczodry  
dzień. Obrzędy, zwyczaje, zabawy*, Warszawa.



*Dr Marcin Lutomierski* — zastępca dy-  
rektora Wydawnictwa Naukowego UMK,  
członek Polskiego Towarzystwa Ludo-  
znawczego

Maja Domaszk

## Marzanna – między mitem a obrzędem

Marzanna należy do tych figur kultury ludowej, które w powszechnej świadomości bywają redukowane do uproszczonego obrazu obrzędowego – stromianej kukły, pochodzącej nad rzekę i symbolicznego pożegnania zimy. Tymczasem źródła historyczne, etnograficzne i religioznawcze pokazują zjawisko znacznie bardziej złożone.

W polskiej tradycji Marzanna jest zarazem figurą obrzędową, personifikacją śmierci i zimy, a w niektórych rekonstrukcjach także śladem dawnej słowiańskiej bogini. Badacze nie są zresztą całkowicie zgodni, jak daleko można posunąć się w takich utożsamieniach. Jedni podkreślają pogańskie korzenie obrzędu, inni ostrożniej interpretują go jako późniejszą ludową personifikację związaną z rytuałem sezonowego przejścia. Ta ostrożność jest ważna, bo właśnie ona pozwala oddzielić naukowy namysł od łatwej mitologizacji.

### Od bogini do kukły

Najstarsze polskie wzmianki o Marzannie pochodzą ze średniowiecza i wczesnej nowożytności, ale nie dają prostego, pewnego portretu dawnego bóstwa. Jan Długosz wpisywał Marzannę w porządek antycznych analogii, porównując ją do Cerery, co pokazuje raczej sposób myślenia humanisty niż wierny opis przedchrześcijańskiej religii Słowian. Późniejsi autorzy, tacy jak Aleksander Brückner, Henryk Łowmiański czy Aleksander Gieysztor, różnie oceniali wartość takich świadectw. Jedni widzieli w Marzannie rzeczywisty ślad dawnego kultu, inni przypominali, że wiele informacji o religii Słowian jest rekonstrukcją budowaną z okruszków: kronik, etymologii, folkloru i porównań międzykulturowych.

To właśnie tutaj zaczyna się najciekawszy problem badawczy. Historyk religii i etnograf nie pracują w przypadku Marzanny z jednym spójnym przekazem, lecz z mozaiką śladów – kronikarskimi wzmiankami, późniejszym folklorem, zapisami językowymi i opisami zwyczajów z XIX oraz początku XX wieku. Dawne źródła mówią zwykle więcej o tym, jak autorzy wyobrażali sobie religię Słowian, niż o samej przedchrześcijańskiej wierze. Dopiero zestawienie tych świadectw z etnografią pozwala zauważyć ciągłość pewnych wyobrażeń: związku



Fot. polona.pl

zimy ze śmiercią, chorobą i zagrożeniem dla plonów, a zarazem potrzebę symbolicznego usunięcia tego niebezpieczeństwa poza granice wspólnoty.

Dziś bezpieczniej jest mówić, że Marzanna funkcjonuje na styku mitu i obrzędu. W wyobraźni ludowej łączyła się ze śmiercią, zimmem, chorobą i martwością przyrody, ale zarazem z odnową, bo jej zniszczenie otwierało drogę wiosnie. Sama nazwa, występująca również w wariantach Morena, Morana, Marzana, Śmiercicha czy Śmiertka, od dawna skłaniała badaczy do interpretacji łączących ją z morem, zmorą i śmiercią. Niezależnie od sporów etymologicznych jedno jest pewne – w kulturze ludowej nie była tylko niewinną lalką. Reprezentowała moment roku, w którym wspólnota symbolicznie rozprawiała się z tym, co stare, groźne i wyczerpane.

### Rytm roku zamiast daty z kalendarza

Współczesna pamięć zbiorowa łączy Marzannę przede wszystkim z 21 marca, ale tradycyjny kalen-



Fot. polona.pl

darz ludowy wyglądał inaczej. Etnografowie zwracali uwagę, że obrzęd łączono najczęściej z okresem śródpostnym albo z tak zwaną białą, śmiertną czy marzaniową niedzielą, a więc z ruchomym rytmem Wielkiego Postu, a nie z astronomicznym początkiem wiosny. To bardzo istotna różnica. W dawnej kulturze wiejskiej rok nie był uporządkowany według jednej daty, lecz kalendarza liturgicznego, prac gospodarskich i obserwacji przyrody. Ten dawny rytm unaocznia, że obrzęd nie był dodatkiem do wiosny, ale jednym z narzędzi jej symbolicznego przywołania. Gdy zima słabła, a ziemia nadal nie dawała pewności plonów, wspólnota wykonywała gest przejścia. Wynosiła śmierć poza granice swojej przestrzeni i sprowadzała znaki nowego życia. Dopiero w drugiej połowie XX wieku zwyczaj topienia Marzanny coraz wyraźniej wiązano z pierwszym dniem wiosny, a sam obrzęd zaczął funkcjonować jako wydarzenie szkolne o charakterze bardziej edukacyjnym i widowiskowym niż rytualnym.

W praktyce oznaczało to, że obrzęd był mocno zakorzeniony w doświadczeniu niepewności. Przednówek należał na wsi do najtrudniejszych momentów roku – zapasy bywały już uszczuplone, nowe plony pozostawały jeszcze odległe, a pogoda mogła w każdej chwili przekreślić nadzieję na wcześniejsze rozpoczęcie prac. Marzanna nie była więc tylko dekoracją sezonowej zabawy. Stanowiła wyraz zbiorowego napięcia między tym, co jeszcze martwe i zimowe, a tym, co dopiero miało się odrodzić. Symboliczne wyniesienie kukły poza wieś albo wrzucenie jej do wody porządkowało ten stan zawieszenia i nadawało mu czytelną, wspólnotową formę.

### Wynoszenie śmierci, wnoszenie gaiku

Mimo regionalnych różnic w przebiegu zwyczaju, jego zasadniczy sens obrzędowy pozostawał w dużej mierze niezmienny. Kukłę wykonywano zazwyczaj ze słomy, owijano płótnem, ubierano w kobiecy strój albo ozdabiano wstążkami i koralami. Potem niesiono ją przez wieś, często z pieśniami, zaczepkami i obrzędowymi formułami. To nie był spokojny spacer. Pochód miał charakter publiczny i graniczny: wychodził z centrum wspólnoty ku jej obrzeżom, ku rzece, stawowi, polu albo rozstajom. Tam następował kulminacyjny gest – utopienie, spalenie, rozdarcie lub porzucenie kukły.

Znaczącym dopełnieniem tego scenariusza był gaik, czyli zielona gałązka albo małe drzewko przystrojone wstążkami, wydmuszkami i kolorowymi ozdobami. Badacze od dawna wskazują, że w wielu regionach obrzędy Marzanny i gaiku były dwiema częściami tego samego przejścia, choć nie zawsze występowały razem i nie wszędzie łączono je tego samego dnia. Zniszczenie kukły oznaczało odejście martwoty, a wniesienie zieleni – nadejście życia. Dopiero oba gesty razem tworzyły pełny sens rytuału: nie wystarczyło usunąć zimę, trzeba było jeszcze zaprosić wiosnę.

Kontrast między wyniesieniem śmierci a wniesieniem zieleni pokazuje, że dawny zwyczaj nie sprowadzał się do jednego gestu zniszczenia. Był raczej krótkim widowiskiem o wyraźnej dramaturgii, w którym następowało przejście od braku do obietnicy, od bezruchu do wzrostu. Kukła była ciężka, martwa i przeznaczona do unicestwienia. Gaik przeciwnie, należał do porządku życia, świeżości i ruchu. Właśnie dlatego tak często towarzyszyły mu śpiewy, życzenia i odwiedzanie domów. Obrzęd rozgrywał się nie tylko na granicy wsi czy nad wodą, lecz także w społecznej przestrzeni codzienności, bo wiosnę trzeba było nie tylko ogłosić, ale symbolicznie wprowadzić pomiędzy ludzi.

### Regiony, nazwy i lokalne odmiany

Najbogatszą dokumentację obrzędu zachował Śląsk, zwłaszcza jego część opolska i cieszyńska. Tam Marzanna, zwana też Marzaniokiem albo Śmiercichą, bywała kukłą niemal naturalnej wielkości, ubraną w regionalny strój i obnoszoną z dużą widowiskowością. Zofia Staszczak i Jerzy Pośpiech zwracali uwagę, że na Śląsku szczególnie wyraźne było zestawienie kukły ze znakiem nowej zieleni. Po wyniesieniu Marzanny wracano do wsi z gaikiem albo z inną formą „nowego lata”,

co nadawało całemu obchodowi wyrazistą dramaturgię.

W Wielkopolsce, na Podhalu i w Małopolsce spotykamy podobny mechanizm, chociaż lokalne nazwy, stroje i pieśni mogły się znacznie różnić. Jedne przekazy akcentują topienie, inne palenie, jeszcze inne obu tych czynności nie rozdzielają. W gwarach utrwaliły się nazwy niedziel i samych figur, które dobrze pokazują, jak mocno zwyczaj wrósł w język: obok form Marzanna czy Morzana pojawiają się określenia Śmiertna, Śmierteczka albo Śmierć. To nie detal językowy, ale trop kulturowy – przypomnienie, że obrzęd nie był po prostu wiosenną zabawą, lecz symbolicznym unieszkodliwieniem tego, co należało do sfery schyłku, zimy i zagrożenia.

Ta regionalna różnorodność jest dla etnografii szczególnie cenna, ponieważ pokazuje, że tradycja ludowa nie była nigdy jednolitym, ogólnopolskim scenariuszem odgrywanym wszędzie tak samo. Zwyczaj dostosowywał się do lokalnego kalendarza, gwary, krajobrazu i pamięci wspólnoty. W jednych miejscach większą wagę przywiązywano do samej kukły, w innych do pieśni, pochodu albo pojawienia się gaika. Czasem akcent padał na wypędzenie śmierci, kiedy indziej na przywołanie zieleni i pomysłności. To zróżnicowanie nie osłabia sensu obrzędu, lecz przeciwnie – pokazuje jego żywotność. Tradycja nie jest martwym wzorem, lecz formą, która pozwala lokalnym społecznościom mówić własnym głosem o podobnym doświadczeniu przemiany.

## Dla wspólnoty

W perspektywie wspólnotowej obrzęd Marzanny stanowił nie tylko symboliczne ogłoszenie końca zimy, lecz także praktykę porządkowania czasu, wzmacniania więzi społecznych i osvajania momentu sezonowego przejścia. Arnold van Gennep opisywał podobne praktyki jako obrzędy przejścia, złożone z fazy oddzielenia, progu i ponownego włączenia. W przypadku Marzanny oddzieleniem było wyniesienie kukły poza wieś, fazą graniczną – jej zniszczenie na styku ładu i żywiołów, a powrotem do porządku – wniesienie gaika, pieśń, uctowanie i wejście w nowy etap roku. Właśnie dlatego obrzęd zachowuje trwałe miejsce w kulturze. Nie jest przypadkowym gestem, lecz przejrzystą opowieścią o zmianie.

Starsze interpretacje, od Wilhelma Mannhardta przez Witolda Klingerę po część polskich etnografów pierwszej połowy XX wieku, silnie podkreślały agrarny i magiczny charakter zwyczaju. Taki odczyt



Fot. nadesłana

nie jest bezpodstawny, bo zniszczenie zimowej figury i pojawienie się zieleni łatwo łączyć z prośbą o urodzaj i powodzenie. W nowszych ujęciach coraz częściej akcentuje się także wymiar społeczny. Wspólnota przez chwilę odgrywa dramat przejścia od niedostatku do nadziei, od ciemności do światła, od czasu zamkniętego w domu do czasu wyjścia w pole. Marzanna staje się więc nie tylko reliktem dawnych wierzeń, lecz także czytelnym modelem porządkowania zbiorowego doświadczenia.

Warto przy tym zauważyć, że skuteczność takiego rytuału nie zależała od wiary w jego dosłowne działanie. W kulturze tradycyjnej ważne bywało samo wykonanie gestu we właściwym miejscu i czasie, przez odpowiednią grupę uczestników. Dzieci, młodzież, a niekiedy całe sąsiedztwo współuczestniczyły w czynności, która porządkowała wspólny kalendarz emocji. Strach przed długą zimą, chorobą czy nieurodzajem nie znikał oczywiście od razu, ale zostawał nazwany, uosobiony i wypchnięty poza granice codzienności. Z tego punktu widzenia Marzanna była nie tylko postacią folkloru, lecz także narzędziem społecznej pracy nad lękiem i nadzieją.

## Na tle pokrewnych tradycji słowiańskich

Polski zwyczaj nie istnieje w izolacji. W Czechach i na Słowacji znane są obrzędy *vynášení smrti* i *vynášení Moreny*, w których również wynosi się poza miejscowość kobiecą figurę łązoną ze śmiercią albo zimą. W tradycjach wschodniosłowiańskich pojawiają się z kolei postacie takie jak Kostroma



Fot. nadesłana

czy Kostrub, a niektóre rytuały wiosenne i letnie łączą motyw słomianej postaci z innymi obrzędami dorocznego przejścia. Anna Woźniak podkreśla, że zamiast jednego identycznego rytuału obecnego na całej Słowiańszczyźnie należałoby raczej mówić o rodzinie pokrewnych zwyczajów, w których mieszają się różne figury, terminy i sensy.

To podobieństwo pozostaje jednak bardzo pouczające, ponieważ pokazuje, że wypędzanie zimy, wynoszenie śmierci i wprowadzanie zieleni należy do szerokiego europejskiego repertuaru obrzędów wiosennych. Polska Marzanna jest jednym z najbardziej wyrazistych wariantów tego zjawiska, ale nie jedynym. Zestawienie jej z praktykami czeskimi, słowackimi czy wschodniosłowiańskimi pomaga uniknąć zbyt prostych twierdzeń o jednej „oryginalnej” bogini i jednym niezmiennym kulcie. Znacznie wyraźniej widać natomiast, jak tradycje ludowe przemieszczają się, łączą, upraszczają i odnawiają w długim trwaniu kultury.

## Od rytuału do praktyki szkolnej

W XX i XXI wieku Marzanna nie zniknęła, lecz zmieniła swoją funkcję. Z rytuału wpisanego w tradycyjny porządek doroczny stała się elementem edukacji, lokalnej promocji i folklorystycznej zabawy. Szkolne pochody z kukłą, organizowane dziś najczęściej 21 marca, są już czymś innym niż dawne wynoszenie śmierci, ale nie są przez to bezwartościowe. Pokazują, że współczesna kultura nadal potrzebuje znaków przejścia i wspólnych gestów, nawet jeżeli dawne sensy religijne czy magiczne zostały osłabione.

Ta przemiana bywa czasem oceniana z pobłażaniem, jakby szkolna Marzanna była już tylko bladym cieniem dawnego rytuału. Taki osąd jest jednak zbyt prosty. Kultura ludowa zawsze żyła dzięki przekształceniom, zapożyczeniom i dostosowaniom do nowych warunków. Dzisiejsze pochody organizowane przez szkoły, domy kultury czy stowarzyszenia nie odtwarzają oczywiście dawnej wsi, ale nadal zachowują podstawowy sens przejścia – wspólne pożegnanie tego, co kojarzy się z zimowym zastojem, oraz publiczne otwarcie na nowy cykl. W tym sensie Marzanna przetrwała nie dlatego, że została zakonserwowana, lecz dlatego, że okazała się wyjątkowo nośną formą wyrażania doświadczenia zmiany.

Zmienił się także sposób myślenia o współczesnym wykonywaniu tego zwyczaju. Coraz częściej podkreśla się, że kukła nie powinna być wykonywana z plastiku ani pozostawiana w rzece, bo obrzęd pożegnania zimy nie może kończyć się zatruciem wody. Ten ekologiczny wymiar jest zresztą zgodny z logiką tradycji – dawniej Marzanna była robiona z materiałów naturalnych i należała do cyklu przyrody, a nie do obiegu odpadów. Dzisiejsze powroty do zwyczaju mają więc sens, gdy nie udają mechanicznie dawnej wsi, lecz uczciwie przekładają stary rytuał na dzisiejsze warunki. Wtedy Marzanna pozostaje czytelna nie jako muzealny rekwizyt, ale jako opowieść o końcu, który jest zarazem początkiem.



Lic. Maja Domaszek — pracownik Wydawnictwa Naukowego UMK, studentka II roku II stopnia filologii polskiej na Wydziale Humanistycznym UMK

Agata Jóźwiak

## Nocne niebo na przykładach polskich obrazów pejzażowych z XIX wieku

Jaki obraz nieba po zachodzie Słońca w okresie rozkwitu malarstwa plenerowego pozostawił nam artyści? Czy noc to synonim ciemności na obrazie pejzażowym? Czy metafizyczna tęsknota za Kosmosem, a zarazem obawa przed nieznanym jest widoczna na obrazach, czy wręcz przeciwnie? A może malarze wraz z rozwojem nauki stali się nieznośnymi realistami?

Jakim scenom w okresie słynnego przełomu ostatnich wieków towarzyszyły gwiazdy i Księżyc? Ukazuje się też kwestia stojąca przed malarzem pejzażystą: jak pokazać oddalone od nas gwiazdy, by stały się istotnymi i interesującymi bohaterkami obrazu. Niech wybrane dzieła przybliżą nas do próby odpowiedzi na powyższe pytania.

Okres drugiej połowy XIX wieku to czas popularności malarstwa plenerowego i intensywnego rozwoju malarstwa polskiego. Wśród dzieł bardzo znanych i podziwianych, pokazujących świat przyrody różnych pór roku oraz malowniczych zjawisk atmosferycznych, dostrzeże się także realizacje mniej efektowne. Gdy przyjrzemy się temu, co nad horyzontem, na ciemnym niebie takich kompozycji się mieści, zauważy się jedynie małe jasne punkciki. Tak nieśmiało zagląda do świata ludzi niebo na dziewiętnastowiecznych nokturnach. Efekt, jaki osiągnęli pejzażyści, skłania do refleksji na temat przyrody obserwowanej nocą i tego, czym był Kosmos epoki przed powszechną elektryfikacją. Można sądzić, że umieszczanie ciał niebieskich na obrazach nie dawało wiele pola do popisu malarzom pejzażowym. Gwiazdy na bardzo wielu kompozycjach stanowiły daleki plan, często niewielki fragment obrazu. Jednak ich obecność była znacząca i nie musiała być ostentacyjna. Gwiazdy „patrzają” na nas z góry.

W malarstwie XIX wieku obok nokturnów wielkich miast oświetlonych światłem latarń, istnieje sporo skrawków z gwieździstym nieboskłonem. Zaczę jednak od obrazu, który jest ich przeciwieństwem, by pokazać, jak różnorodne potrafi być niebo namalowane przez artystów końca wieku. *Nec mergitur* (1904–1905, Litewskie Muzeum Sztuki w Wilnie) pędzla Ferdynanda Ruszczyca to dzieło



Witold Pruszkowski, *Spadająca gwiazda*, 1884, Muzeum Narodowe w Warszawie

Fot. MNW, domena publiczna

wyjątkowe w sztuce polskiej i w samej twórczości Ruszczyca. Obraz z powodu kolorystyki i dość rzadkiej w polskiej sztuce poważnie potraktowanej tematyki marynistycznej robi duże wrażenie. Ważny jest również z przyczyn patriotycznych i kontekstu historycznego. W pierwszym momencie, gdy ogląda się dzieło nie do końca wiadomo, jak je przyjmować. Pejzaż malowany jest szczegółowo w zaskakującej kolorystyce, a do tego najważniejszy punkt obrazu –



Ferdynand Ruszczyca, *Nec mergitur*, 1904–1905, Litewskie Muzeum Sztuki w Wilnie  
Fot. Wikipedia, domena publiczna

historyczny żaglowiec mógł pływać po oceanach dawno temu... Fantastyczna budowa statku sugeruje, że cofamy się w inną epokę. Czy obraz należy zatem odbierać jako nawiązanie do historii, odszyfrowywać dokładnie badając wątek inspiracji czy raczej przyjąć inną postawę? Odczuwać go bardziej emocjonalnie i intuicyjnie, ewentualnie myśląc o jakimś micie? Autor posługuje się niedopowiedzeniem, zestawieniem różnych elementów. Ciekawe jest wykorzystanie napięcia między realizmem i fantazją, które wytrąca widza ze stanu bierności lub przekonania o nadrzędności prostych komunikatów. Poza tym możemy porównać zdjęcie satelitarne Kosmosu z niebem Ruszczyca i żartobliwie uznać artystę za jednego z prekursorów malarstwa kosmicznego. Malarz pozwalając sobie na kreację osobistej opowieści malarskiej, przedstawił „kolorowy” Kosmos, którego przecież nie mógł widzieć przez teleskop Hubble’a.

Jednym z wątków obrazu jest tęsknota za legendami i przygodą. Wyruszyć w podróż można, gdy ma się odwagę oraz pragnienie przekraczania „niedostępnego”. Czy także bram minionego czasu i przestrzeni? Tytuł dzieła kieruje uwagę na baśń

Henryka Sienkiewicza *Legenda żeglarska* z roku 1900. Doceniona została w niej odwaga i brawura, ale również wymienione ryzyko, jakie wiąże się z tymi cechami. Pisarz przestrzega przed zbytnią bez troską i samowolą. To opowiadanie z racji ówczesnej sytuacji politycznej musiało być ważną inspiracją dla twórcy, ale czy jedyną? Obraz opiera się na pokazaniu Ziemi (reprezentuje go żywioł wody) i nieba z gwiazdami. Oto świat przyrody i Kosmosu oddziałujący na siebie, gdzie człowieka nie widać... Świat ludzi, bez zaznaczenia choćby jednej sylwetki marynarza jest symbolizowany przez tajemniczy statek. Patrzymy na Kosmos Ruszczyca z zaskakującej pozycji, nie z perspektywy człowieka, ale wprost z wody, z pola widzenia wynurzającego się delfina czy foki. Aura okrętu i perspektywa, z jakiej malarz pokazał morską toń wytrąca widza z poczucia pewności siebie, z pozycji posiadania gruntu pod nogami. Ocean i to, co się na nim dzieje, ma ostrzegać przed iluzjami, bezcelowością, zadufaniem? Przypominać, że koleje losu toczą się na śmierć i życie. Z drugiej jednak strony poprzez specyfikę statku i nierealną atmosferę panującą w nocy na morzu widz może zacząć się zastanawiać czy widzi statek czy widmo. Autor dzięki wieloznacznemu językowi symbolu prowadzi w głąb tajemnicy życia. Przez fantastyczność sytuacji, w której pojawia się tytułowy obiekt, kryje się bogactwo interpretacyjne i jego uniwersalność.

Ruszczyca interesował się motywem morza i pozostawił piękne pejzaże ze swoich wyjazdów plenerowych między innymi na Bornholm. Żywioł morski artysta miał zapisany w korzeniach rodzinnych, w tradycji bałtyckiej żeglugi przodka. Nie bez znaczenia było skandynawskie pochodzenie matki. Być może przestrzeń oceanu to pociągająca i bliska Ruszczycowi „scenografia” do przekazania najważniejszych treści. Czy wątek przygodowo-fantastyczny bardzo kłóci się z interpretacją odnoszącą się do sienkiewiczowskiego opowiadania i łańskiego tytułu o niezatapialności statku-ojczyzny na morzu burzliwych losów? Malarz pozostawia pole do dyskusji. Tymczasem rejs trwa.

Wśród obrazów nocy, które przedstawiają gwieździste niebo jako istotny element, pojawiają się prace pokazujące wątki historyczne i ludowe. Są one pokrewne inspiracjom Ruszczyca, wyrosły z fantazji, literatury i także bolesnych wspomnień związanych z powstaniem, w tym o zesłańcach syberyjskich. *Eloe wśród grobów* (1892, Muzeum Narodowe we Wrocławiu) Witolda Pruszkowskiego

to pastel pokazujący cmentarz oddalony od siedzib ludzkich. Panuje tam mroźna zima. Krajobraz umożliwia pokazanie ciał niebieskich wśród pustkowi. Księżyc z gwiazdami oświetla cmentarz i krzyże w śniegu na tyle intensywnie, że jest prawie tak jasno jak w dzień. Samo to nietypowe świecenie śniegu stwarza nadrealną atmosferę. Potęguje ją postać tytułowego anioła unoszącego się nad grobami. U odbiorcy może pojawić się uczucie smutku i niesamowitości. To połączenie anielskiej tematyki, śniegu i cmentarza jest godnym uwagi zabiegiem artystycznym jeśli chodzi o zagadnienie nokturnu oraz pejzażu postromantycznego.

Pejzaże związane z historią i dawną architekturą, na których niebo jest świadkiem tego, co minione, pojawia się na nokturnie *Ruiny zamku Krzyżtopór w Ujeździe* (1904, Muzeum Narodowe w Warszawie) autorstwa Kazimierza Stabrowskiego. Widok ruin wywołuje temat czasu i trwania. Gdy pojawia się przy nich gwieździste niebo ma to wydźwięk szczególny, być może silniejszy i wznioślejszy niż w sztafarzach obrazujących krajobraz dnia. Spokój nieba usianego gwiazdami koresponduje ze spokojem pozostałości murów imponującej niegdyś budowli. Innym obrazem poruszającym wymienione zagadnienie ruin w nocy jest obraz Józefa Szermętowskiego: *Stracone gniazda* (1865, Muzeum Narodowe w Poznaniu). To krajobraz po Powstaniu Styczniowym. Malarz zestawiał spokój nocy i widoku sierpa Księżyca ze spalonymi domami i beznadzieją powojennej pustki. Nie ma tu żadnych epizodów batalistycznych jednak wydźwięk obrazu jest dramatyczny.

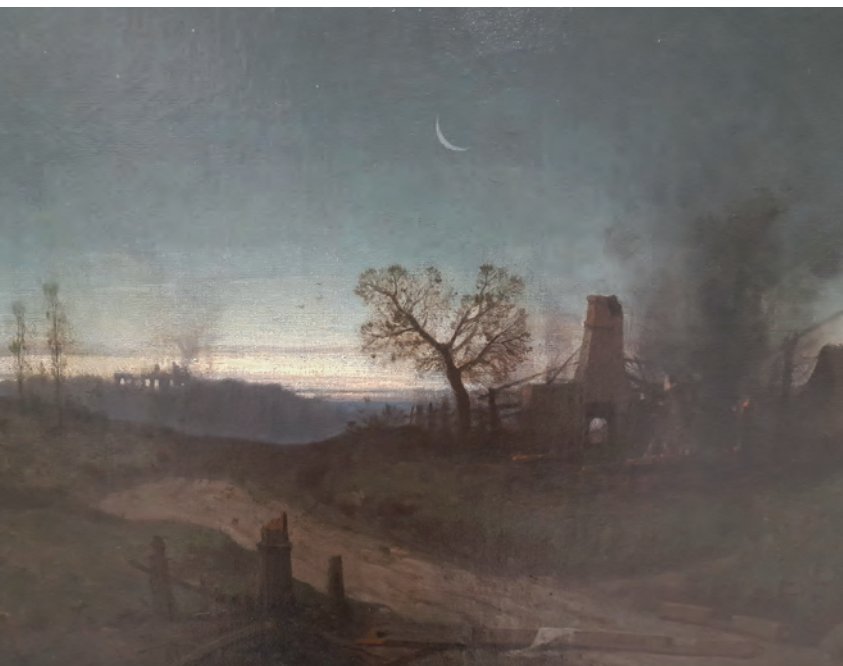
Wracając jednak do Pruszkowskiego: był to twórca, który wykorzystywał aurę nocy i zmierzchu do kreowania scen związanych z podaniami ludowymi. Ledwo widoczne przez czubki drzew gwieździste niebo towarzyszy młodzieńcowi na obrazie *W noc świętojańską* (1875, Muzeum Narodowe w Warszawie). Inspiracje wiejskim pejzażem tego autora zobaczyć można na obrazie *Sielanka* (1880, Muzeum Narodowe w Krakowie), na którym sierp Księżyca wygląda zza starej wierzby. Ma się wręcz wrażenie, że słucha muzykującego chłopca. Na obrazie *Rusałki* (1877, Muzeum Narodowe w Krakowie) przybywający Księżyc zostaje świadkiem zbrodni dokonywanych przez istoty nadprzyrodzone ukazane jako młode wieśniaczki. Ciało niebieskie jest prawie zasłonięte przez drzewa. Wtopione w przyrodę nie narzuca się swoją obecnością, a „widzi” wszystko. Może to właśnie Księżyc w formie sierpa, przez swój



Józef Chełmoński, *Przed wschodem słońca* (fragment obrazu), 1891, Muzeum Narodowe w Krakowie  
Fot. materiały autorki

mało widoczny a równocześnie ostry kształt, lepiej kreuje atmosferę nastrojowości nokturnu dziewiętnastowiecznego niż pełnia.

Niech za kolejny przykład posłuży mało znany symboliczny obraz olejny Romana Szwojnickiego *W pogoni za ideą* (1893, Muzeum Narodowe w Warszawie). Do kwestii tytułu dzieła jeszcze się odniosę, tymczasem poświęćmy uwagę przedstawionej na płótnie scenie. W chmurach, przy świetle Księżyca unosi się postać pónagiego, młodego mężczyzny otoczonego dziewięcioma nimfami. Bohater zwraca się do Eos/Jutrzenki. Nie jest to zatem czysty pejzaż, a rozbudowana narracyjna kompozycja, w której mężczyzna i istoty nadprzyrodzone mają najważniejsze znaczenie. Istotną rolę niewątpliwie gra aura nocy i potęgi kosmiczne. Bez ich udziału stan i postawa bohatera nie byłyby tak romantyczne i podniosłe. Jego pragnienia musiałyby się zmieścić w nastrojowym saloniku albo ciemnej sypialni. A tak, oprócz bardzo werystycznie przedstawionego Księżyca, uwagę widza skradła postać wyłaniająca się z przestrzeni kosmicznej – piękna Jutrzenka. Jaśniejąca planeta Wenus przewija się w sztuce artystów dziewiętnastowiecznych jako intrygująca gwiazda nieba. Jutrzenka to ta, która rozprasza ciemność, w której pokłada się nadzieje. Jest w stanie podarować potrzebną bohaterowi inspirację i dobre myśli. Ciała niebieskie personifikowane są jako postacie



Józef Szermentowski, *Stracone gniazda*, 1865, Muzeum Narodowe w Poznaniu  
Fot. materiały autorki

kobiece, nawiązując do starożytnych przedstawień. Możliwe, że otaczające mężczyznę nagie kobiety (domniemane rusałki) to bardziej wyobrażenia kobiet, z którymi malarz miał realny kontakt, albo są to marzenia o tych, których jeszcze nie spotkał. W każdym razie część panien wyraźnie wstawia się za nim do Jutrzenki.

W wędrówce po krajobrazach malarskich, które zawierają w sobie wątek kosmiczny, warto zatrzymać się dłużej przy obrazie Szwojnickiego. Przywiązany do tradycji szlacheckiej malarz, bardzo znany i lubiany przez współczesnych w kręgach elity kulturalnej Warszawy końca XIX w. pisał także utwory poetyckie<sup>1</sup>. Wieloletnia znajomość Szwojnickiego i innych ziemian z historycznej Laudy z H. Sienkiewiczem dostarczyła pisarzowi niemało inspiracji do nakreślenia zbiorowego portretu butnej szlachty w *Potopie*. Po kilkuletniej zsyłce na Syberię za udział w Powstaniu Styczniowym na Litwie Szwojnicki wrócił do Warszawy i zajął się malarstwem. Tu rzecz ciekawa, autor dzieł o tematyce szlacheckiej i historycznej zajmował się również obrazowaniem miłości i damsko-męskich zmagających. W tym wykonał niezwyk-

<sup>1</sup> Literacka twórczość R. Szwojnickiego jeszcze czeka na większe zainteresowanie współczesnych badaczy – por. I. Szulska, *Próby pióra Romana Szwojnickiego w świetle archiwum artysty*, „Roczniki Humanistyczne” 2025, t. LXXIII, z. 1, s. 63–77.

ty dla swojej twórczości omawiany obraz o romantycznym i wręcz osobistym przekazie. Oprócz uroczego sierpa Księżycy i Wenus namalowanych przez malarza (zwróćmy uwagę na bliskość położenia Księżycy i Wenus, co nie zdarza się tak często w XIX-wiecznym malarstwie) zajmijmy się jeszcze chwilę tematyką dzieła i wariantem interpretacyjnym. Otóż obecnie omawiany obraz znany jest pod tytułem *W pogoni za ideą*, choć w ostatniej dekadzie XIX stulecia w *Sprawozdaniu Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskim za rok 1890* figuruje jako *Pogoń za ideałem*<sup>2</sup>. Tym samym najwyraźniej koresponduje on z wówczas używanymi w literaturze, a także w muzyce (np. widocznymi w tytule walca na fortepian autorstwa Stanisława Mitmana: *W pogoni za ideałem* z roku 1898<sup>3</sup>) tendencjami do wyrażania tęsknoty za idealną ukochaną. Na okładce wydanego zapisu nutowego widnieje ilustracja z młodym mężczyzną (ukazanym na tle miejskich kamienic i fabrycznych kominów) podążającym do panny zrywającej kwiaty przed dworkiem. Równocześnie w latach 1897–1898 W. S. Reymont ogłasza na łamach prasy powieść *Ziemia obiecana*, gdzie Karol Borowiecki, „lodzermensch” kocha się w Ance, szlachciance z dworku Kurów<sup>4</sup>. Czyżby ów młodzieniec dotarł do swego ideału? Choć postać męska z okładki utworu Mitmana wygląda konwencjonalnie, nie znajduje się w otoczeniu kobiecej nagości i nie unosi się ku niebiosom, przypomina zarówno układem ciała, jak i samym wyglądem postać z obrazu Szwojnickiego. Czy to był jakiś istniejący wzór przestawień, czy autor inspirował się wcześniej powstałym płótnem?

Wiele na to wskazuje, że na tle przestrzeni powietrznej i potęg niebieskich Szwojnicki umieścił niebagatelny wątek zmagających miłosnych, a nie, jak można było pierwotnie przypuszczać, zmagających twórczych również odbierających artystom sen z powiek. Malarz musiał żywić szczególny stosunek do tej kompozycji. Obraz znajdował się w jego litewskim dworze, a sam malarz zechciał się przy nim sfotografować. Obraz z powodu atmosfery i symboliki nasuwa skojarzenia z późniejszym, dramatycznym *Szatem uniesień* Władysława Podkowińskiego. Ale nie dość, że dzieło Szwojnickiego jest bardziej

<sup>2</sup> Za wskazanie źródła dziękuję prof. I. Szulskiej z Uniwersytetu Warszawskiego.

<sup>3</sup> Źródło: Polona.pl, <https://polona.pl/preview/789d9f74-4749-4b52-844c-751a0b49bf5f>.

<sup>4</sup> Za tę informację ponownie dziękuję prof. I. Szulskiej z Uniwersytetu Warszawskiego.

statyczne to subtelniejsze w przekazie. Kobiecość raczej nie budzi skrajnych stanów u autora i nie wykazuje obecnych u Podkowińskiego tendencji katastrofizujących w temacie damsko-męskim. Nas jednak najbardziej interesuje, że Szwojnicki umiejscowił swoją scenę w konkretnej przestrzeni. Podpowiada ona bohaterowi rozwiązanie problemu „w górze”, uzbrajając go w nadzieję. Kieruje myśli odbiorcy nie tylko w świat snu, wyszczególnianej często przez krytyków podświadomości, ale w świat natury i nadprzyrodzonych sił, które przychodzą spoza ziemskiego świata i naszego umysłu (postać Jutrzenki, opiekuńczych nimf).

Według spostrzeżeń astronomicznych po charakterystycznym wizerunku Księżycy i rozchodzenia się na nim światła popielatego zauważamy, że postać kobieca z gwiazdą na głowie jest przedstawieniem jasnej planety Wenus. Choć trzeba dodać, że według tego, czym podzieliła się profesor Szulska, w litewskiej tradycji folklorystycznej, w dajnie mitologicznej o małżeństwie Słońca i Księżycy Słońce było utożsamiane z siłą kobiecą, a Wenus była postrzegana jako zagrożenie dla trwałości związku. Według ustaleń Szulskiej tematyka kosmiczna pojawia się również w jednym z ostatnich dużych obrazów artysty, posiadającym kilka wersji tytułu (*W jasną przyszłość lud / Jutrzenka wolności*), późnym i, niestety, zaginionym obrazie Szwojnickiego. Można na nim dostrzec, że liczna grupa osób w strojach historycznych, kontuszach i siermięgach spogląda w świt z nadzieją, że przyszłość będzie radośniejsza, a ojczyzna doczeka się odrodzenia. Wenus i świt były wykorzystywane do budowania przekazu dającego nadzieję. Zatem Jutrzenka z obrazu *W pogoni za ideałem*, wbrew litewskiej tradycji, również stanowi symbol pozytywny. Bohater otrzymuje afirmatywny przekaz, mija noc tęsknoty i męczących marzeń. Z nowym zapałem będzie można zacząć poszukiwania wybranki, gdy jest widno. Szwojnicki wykonał także obraz o cnotach „Wiary, nadziei i miłości” (zachowana jego reprodukcja na pocztówce z 1904 roku, źródło: Biblioteka Narodowa). Przedstawił na niej cnoty jako anioły. W tle ponownie figuruje sierp Księżycy.

Oprócz Wenus, która zyskała status gwiazdy, innym obiektem kosmicznym przyciągającym uwagę na obrazach z XIX wieku jest kometa. Nawiązując do poprzedniej kompozycji ponownie będziemy mieć do czynienia z dziełem zawieszonym pomiędzy tematami. Bo jak nazwać temat przedstawiający personifikowany Kosmos? Czy jest to rodzaj pejza-



Obraz Józefa Chełmońskiego — *Chłop spoglądający na niebo nocą – w towarzystwie kilku psów – zagrody wiejskie w tle*, 1908, Muzeum Narodowe w Krakowie  
Fot. MNK, domena publiczna

żu kosmicznego? Z takim problemem mierzymy się przywołując obraz Witolda Pruszkowskiego *Spadająca gwiazda* (1884, Muzeum Narodowe w Warszawie). Najprościej powiedzieć, że jest to symboliczne dzieło. Poświęcone zostało tajemniczości przestrzeni, emanuje niepokojem i atmosferą delikatnego erotyzmu. W łączności z ówczesną epoką choć pamiętajacej romantyzm, śmierć, rozpad (gwiazda spada, a nie się wznosi) przenika się z energią kobiecej cielesności. Ciało jest widoczne we fragmencie, niknie w dziwnym świetle, w trudno definiowalnym miejscu. Malarz zostawia nas z tym zlepkim niedomówień, kreując efekt jakiegoś końca. Do tego badacze wskazują na wątek patriotyczny okoliczności powstania obrazu. Rozpatrzyłabym również nawiązanie do dawnego przedstawiania gwiazdozbiorów i wyobrażeń mitologicznych dotyczących Kosmosu. Zwrócić można uwagę, że malarz skupia się na jednym ważnym akcencie – ludzkim umyśle. Główne rozświetlenie mieści się na głowie postaci. Od niej odchodzi promień albo przeciwnie w nią uderza.

Wspomnę jeszcze o jednym motywie związanym z miłością, kobietą i Kosmosem. Artur Grottger wykorzystał efekt pełni Księżycy do podkreślenia romantycznej atmosfery w scenie schadzki między ostatnim Jagiellonem a Radziwiłłówną (*Zygmunt i Barbara*, 1860, własność Fundacji im. Ciechanowieckich). Jan Matejko również pokusił się o przedstawienie popularnego wówczas wydarzenia z historii: *Zygmunt August z Barbarą na dworze radziwiłłowskim w Wilnie* (1867, Muzeum Narodowe w Warszawie) i posłużył się nocnym niebem, by



Witold Pruszkowski, *Sielanka*, 1880, Muzeum Narodowe w Krakowie

Fot. MNK, domena publiczna

wskazywać na wyjątkowość romansu. Tym razem na niebie pojawiła się kometa zwiastująca krótkotrwałe szczęście pary. Efektowne ciało niebieskie umieścił Grottger na rysunku: *Kometa*, z cyklu *Wojna* (1948, Muzeum Narodowe we Wrocławiu). Kometę utożsamiana była z nadejściem niebezpiecznych wydarzeń, wzbudzała lęk (w tym przypadku przede wszystkim wśród grupy kobiet). Posługiwano się nią jako symbolem, by przedstawić złowrogie i tragiczne wydarzenie w dziejach. Natomiast z większą atencją dla Kosmosu, a mniej dla ludzkiej historii przedstawił ją Aleksander Mroczkowski na obrazie *Fragment wsi nocą – kometa* (1880, Muzeum Narodowe w Warszawie). Chłopi wracający do chaty patrzą w niebo wskazując na jasny punkt. Malarz nie tyle uwypuklił niepokój, co ciekawość i uważność na świat wokół. Widać pogrążającą się w mroku nocy okolicę, niebo z przykuwającym wzrok jasnym punktem. Jest to chyba jeden z najspokojniejszych pejza-

ży pokazujących XIX-wiecznego człowieka i Kosmos reprezentowany przez kometa.

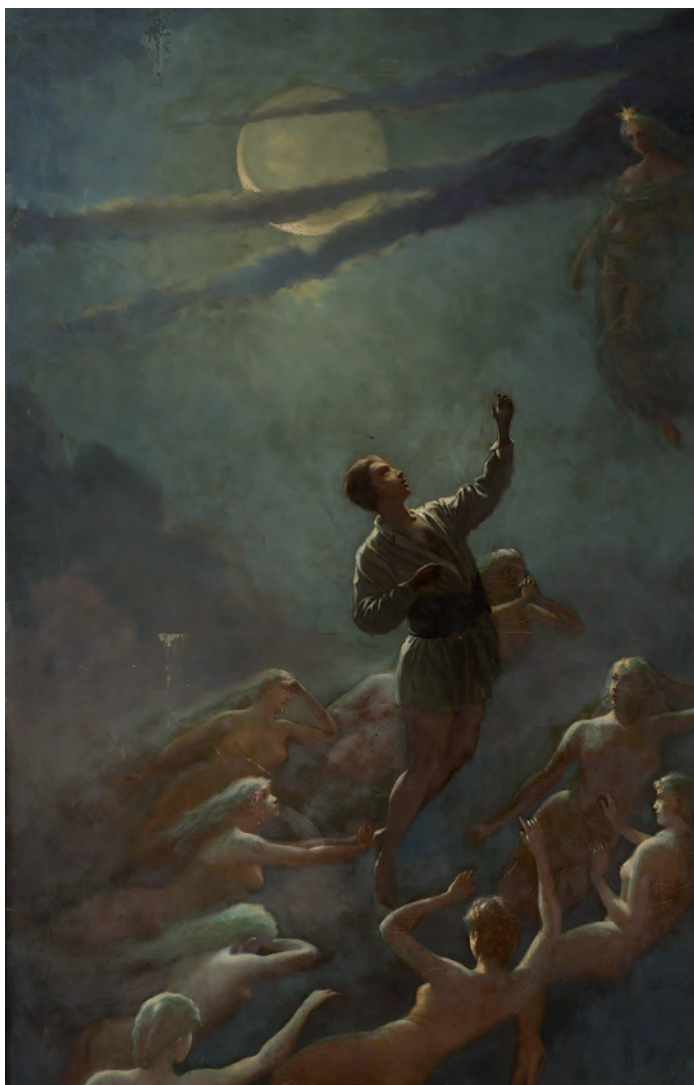
Spokój nocnego, rozgwieżdżonego nieba podziwiać można na innym obrazie przedstawiającym życie na wsi. Jest nim dzieło pędzla Maksymiliana Gierzyńskiego: *Noc* (ok. 1872–1873, Muzeum Narodowe w Warszawie). Równowaga zachowana między mrokiem a światłem gwiazd, światłem wydobywającym się z okien chałup, odbijającym od jasnych ścian, na drodze i ciele konia ciągnącego wóz sprawia, że obraz nie jest ciemny. Rozgwieżdżone niebo jest obecne na pejzażach Józefa Chełmońskiego w scenach rodzajowych sprzed karczm czy zabudowań dworskich, na przykład na pocztówce reprodukującej obraz Józefa Chełmońskiego *Chłop spoglądający na niebo nocą – w towarzystwie kilku psów – zagrody wiejskie w tle* (1908, Muzeum Narodowe w Krakowie). Kolejny raz pojawia się postać zapatrzona w nocne niebo. Na pejzażach Chełmońskiego ma ono zróżnicowane oblicza. Co może zaciekać miłośników dzikiej przyrody to prace: *Rankiem w puszczy* (1870, Muzeum Narodowe w Warszawie) czy *Polowanie na głuszcę* (1890, Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu). Niebo z wyraźnymi jasnymi punktami częściowo zasłonięte przez drzewa współtworzy sceny z tropienia zwierząt w lesie, motyw z leśniczką i obrazowaniem wyruszenia na polowanie.

Wspomnieć wypada w tym zestawie o znanym nokturnie Chełmońskiego: *Noc gwiazdzista* (1888, Muzeum Narodowe w Krakowie). To minimalistyczna kompozycja oparta na wąskiej gamie barwnej. Mimo zarzutów o niezgodność z wiedzą astronomiczną trudno zaprzeczyć, że zawiera prawdę o specyfice pogodnego nieba i czarodziejskiej przestrzeni nocy. Obraz ukazuje wnikliwą obserwację i silny związek artysty z przyrodą. Praca wydobywa ciekawą kwestię, z którą muszą się liczyć pejzażyści. Problem dotyczy tego, gdzie są granice artystycznej wizji przyrody, gdy artysta posługuje się stylem realistycznym. Choć w umiejętny sposób Chełmoński potrafił oddać atmosferę początku nocy, obserwował, jak rozkłada się światło na niebie i wodzie, to nie przejął się dokładnością namalowania mapy nieba. Wykonał własną wersję układu gwiazd. Zastanowić się można, czy Chełmoński był w stanie z naukową dokładnością namalować mapę pogodnego nieba, skoro pomimo kierowania się realistyczną prawdą rysunku, cenił również indywidualną wypowiedź malarską i interpretację zaobserwowanej przyrody. Nie był typem analityka, obserwatora Kosmosu takiego, jak osiemnastowieczny fascynat astronomii John Russell. Nie

można też nie zauważyć trudności, z jaką spotkał się malarz nokturnu przyrodniczego. Skoro obrazy wynikać miały z pracy w naturze, jak artysta miał wykonać nocą całkowicie zgodny z prawdą obraz nieba? Chełmoński wykonywał szkice i bardzo dużo zapamiętywał z tego, co widział. Ale nokturn powstawał w pracowni. Obraz *Przed wschodem słońca* (1891, Muzeum Narodowe w Krakowie) pochodzi z okresu, gdy malarz wrócił do kraju z długoletniego pobytu w Paryżu i zaczął malować inaczej niż dotychczas. Pejzaż, podobnie jak wymieniony powyżej, jest prosty w kompozycji, oparty na kilku głównych podziałach i relacji walorów. Ma tylko jeden wyróżniający się „diamencik” na jaśniejącym niebie – Wenus. Wystarczy to, by przenieść nas w świat spokojnego, mазowieckiego początku dnia.

Wśród nokturnów pokazujących gwiazdy wyodrębnia się wątek dzikiej przyrody. W XIX wieku u niektórych malarzy szczególnie daje się odczuć, że motyw dzikości stanowi temat nostalgiczny i być może nawiązujący do odległej, idealizowanej przeszłości. Wilk jako symbol owej dzikości stał się bohaterem nokturnów Alfreda Wierusza Kowalskiego. Malarz pokazał zwierzę w całej okazałości śnieżną zimą: *Wilk w nocy* (Muzeum Okręgowe w Suwałkach). Kolejny portret stanowi nasłuchującego *Wilka* (ok. 1900, własność prywatna). Właściwie na tych nokturnach zwierzę wygląda tak jakby patrzył się wprost w niebo, patrolując szeroką, pustą przestrzeń między ziemią i niebem. Jest tajemniczą istotą, budzącą zarazem strach i podziw. Malarz pokazał świat natury jako osobny i będący w oddaleniu od człowieka. Wilk jest tu w pełni częścią przyrody, a może i Kosmosu, bliżej mu do gwiazd niż do świata ludzi.

Innym obszarem, który znalazł specyficzne miejsce w nokturnowym malarstwie polskim związanym z przedstawianiem dzikości były Tatry. Wspaniale zaprezentował żywioł górski w świetle księżycowym Stanisław Witkiewicz na obrazie *Wiatr halny* (1892, Muzeum Narodowe w Krakowie). Malarz szczegółowo trzymający się realizmu przedstawił masę przecaczających się szybko chmur, odsłaniając w części obrazu granatowe niebo z gwiazdami. Na obrazie widać ruch i dynamikę przyrody. Zauważyć można pewne podobieństwo z nokturnami miejskimi Henryka Szczyglińskiego, na których również pokazane zostało gwiazdzone niebo tylko w drobnej części, ale jako ważny element spinający całość kompozycji. *Kościół Dominikanów w Krakowie w nocy* (1902, Muzeum Narodowe w Krakowie) ciekawie pokazuje zagadnienie malarskie dotyczące obrazowania róż-



Roman Szwojnicki, *W pogoni za ideą / Pogoń za ideałem*, 1893/1890, Muzeum Narodowe w Warszawie Fot. MNW, domena publiczna

nych źródeł nocnego światła, jego charakteru i barwy. Obraz zestawia świat ludzki ze skalą, wielkością i ciszą trwania Wszechświata. Drugim obrazem autorstwa Szczyglińskiego o podobnym wydźwięku jest *Pejzaż zimowy nocą z halabardnikiem* (ok. 1907, Muzeum Narodowe w Warszawie). Doszukać się na nim trzeba gwiazd pomiędzy gałęziami wiekowych, parkowych drzew. Nocne niebo w XIX wieku na nokturnach miejskich nie wydaje się zbyt istotne. Większą uwagę artystów przykuwały światła latarni. Jednakże obserwuje się na nokturnach końca XIX wieku starcie „dwóch sił”: źródła światła wymyślonego przez człowieka i światła kosmicznego. Na XIX-wiecznych obrazach dostrzega się rozgwieżdżone nieba nawet w centrum Krakowa.

Księżyc i gwiazdy towarzyszą scenom rodzajowym, historycznym, podkreślają charakter krajo-



## Różne oblicza medycyny (zarazy, melancholia, okulistyka i lekarze)

Autorzy: Małgorzata Małłek-Grabowska,  
Janusz Małłek, Piotr Paluchowski



Książka jest drugim tomem serii wydawniczej „Studia i Szkice z Historii Medycyny”. Są tu prace zarówno już publikowane, jak i dotychczas nieogłoszone, napisane w językach polskim, niemieckim i angielskim. W ogromnej mierze poruszają zagadnienia dotyczące największych epidemii (dżumy, ospy i cholery) rozprzestrzeniających się w Europie od XIV do XIX wieku. Ponadto przedstawiają kwestie związane z wariolizacją, okulistyką czy psychiatrią. Nie brakuje tu także artykułów poświęconych wybitnym lekarzom.

Szkice, rozprawy i teksty źródłowe zawarte w monografii odnoszą się do szeroko pojmowanych aspektów historii medycyny. Stanowią ważne i interesujące uzupełnienie dotychczasowych ustaleń i wiedzy, wskazują także nowe możliwości interpretacyjne.

prof. dr hab. Beata Wojciechowska



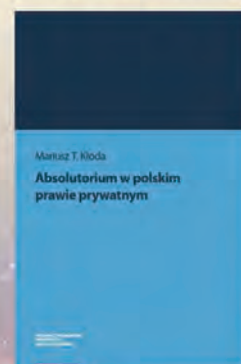
**TĘŻNIE SOLANKOWE.  
ARCHITEKTONICZNY  
I PROZDROWOTNY  
FENOMEN**



**TOŻSAMOŚĆ, IDEOLOGIA,  
PRZEMOC. CENTRUM  
I PERYFERIE WE  
WSPÓŁCZESNYCH TEKSTACH  
KULTURY W SERBII**



Mogłoby się wydawać, że historycy – analizując wielokrotnie ten sam korpus dostępnych źródeł historycznych – o Mikołaju Koperniku napisali już tak wiele, iż nic nowego o wielkim astronomie nie da się powiedzieć. A jednak, co pokazał Światowy Kongres Kopernikański w 2023 roku, najbardziej znany torunianin nadal jest wdzięczną postacią do analiz, a jego wszechstronna działalność i twórczość naukowa są poddawane kolejnym interpretacjom. Obszar wymagający dalszych badań jest związany z wykształceniem prawniczym. Dawało ono Kopernikowi środki do życia, które wykorzystywał w pracy administracyjnej. Za dnia Mikołaj był zatem administratorem dóbr kapituły warmińskiej, sekretarzem biskupim, archiwistą, a w wolnych chwilach, często w nocy, gdy gwiazdy widać najlepiej, oddawał się swojej pasji – astronomii.



**ABSOLUTORIUM  
W POLSKIM PRAWIE  
PRYWATNYM**

To Twój Głos

NAUKA • BADANIA • KULTURA

**GŁOS  
UCZELNI**

 **KOMPAS**  
AGENCJA TURYSTYCZNA



kliknij do nas:  
[www.bilety-lotnicze.com.pl](http://www.bilety-lotnicze.com.pl)



Accredited  
Agent

